tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 18 (1217)
2-7.05.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAK UKRAIŃCY ROBIĄ INTERESY W POLSCE

WEGANIE KONTRA MIĘSOŻERCY

CHAM I PAN DAWNIEJ I DZIŚ

JACEK PAŁKIEWICZ BYĆ I NIE BYĆ CORRIDY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

GIEREK MIESZKANIOWA REWOLUCJA

Budowa osiedla z wielkiej płyty. Zamość, 1979 r.

PŘEKRAČUJEME HRANICE
PRZEKRACZAMY GRANICE
2014—2020

EVROPSKÁ UNIE / UNIA EUROPEJSKA
EVROPSKÝ FOND PRO REGIONÁLNÍ ROZVOJ
EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

JELENIA GÓRA

DOFINANSOWANE PRZEZ MIASTO JELENIA GÓRA

Větrník

ODK osiedlowy dom kultury

Wydarzenie odbywa się w ramach projektu 1+1+1=1. Projekt jest współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach programu Interreg V- A Republika Czeska - Polska 2014-2020

eprasa.pl 9efbbac1e5

Jerzy Domański

Obiecał im kokosy

Z czym może się kojarzyć wybór Radosława Piesiewicza na prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego? Mnie poniosło w stronę niezapomnianej kreacji Gustawa Holoubka w sztuce Ugo Bettiego „Trąd w Pałacu Sprawiedliwości". Gdy usłyszałem, że to Piesiewicz został nowym prezesem PKOl, pomyślałem o chorobie, która dotarła na szczyt polskiego sportu.

Prawo i Sprawiedliwość i Piesiewicz są ze sobą zrośnięci jak bracia syjamscy. Współpracownik Jacka Sasina z czasów, gdy obaj doradzali władzom Wołomina, swoje kolejne awanse zawdzięcza karierze politycznej obecnego wicepremiera. Bez Sasina, mającego w garści największe firmy państwowe, nie byłoby prezesa Piesiewicza, który w ramach kampanii wyborczej rozdał związkom sportowym kilkaset milionów złotych. Lekko mu przyszło obiecywanie pieniędzy z Orlenu, Totalizatora Sportowego, PGE czy LOT. Równie sensowne byłoby rozdawanie darmowych biletów na Księżyc. I nie jest to porównanie przypadkowe.

Ekipa polityczna, która zagarnia kolejne dziedziny, traktuje Polskę jak podbitą kolonię, a jej mieszkańców jak głupków, których można tanio kupić. Albo spacyfikować i zastraszyć. Wybory w PKOl odbyły się bez udziału mediów. Dzieje się tak zwykle wtedy, gdy jest do ukrycia coś kompromitującego. A w tym przypadku z każdego kąta wygląda jakaś afera. Począwszy od tego, jak potraktowano Andrzeja Kraśnickiego, który reprezentował rodzinę olimpijską przez 13 lat. Jeszcze dwa miesiące temu miał poparcie większości związków sportowych. W tym wielu dotychczasowych sponsorów PKOl.

Niestety, frakcja Sasina, przy udziale ekipy ministra sportu i kancelarii prezydenta Dudy, postawiła na ten w gruncie rzeczy gangsterski przewrót. Po 2015 r. w różnych obszarach były ich setki. Ludzie już nie reagują. Obojętniejemy. I o to przecież im chodzi. By społeczeństwo przyzwyczaić do tego, że złodziejstwo to teraz drugie imię władzy. Wybory w PKOl były tajne. Nie trzeba było szczególnej odwagi, by wystartował w nich ktoś z prawdziwym autorytetem. Tak jak Kewin Rozum, prezes Polskiego Związku Sumo. Potencjał do buntu był duży, bo dostał 24 głosy. Zadziwia mnie łatwość, z jaką wybitni sportowcy, a dziś działacze, poparli kogoś takiego jak Piesiewicz. Chyba uwierzyli w te kokosy.

POMOŻECIE?

Z wielką przyjemnością informuję, że do 26 kwietnia wsparły nas darowiznami 294 osoby. W większości wpłaty są w przedziale 20-100 zł. Bardzo liczymy, że będą to comiesięczne zlecenia. Jeśli taki pomocowy rytm uda się utrzymać, to jest duża szansa na wyjście z tego zakrętu. Miałem okazję rozmawiać telefonicznie z Czytelnikami, którzy podali swoje numery. Są to dla mnie bardzo miłe, ale też pouczające kontakty. Bo nigdy nie jest tak, że czegoś nie można zrobić lepiej. Padło pytanie o to, dlaczego stopka redakcyjna tygodnika ma aż tyle nazwisk i czy nie jest to zbyt kosztowne. Zdecydowana większość tych osób to wolontariat w czystej postaci. Sympatycy i przyjaciele tygodnika, którzy w ten sposób nam pomagają. Nie dostają ani grosza. Także za teksty. Kierownictwo redakcji to również w większości ludzie, którzy nam pomagają bez wynagrodzenia. Pod tym względem wyróżniamy się na rynku wydawniczym. Nie ma w Polsce tygodnika, który miałby równie skromny budżet. Na kolejne pytania odpowiem za tydzień. A teraz proszę o wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta
Nr konta:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl 9efbbac1e5

W NUMERZE

KRAJ

8 Gierek – mieszkanie dla każdej rodziny
Lata 70. to był czas wielkiego budowania

13 Jak Ukraińcy robią interesy w Polsce
Przejmują firmy i inwestują

16 Podlasie pod ścianą
Kryzys migracyjny trwa

20 Kotlet schabowy kontra kotlet sojowy
– rozmowa z Katarzyną Hromek i Bartoszem Czekałą

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

24 Koniec dominacji dolara? Nie tak szybko
Hegemon niezagrożony

ZAGRANICA

28 Make love, not work
Korespondencja z USA

32 Krwawa niedziela i Wielki Piątek
Co dalej, Irlandio?

36 Między Wschodem i Zachodem
Serbia wychodzi na prostą

OPINIE

40 Kazimierz Łastawski
Ważne sprawy polskiego szkolnictwa

HISTORIA

42 Cham i Pan wciąż żyją w polskiej duszy?

KULTURA

46 Polski balet międzynarodowy
– rozmowa z Krzysztofem Pastorem

50 Qulturalia

66 Lucian Freud. Nowe perspektywy

OBSERWACJE

51 Być i nie być corridy
Podróże Jacka Pałkiewicza

54 Maryjki odwracają oczy
Zawsze jest pora na miłość

ZWIERZĘTA

58 Trzy tysiące par kocich oczu
Tygrysy w Indiach

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Obiecał im kokosy

27 Jan Widacki
Ogłupianie historią

35 Roman Kurkiewicz
Jak obrażać i szkalować naród polski wciąż. Poradnik

39 Tomasz Jastrun
Trzeci silnik

41 Wojciech Kuczok
Takie buty

45 Agnieszka Wolny-Hamkało
Porządki sieci

46
KULTURA

POLSKI BALET MIĘDZYNARODOWY
– rozmowa z Krzysztofem Pastorem

BYĆ I NIE BYĆ CORRIDY
Podróże Jacka Pałkiewicza

TRZY TYSIĄCE PAR KOCICH OCZU
Tygrysy w Indiach

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. TADEUSZ ZAGOŻDZIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 9efbbac1e5

Żerowisko

Ten tekst jest spóźniony o jakieś siedem lat. Przecież oni już od dawna żerują. A w pierwszym roku zawłaszczyli więcej niż PO przez całe osiem lat.

Daniel Kaczyński

•

Pisowcy od samego początku zaczęli czystkę wszystkiego, co się rusza. Każdą sferę życia publicznego chcieli umeblować po swojemu. Edukacja czy sądownictwo to najlepsze przykłady. Zupełnie jakby głód władzy był tak wielki, że trzeba się nasycić na zapas. To, że obsadzają się wzajemnie na stołkach i poklepują po plecach, mnie nie dziwi, bo myślę, że w polityce nie da się inaczej funkcjonować, jak tylko dbając o zabezpieczenie własnych interesów. Mój największy niepokój budzi sianie nienawiści między Polakami. A to LGBT, a to Niemcy, nauczyciele, kobiety, szkalownicy papieża… Daje się przyzwolenie ludziom pokroju Jakimowicza na to, by w telewizji pislicznej jechać po kim tylko się da i jeszcze podkręcać tę nienawiść. Dlatego, redakcjo, nie poddawajcie się w walce o to, by tygodnik dalej wydawać, żeby pisać o rzeczach ważnych i być swego rodzaju azylem w wojnie polsko-polskiej.

Kamil Wójcik

Początek katastrofy

Ironia losu: ponad 30 lat po odgórnej likwidacji PGR-ów, która w założeniu miała uczynić polskie rolnictwo kwitnącym i konkurencyjnym, przegrywa ono ze sprywatyzowanymi kołchozami i sowchozami.

Krzysztof Guderski

Wszechstronnie niewygodny Różewicz

Nie starał się o Nobla, a jednak nie sposób zrozumieć, dlaczego to Miłosz, a nie Różewicz został uhonorowany Noblem – jeśli pominie się kontekst polityczny. Żył długo, był prekursorem nowej, współczesnej poezji i dramaturgii tłumaczonej na wiele języków. Dla wielkiej literatury odkrył go Kazimierz Wyka, jak innych młodych poetów wojennych i powojennych. Dla mojego pokolenia twórczość Różewicza jakoś nie była niewygodna ani za trudna. Pomijam wszelkie uwikłania czasów, w których ta twórczość powstawała i funkcjonowała, ważne jest dzieło, opus magnum. Najważniejsze są dwa dramaty, „Kartoteka" i „Do piachu", a z poezji „Dytyramb na cześć teściowej".

Ewa Wesołowska

Na czym polega polityka zagraniczna PiS?

Wiadomo, że takiego świata, jaki był przed 24 lutego 2022 r., już nie będzie. Następują bardzo szybkie zmiany, trudno przewidzieć, co będzie 30 czerwca, a tym bardziej 31 grudnia. O dalszych latach nie mówiąc. Nasi politycy niczego nadal nie rozumieją, dlatego stoją na tej samej pozycji. Najważniejsze, aby USA były liderem tego świata. Już nie będą, ale robią wszystko, aby to trwało jak najdłużej. Inne kraje dobrze wiedzą, że ważna jest gospodarka, stąd wizyty w Chinach. Nasi tam się nie wybierają, a szkoda.

Andrzej Kościański

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ostatnie poprawki przed uroczystościami koronacyjnymi. Pracownicy Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud w Londynie przygotowują nowe figury króla Karola i królowej Kamili.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9efbbac1e5

Ponad 7 mln pracowników ponownie wypisało się z Pracowniczych Planów Kapitałowych. Nie dało się zwieść automatycznemu zapisowi wszystkich Polaków do PPK. W programie uczestniczy jeszcze ok. 3,3 mln.

•

Polska 2050 i Koalicja Polska utworzą wspólny komitet wyborczy i razem wystartują w wyborach parlamentarnych. Decyzję ogłosili **Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia**. Koalicja musi w wyborach przekroczyć 8% poparcia, a po wyborach będą dwa osobne kluby parlamentarne.

•

Drożeją wszystkie badane kategorie produktów. W tym roku **ceny w sklepach były o 20,8% wyższe** niż przed rokiem, w marcu już o 23,7%.

•

W 2022 r. pacjenci zapisani do kardiologa **zmarnowali 309 tys. terminów**, bo nie przyszli i nie odwołali wizyt. Pacjenci z problemami ortopedycznymi nie pojawili się 444,9 tys. razy.

•

Lasy już nie są nasze. Skolonizowane przez Solidarną Polskę Lasy Państwowe w ciągu dwóch lat rządów nominatów tej partyjki wydały **na promocję w mediach 12 mln zł**. Toporna propaganda trafia do smakoszy polityki Ziobry.

•

2031 dzieci podjęło próbę samobójczą w 2021 r. 150 prób zakończyło się śmiercią. Od 2020 r. prób samobójczych jest o 140% więcej.

•

Decyzja Konstantego Radziwiłła, byłego wojewody mazowieckiego, który unieważnił **powołanie Moniki Strzępki na dyrektorkę Teatru Dramatycznego**, została uchylona przez Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie.

•

Największy dzwon na świecie, Vox Patris (Głos Ojca), odlała Pracownia Ludwisarska Jana Felczyńskiego z Przemyśla i firma Rduch Bells & Clocks z Rydułtów na zamówienie sanktuarium w Trindade (Brazylia). Dzwon, który będzie można usłyszeć w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, waży 55 ton, ma 4 m wysokości i 4,5 m średnicy.

•

W powiecie szydłowieckim na Mazowszu bezrobocie sięga 26%. W powiecie brzozowskim na Podkarpaciu zarejestrowanych w urzędzie pracy jest 21,5%, w bartoszyckim (Warmia i Mazury) 20,1%, a w leskim (Podkarpacie) 20%.

•

Włoszki we wszystkich grupach wiekowych **będą dostawać za darmo tabletki antykoncepcyjne**. Koszt tej decyzji szacuje się na 140 mln euro rocznie.

•

W 2010 r. ponad 388 tys. gospodarstw w Polsce hodowało 22 mln sztuk świń, w tym roku jest to 9 mln sztuk, a resztę, o wartości 11 mld zł, kupujemy w Danii, Niemczech, Hiszpanii i Belgii.

•

Ziemniaki to nie tylko polska tradycyjna potrawa. **Na świecie jada je regularnie ponad miliard ludzi.**

•

W USA rośnie największe drzewo na świecie. Sekwoja wiecznozielona nazwana Hyperion ma prawie 116 m wysokości.

•

O 120% wzrosła w Polsce sprzedaż pomp ciepła w 2022 r.

PRZEBŁYSKI

Poseł Cymański mowny jak kot łowny

Ta historia zaczęła się tak: dawno temu Tadeuszowi Cymańskiemu, dziś posłowi od Ziobry, ktoś podsunął książkę „Erystyka, czyli sztuka prowadzenia sporów" Schopenhauera. „Tadziu, przeczytaj to, będziesz wiedział, jak wygrywać spory". No i Tadzio przeczytał. Efekty są. Widzimy je od 30 lat w programach różnych stacji telewizyjnych. Tadzio uwielbia tam chodzić i korzystać z nabytej wiedzy. Gdy przegrywasz w debacie, trzeba obrazić przeciwnika, bo jak się wścieknie, jest twój. Warto też odgrywać ofiarę, chwali się Cymański. Oj, warto, warto. Tadziowi wychodzi to nad podziw udanie. I się opłaca. Samej euroemerytury dostaje 7,2 tys. zł. Co miesiąc. A do tego ma jeszcze apanaże poselskie. Nowa elita czyta. To i ma.

Papież rekordzista

Mamy w Polsce ok. 14 tys. szkół. I wszystkie mają patronów. Konkretną osobę, jakąś organizację, a bywa, że wydarzenie miłe rządzącym.

Absolutnym liderem wśród patronów jest Jan Paweł II. Występuje też jako św. Jan Paweł II, kard. Karol Wojtyła, Ojciec Święty Jan Paweł II. Łącznie szkół jego imienia jest 1145. Daleko za nim są Maria Konopnicka (406 szkół) i Tadeusz Kościuszko (364). Mikołaj Kopernik, najsławniejszy polski uczony, dorobił się 344 szkół, a kard. Stefan Wyszyński 218. Księży na tej liście w ogóle jest sporo, m.in. Jan Twardowski (145), ks. Jerzy Popiełuszko (48) czy św. Stanisław Kostka (43). Jakiż to kraj wyłania się z tej listy? Co dorośli chcą w ten sposób przekazać dzieciom? Czy skoro coraz mniej uczniów chodzi na religię, to czeka nas wymiana patronów?

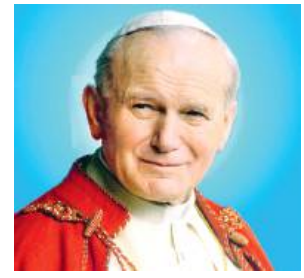

Kowalczyk o zgubnym spożywaniu

Czym się zajmował Henryk Kowalczyk w czasach, gdy był jeszcze pełną gębą wicepremierem i ministrem rolnictwa?

Może myślicie, że przez całą dobę kombinował, jak zatrzymać zboże płynące z Ukrainy, dla zmyłki zwane „technicznym"? Nie. Kowalczyk nie miał głowy do zboża. Trapiło go coś innego. Pijaństwo Polaków. Wizytując diecezję drohiczyńską, wystąpił przed miejscowym ludem jako członek Krucjaty Wyzwolenia. I trzeba przyznać, że ma sporą wiedzę o spożywanych procentach. Zna wydatki na gorzałę i koszty picia. Wypadki, leczenie, absencję. Żal, że po prelekcji w diecezji nic się nie zmieniło. Może trzeba więcej pogadanek? Wicepremier Kowalczyk ma teraz dużo czasu, może się poświęcić walce z pijaństwem, zwłaszcza że ukraińskie zboże zasili gorzelnie.

FOT. YOUTUBE, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9efbbac1e5

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie powinno być jedenaste przykazanie?

DR HAB. KATARZYNA DE LAZARI-RADEK,
filozofka i etyczka

Powinno nim być „pomagaj bliźniemu". Dlatego, że jest to tzw. reguła pozytywna. Większość przykazań w Dekalogu ma charakter negatywny: „nie kradnij", „nie zabijaj", „nie cudzołóż", „nie mów fałszywego świadectwa" itd. Takich zasad dosyć łatwo przestrzegać, bo większość z nas, na szczęście, nie zabija, nie kradnie itd. O wiele trudniej jest wypełnić regułę nakłaniającą nas do aktywności na rzecz innych, która ma duże znaczenie dla naszego rozwoju moralnego. Bo żeby być dobrą istotą, nie wystarczy nie krzywdzić – trzeba pomagać.

KS. SEBASTIAN MADEJSKI,
duchowny Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego

„Nie gwałć". Dlaczego? Bo gwałcimy przyrodę i innych ludzi. Wiemy, że Bóg zawsze staje po stronie słabszych, jednak gdyby takie przykazanie zostało wprost wpisane do Dekalogu, może więcej osób dostrzegłoby, że używają swojej władzy do krzywdzenia innych. Gwałcimy zachowaniami oraz słowami, które nawet gdy są wysublimowane, nadal pozostają grzechem przemocy.

PROF. STANISŁAW OBIREK,
teolog, historyk, antropolog kultury

Bardzo dobrym jedenastym przykazaniem jest przysięga Hipokratesa: „po pierwsze, nie szkodzić". Wydaje mi się, że niezwykle rzadko najgorliwsi wyznawcy wzmożeń moralnych, patriotycznych i religijnych zastanawiają się nad tym, że ich gorliwość wyrządza olbrzymie szkody bliźnim. Mam wrażenie, że szczególnie w polskiej przestrzeni publicznej religia czy patriotyzm są nadużywane do tego, żeby ludzi inaczej myślących zwalczać, niszczyć, stosować wobec nich mowę nienawiści. Byłoby zatem bardzo dobrze dołączyć do znanych zakazów i nakazów wskazanie, żeby nie szkodzić innym.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ZYGMUNT BIAŁKA

Jest już znane. „Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące. Bądźcie wierni przykazaniu. Jedenaste przykazanie: nie bądź obojętny. Bo jeżeli będziesz, to nawet się nie obejrzycie, jak na was, na waszych potomków jakieś Auschwitz nagle spadnie z nieba".

ANDRZEJ KULA

Żyj i daj żyć innym.

WALERIA LUBNER

Poważnie? To wystarczy tylko jedno przykazanie – Przykazanie Miłości. Wszystkie pozostałe są mało ważne.

AŚKA OLSZÓWKA

Bądź odpowiedzialny za środowisko, w którym żyjesz.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 9efbbac1e5

GIEREK: mieszkanie dla każdej rodziny

Lata 70. to był czas wielkiego budowania. Nigdy w historii nie oddawano więcej mieszkań. III RP o rekordach czasów Gierka może śnić

Robert Walenciak

Pamiętam ten dzień. Nowe mieszkanie było jak nowe życie. Zima 1977 r., początek grudnia – wtedy mieszkania oddawano przeważnie pod koniec roku. A co pamiętam? Po pierwsze, zapach. Zapach nowego mieszkania, świeżo położonych farb. Po drugie, przestrzeń. To nie było wielkie mieszkanie, sześćdziesiąt parę metrów kwadratowych, ale było puste, bez mebli, więc wydawało się wielkie jak boisko. Po trzecie, gorąco. Na zewnątrz prawdziwa zima, ze śniegiem i wiatrem, w środku można było chodzić z krótkim rękawem. Po czwarte, poczucie, że zaczyna się to nowe życie, w tym, a nie innym miejscu. Nawet jeżeli do przystanku autobusowego, żeby gdzieś dojechać, szło się 10 minut.

A potem, jak pamiętam, była polska krzątanina. Ach, dywan, zdobyty gdzieś pół roku wcześniej, upchnięty za szafą, można było przywieźć i rozłożyć na podłodze. Regał (Kopernik!), wystany przed rokiem, składowany w kartonach u jednej z cioć (ludzie sobie kiedyś pomagali…), montowała rodzinna ekipa. Jak wyposażona! Poziomica (wiadomo, podłoga lekko pochylona), drewniane podkładki, bułgarska wiertarka… Wielkie dzięki ci, bułgarski cudzie techniki, bez twego udaru nie zawisłyby szafki w kuchni!

I jeszcze jedna scena wśród wspomnień – wielkie, dziecięce pragnienie, żeby w tym nowym mieszkaniu jak najszybciej się przespać. Nie jutro czy za parę dni. Dziś! Obudzić się w swoim. W lepszym.

Takie migawki zachowałem w pamięci. I nie mam cienia wątpliwości – to doświadczenie nie było czymś nadzwyczajnym, w tamtych latach dzieliły je miliony rodzin. Tak spełniało się największe marzenie w powojennej Polsce.

Lata 70. to był czas wielkiego budowania. Nigdy w historii, ani wcześniej, ani później, nie oddawano więcej mieszkań. III RP, bez porównania bogatsza od tamtej, dysponująca nowoczesnymi technologiami, maszynami, o rekordach czasów Gierka może pomarzyć. Tego Gierka, który w mediach głównego nurtu jest albo ośmieszany, albo niezauważany, a który w sondażu „Gazety Wyborczej", Radia ZET i TVN przez 46% Polaków został wskazany jako ten, który był najlepszym przywódcą w historii Polski. OK, to był sondaż z roku 2004, więc dziś jego wyniki wyglądałyby pewnie inaczej. Wiadomo, propaganda zohydzająca Polskę Ludową i wszystko, co z nią związane, kwitnie. Ale i tak Gierek byłby faworytem takiego sondażu. Ku rozpaczy wielu dziennikarzy. I historyków.

Ten fenomen celnie scharakteryzował prof. Dariusz Jarosz, pisząc: „Jednym z wielu paradoksów obecnego stanu badań nad historią PRL jest dysproporcja między zainteresowaniami badaczy, koncentrujących się nadal przede wszystkim na polityczno-martyrologicznych wątkach dziejów ojczystych, a wizją tego okresu, oglądaną przez pryzmat różnego rodzaju dokumentów autobiograficznych, wytworzonych przez obywateli państwa. (…) Historia PRL oglądana od dołu komplikuje klasyczny, politologiczny schemat totalitarnej władzy i katolickiego, antykomunistycznego narodu, ale zbliża nas do zrozumienia społecznej istoty funkcjonowania tego państwa i jego obywateli".

Wola ludu czy wola szefa?

Oto dlaczego historia jest tak mało szanowana – bo czemu ma służyć: wyjaśnianiu, co się zdarzyło i dlaczego, czy uzasadnianiu propagandowych schematów? A gdy omawiamy eksplozję budownictwa mieszkaniowego w epoce Gierka, zderzamy się z jeszcze jednym pytaniem – co jest ważniejsze, nacisk społeczny, wola ludu czy decyzje jednostki? Bo w tamtym czasie nacisk społeczny, by budować mieszkania, był potężny. Wszystkie badania pokazują, że kwestia mieszkaniowa była w Polsce Ludowej uważana za problem numer 1.

Złożyło się na to wiele elementów. Mieszkań brakowało w Polsce przedwojennej. II wojna światowa zniszczyła większość miast, ten i tak niewielki zasób powierzchni mieszkalnej. Na to nałożyła się demografia. Polska Ludowa była państwem o bardzo wysokim przyroście naturalnym. W latach 1970-1975 na rynek pracy wchodziło 3,5 mln ludzi. To był wyż urodzonych po wojnie. Oni mieli swoje aspiracje, ambicje, a władza, by zachować legitymację, musiała na to wyzwanie odpowiedzieć.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Edward Gierek zwiedza warszawskie osiedle Ursynów, styczeń 1977 r.

Władysław Gomułka próbował ten problem rozwiązywać w ramach tamtych możliwości. Oszczędzając. Ograniczając wielkość mieszkań, ich wysokość, budując je z ciemnymi kuchniami. Ba, przymierzano się do budowy bloków z jednym węzłem sanitarnym na piętrze. Argumentowano, że dla ludzi wyrwanych z wiosek to i tak będzie postęp. To były nieudane eksperymenty.

Aż nadszedł czas Edwarda Gierka. Była wola ludu, nacisk społeczny, a teraz pojawiła się jednostka…

Moje rozmowy z Gierkiem

Prof. Andrzej Karpiński ma dziś 95 lat i wciąż imponuje pamięcią. Był w tym czasie zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania i pamięta tamte rozmowy, gdy wykuwała się polityka mieszkaniowa.

Pierwsza miała miejsce 5 stycznia 1971 r., w samolocie wracającym z Moskwy. Gierek, jako I sekretarz PZPR, składał wizytę Leonidowi Breżniewowi. „Edward Gierek był w bardzo dobrym nastroju, spodziewał się, że będzie znacznie gorzej – wspomina prof. Karpiński. – I powiedział w pewnym momencie, że poświęca ekspertom, każdemu, po 10 minut. Siedziałem więc przy okienku w samolocie i mówiłem o rynku, o braku towarów… A on… Określił swoje priorytety. W każdej rodzinie samochód prywatny i mieszkanie”.

Mieliśmy zatem decyzję polityczną, której symbolem są dziś osiedla z wielkiej płyty i fiat 126p. Ale wtedy trzeba było przekuć marzenia w działania. Najpierw na poziomie planów, a później konkretnych rozstrzygnięć.

•

Założenia nowej polityki mieszkaniowej przyjęte zostały podczas V Plenum KC PZPR, w maju 1972 r. Przypomina je prof. Jarosz w znakomicie udokumentowanej pracy „Mieszkanie się należy… Studium z peerelowskich praktyk społecznych”, poświęconej budownictwu mieszkaniowemu w Polsce Ludowej. W dokumentach z tamtego plenum czytamy: „Mieszkanie warunkuje założenie i prawidłowy rozwój rodziny, (…) zaspokojenie potrzeb w dziedzinie mieszkania stanowi warunek intensywniejszego wykorzystania istniejącego potencjału produkcyjnego. (…) Opóźnienia w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych przeszkadzają zarówno unowocześnianiu gospodarki naszego kraju, jak i harmonijnemu rozwojowi społeczno-kulturalnemu”.

Proszę zwrócić uwagę, na pierwszym miejscu wymieniono „założenie i prawidłowy rozwój rodziny”, a o socjalizmie, nie mówiąc o Związku Radzieckim, nawet nie wspomniano. To w jasny sposób pokazuje priorytety i sposób myślenia tamtej ekipy.

Jerzy Waszczuk, kierownik sekretariatu Edwarda Gierka, ten zwrot opisywał tak: „Do czasów Gierka w partii była doktryna, że sfera społeczna to jest danina, którą partia musi zapłacić narodowi, żeby poparł jej program. Gierek to odrzucił. Dla niego sfera społeczna stała się celem”.

No dobrze, decyzja polityczna została podjęta. Ale jak wprowadzić ją w życie? Andrzej Karpiński znakomicie pamięta tamte dyskusje. W perspektywicznym planie przyjęto, że problem mieszkaniowy rozwiązany zostanie do roku 1990. Czyli do tego czasu każda rodzina powinna mieć samodzielne mieszkanie. A to oznaczało, że trzeba było zbudować, bagatela, 7,3 mln mieszkań. Czy to było realne? W latach 60. zbudowano tych mieszkań 1,7 mln i już było wiadomo, że więcej się nie da. Tymczasem Gierek, jeśli chciał zrealizować swoje zamierzenia, musiał to tempo podwoić.

Jak? Plany zostały opracowane i trafiły pod obrady Biura Politycznego, które przygotowywało wspomniane V Plenum. „Referowałem

eprasa.pl 9efbbac1e5

nasze plany, a potem była dyskusja – wspomina Karpiński. – Sześć godzin to trwało. Z przerwą na obiad. W tej przerwie rozmawiałem z Gierkiem, pytał mnie, dlaczego w naszym planie o kilku sprawach nie napisaliśmy. A myśmy nie napisali, bo mieliśmy zasadnicze wątpliwości. W tym planie założone było, że w roku 1990 poziom budownictwa mieszkaniowego wyniesie, wariantowo, od 500 tys. do 600 tys. mieszkań rocznie. W szczycie, w roku 1978, osiągnęliśmy poziom 284 tys. oddawanych do użytku mieszkań rocznie. Więc te 500 tys., bez rewolucji 1980 r., która wszystko zmieniła, było do osiągnięcia. Ale jak? I o tym była dyskusja, przez tyle godzin".

A o czym dyskutowano? „Myśmy sprawę stawiali tak: przy obecnej technologii, że są maszyny, dźwigi i pracują robotnicy, maksymalnie możliwe jest osiągnięcie poziomu 200 tys. mieszkań rocznie – relacjonuje Karpiński. – To jest maksimum! I myśmy tego nie osiągali. Jeżeli chcemy osiągnąć 300 tys. mieszkań rocznie, a tak zakładał plan pięcioletni, trzeba zastosować inną technologię. I to była technologia wielkiej płyty. Ona była bardzo droga, bardzo energochłonna. Bo produkcja betonu wymaga olbrzymiej ilości energii. Trzeba więc było zbudować kilka dodatkowych kopalń. I była wielka dyskusja. Jedni byli za, drudzy – przeciw. Zwyciężyła w dyskusji opcja wielkiej płyty. Ta droga. Cel ważniejszy – powiedział Gierek. Taki był sens jego wypowiedzi – że najważniejszy jest cel, a z kosztami gospodarka sobie poradzi. I myśmy przyjęli w związku z tym program, i to była pierwsza decyzja, że mamy budować 300 tys. mieszkań rocznie. Co to oznaczało? Musieliśmy zbudować fabryki domów. Pierwsza została zbudowana w 1973 r. Teraz wszystkie są zniszczone, bodajże jedna się uchowała, w Łodzi. Ale wtedy zaczęły powstawać, w sumie zbudowano ich ponad 50".

Machina ruszyła. Czy te założenia były realne? Na początku 300 tys. mieszkań rocznie, potem nawet pół miliona? Karpiński nie ma wątpliwości: „Moim zdaniem te 500 tys. mieszkań budowanych w roku 1990, albo i 600 tys. w górnym wariancie, było do osiągnięcia, bo to było mniej niż w Hiszpanii. Ale nie wiedzieliśmy, że w roku 1980 przyjdzie rewolucja".

Po co jest architekt?

Jeżeli chce się budować na tak wielką skalę, jest oczywiste, że nowe domy muszą wyjść poza obszar dotychczasowych miast. Że miasta muszą się rozrastać. Efekty tego mogą być różne. Dziś panoszy się patodeweloperka, osiedla zwane hongkongami, z fatalną komunikacją, z domami maksymalnie upchanymi na małych, przypadkowych działkach, bez szkół, przychodni itd. (bo to deweloperowi pieniędzy nie daje). W epoce Gierka tej dzikości nie było. Osiedla projektowano jako pewną całość. Miały być miejscem nie tylko do spania, ale i do mieszkania. Tak powstało zresztą sztandarowe osiedle epoki, dziś dzielnica Warszawy – Ursynów.

Główny projektant osiedla, Marek Budzyński, tak wspominał tamten czas: „Początek Ursynowa to lata 1971-1972, czyli początek próby humanizacji socjalizmu, jak się mówiło, oraz »korzystania z doświadczeń Zachodu«, czyli bardzo dobry okres do rozpoczynania różnych działań. W moim przekonaniu władza naprawdę miała intencje tworzenia dobrej przestrzeni".

W ten sposób powstał Ursynów Północny, jako układ budynków mieszkalnych rozrzuconych wśród zieleni, mający w zamierzeniu zapewnić mieszkańcom ciszę i poczucie bezpieczeństwa. Budynki nie zostały podporządkowane siatce ulic, więc znalezienie niektórych adresów było sztuką, ale chyba było warto. Ciągi piesze prowadziły do sklepów, do szkół… Ale ważniejsze jest coś innego – Ursynów świetnie pokazuje, jak zamiary projektantów zderzyły się z rzeczywistością. Gdy był projektowany, obliczano, że nawet 30% jego mieszkańców będzie miało poniżej 10 lat. Marek Budzyński zaprojektował więc 13 szkół. Wybudowano sześć. Pozostałe spadły z planu. Podobnie jak pasaże handlowe, place zabaw czy przychodnie. Powód był prosty – potężny nacisk społeczny na to, by oddawać jak najwięcej mieszkań, i rosnące kolejki oczekujących (dlaczego, o tym za chwilę) sprawiały, że wszystkie środki rzucano na budowę domów, inne rzeczy odkładając na później. Z punktu widzenia tych, którzy już się wprowadzili, były to działania bezsensowne. Z punktu widzenia tych, którzy czekali w kolejce na swoje M, jak najbardziej mądre.

Zresztą te dyskusje, jak budować, toczyły się praktycznie przez cały czas PRL. Przypomina je prof. Dariusz Jarosz. Na przykład cytuje dokumenty z roku 1966, z posiedzenia Rady Centralnego Związku Spółdzielczości Budownictwa Mieszkaniowego, na którym krytykowano ciemne kuchnie, zmniejszanie odległości między budynkami (w PRL i tak musiały być dużo większe niż dzisiaj!) czy zaniechanie budowy placów zabaw.

Potem, w latach 70., ograniczenia zostały poluzowane, zaczęto budować mieszkania większe, z widną kuchnią, co zresztą zapisano w dokumentach.

O tych sporach opowiadał też Adam Glazur, wiceminister, a od roku 1975 minister budownictwa. „Była polityka – mówił – żeby budować więcej mieszkań, nawet jeżeli miałyby mieć gorszy standard. Sprzeciwiałem się temu. Byłem zdania, że można oddawać nieco mniej mieszkań, ale o wyższym standardzie. Zlikwidowałem ciemne kuchnie! A Ursynów? To osiedle było zaprojektowane bardzo tanio. Nie było piwnic i nie było strychów. A ludziom trzeba było stworzyć jakieś warunki, coś im załatwić. Więc załatwiłem balkony".

Wielka płyta wprowadzała ujednolicenie bloków i mieszkań. Wszystko było jak spod sztancy. Co jednak dla budowlańców było dobrym

Nacisk społeczny, by budować mieszkania, był potężny. Wszystkie badania pokazują, że kwestia mieszkaniowa była w Polsce Ludowej uważana za problem numer 1.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Ziemia koszalińska. Wizyta I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i premiera Piotra Jaroszewicza, marzec 1973 r.

rozwiązaniem, bo mogli stawiać domy niemal mechanicznie, dla architektów, tych ambitnych, było koszmarem. Jeśli chodzi o Ursynów, to akurat w tej potyczce architekci mieli sporo do powiedzenia. Domy są różnej wielkości, otoczone zielenią (w latach 70. jeszcze jej nie było), towarzyszą im zmiany poziomu gruntu, wraz ze słynną Kopą Cwila, wzniesioną z ziemi z wykopów.

Gdy nie rządzi rynek

Jakość… Opisywanie partactwa ówczesnych budowniczych było dyżurnym tematem. Chociaż, jeśli oceniać sytuację na zimno, był to koszt nieunikniony. Po pierwsze, brakowało ludzi, fachowców – o tym mówią wszyscy, którzy kierowali budowami w latach 70. Jeżeli gwałtownie rozwija się inwestycje, i to w kraju, w którym może nie brakuje rąk do pracy, ale te ręce niewiele potrafią, z kiepską jakością wykonania trzeba się liczyć. Zwłaszcza gdy na budowie dominuje jedno kryterium – szybciej, bo ludzie czekają.

Po drugie, wszystkiego brakowało. Tak tłumaczono opóźnienia w budownictwie mieszkań w roku 1976 – wynikały z faktu skierowania zwiększonych ilości towarów na rynek, więc spółdzielniom budowlanym zabrakło 12 tys. piecyków gazowych, 20 tys. wanien, 4 tys. kuchni gazowych i 26 tys. zlewozmywaków.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy na tamte zmagania, widzimy z jednej strony koszmarną jakość, przemarzające ściany itd. A z drugiej – wielką pracę spółdzielni mieszkaniowych (już w III RP), które bloki remontują, ocieplają… I ta wielka płyta, tak wyśmiewana w latach 90., która miała się rozpaść, stoi i będzie stać przez najbliższe 150 lat.

•

Miejmy świadomość, że kryterium rynkowe wówczas nie istniało. Mieszkania nie kupowało się, tak jak dzisiaj, od dewelopera, z 30-letnim kredytem w banku, lecz otrzymywało się je albo od spółdzielni, do której trzeba było się zapisać, albo z zakładu pracy. Kluczowe jest tu słowo otrzymywało. Nie oznaczało to, że mieszkanie było za darmo – ale jego cena nie obciążała budżetu domowego.

Waldemar Witkowski, szef Unii Pracy i jednocześnie wieloletni prezes Spółdzielni Mieszkaniowej im. H. Cegielskiego w Poznaniu, wyjaśnia to w prostych słowach: „Mieszkanie lokatorskie kosztowało 10% ceny budowy, choć w różnych okresach było różnie. Ale cena metra kwadratowego mieszkania była regulowana”.

Dodajmy, że te 10% (czasami 15%) można było zebrać, wpłacając regularnie na książeczkę mieszkaniową, a potem dopłacając niewielkie sumy do czynszu. W społecznej świadomości było więc zakodowane, że mieszkanie się dostaje.

A jeżeli się je otrzymywało – to znaczy, że ktoś o tym decydował. Kto? Prof. Dariusz Jarosz w pracy „Mieszkanie się należy…” poświęca temu wiele miejsca. Zamieszcza wspomnienia tych, którzy na mieszkanie czekali, i tych, którzy je rozdzielali, jak również materiały statystyczne, rozporządzenia, materiały z sądu (w Szczecinie w 1978 r. łapówka za przesunięcie w kolejce wynosiła 80 tys. zł, tyle kosztował fiat 126p).

System wyglądał z grubsza tak, że spółdzielnie budowały, ale musiały tym najrzadszym dobrem się dzielić – z przedsiębiorstwami, które budynki stawiały, z największymi zakładami w regionie, z administracją… Każda ważna instytucja miała swoją pulę, odgórnie wyznaczoną. Ale nie było tak, że ich szefowie mogli rozdawać mieszkania po uważaniu. To było zadanie różnych komisji, które zbierały się i analizowały poszczególne przypadki – jakkolwiek by to zabrzmiało, demokratycznie i kierując się zasadami sprawiedliwości.

W tamtych czasach mieszkanie nie było towarem rynkowym. Owszem, jak ktoś miał wielkie pieniądze, mógł je kupić. Albo na rynku wtórnym, albo od państwa za dolary. Ale 99% Polaków otrzymywało je na przydział. Jedni szybciej – np. potrzebni w regionie albo w zakładzie pracy fachowcy. Drudzy musieli czekać dłużej.

Oto opowieść przewodniczącego komisji mieszkaniowej przydzielającej mieszkania w jednym z zakładów pracy. Pewnego dnia przyszła do niego sprzątaczka, która była gdzieś daleko na liście oczekujących, i rzuciła mu na stół wypchaną kopertę. Żeby jej załatwił… „Nie tykałem tych pieniędzy, natychmiast zwołałem prezydium komisji. Zastanawialiśmy się, czy oskarżyć ją o przekupstwo. Ale ja stwierdziłem: może ta kobieta targnęła się na ostateczność, wyślijmy komisję, zobaczmy, jak mieszka. Stwierdzono »trudne warunki«. Mieszkanie jej przyznano, pieniądze zostały zwrócone”.

FOT. PAP/STEFAN KRASZEWSKI, PAP/CAF

eprasa.pl 9efbbac1e5

Wiele lat później, pewnej niedzieli, na placu przed kościołem przewodniczący komisji spotkał ową sprzątaczkę. Podeszła do niego, mówiąc, że modli się za niego codziennie. I że pieniądze, które mu dawała, to były oszczędności jej życia.

Ta opowieść zawiera szczegół wart przypomnienia – komisje weryfikujące warunki mieszkaniowe realnie istniały, sprawdzały na miejscu, jak wygląda sytuacja mieszkaniowa oczekujących w kolejce. Czy nie przesadzają w opisie? A pomysłowość zdesperowanych była wielka.

System przydziału mieszkań, różne pule, możliwości, rodził rzecz jasna patologie, kusił drogą na skróty. Ale to był margines. Za Gierka oddano do użytku 2,4 mln mieszkań. Tyle rodzin otrzymało swoje M. Czy ktoś uważa, że te miliony to byli sami członkowie PZPR, milicjanci i wojskowi?

Dzieło Gierka

Nad tym, że dekada Gierka jest mieszkaniowym rekordzistą, nie ma co się rozwodzić. W latach 1971-1980 wybudowano, powtórzmy, 2,4 mln mieszkań. Dla porównania – w latach 2001-2010 – ledwie 1,3 mln, a w latach 2011-2020 trochę więcej – 1,7 mln.

Skąd te różnice? Odpowiedź jest prosta – to efekt decyzji politycznej. Skierowania do danej branży odpowiednich środków. Według wyliczeń prof. Andrzeja Karpińskiego w latach 70. na budownictwo mieszkaniowe państwo przeznaczało 3,7% PKB. W roku 2005 – ok. 0,9% PKB.

Co interesujące, mimo że epoka Gierka była okresem, w którym oddawano do użytku najwięcej mieszkań, kolejka chętnych się wydłużała. Dlaczego tak się działo? Dlaczego w roku 1970 deficyt mieszkań szacowano na 1,3 mln, a w roku 1978 już na 1,6 mln?

Przede wszystkim dlatego, że na rynek wchodził wyż urodzonych po wojnie. O ile w 1965 r. liczba osób w wieku 20-29 lat wynosiła 4,1 mln (13% ogółu ludności), o tyle w roku 1970 – 4,84 mln, a w roku 1980 – 6,67 mln (18,7% ogółu). To gigantyczny skok. I właśnie, by rozbroić tę demograficzną bombę, Gierek zdecydował się na ambitny plan mieszkaniowy.

Na to nałożył się jeszcze jeden element – rosły aspiracje Polaków i zmieniał się ich styl życia. Chcieli żyć wygodniej. A codziennie widzieli znajomych, przyjaciół, krewnych, którzy właśnie do nowego mieszkania się wprowadzili. To zresztą był główny temat rozmów w pracy – kto dostał mieszkanie, czy jest w dobrym punkcie, ustawne, jak jest meblowane… Nacisk był zatem ogromny, zwielokrotniony efektem demonstracji. „Zabrałaś mi lato, a ja ci dam za to nazwisko, mieszkanie i fiata", śpiewano. Albo: „Powiedzmy tak – za osiem lat adres w bloku i mały fiat".

W epoce Gierka osiedla projektowano jako pewną całość. Tak powstało sztandarowe osiedle epoki, dziś dzielnica Warszawy – Ursynów.

Dokumenty z tamtych lat pokazują, że Edward Gierek był absolutnie świadom tych procesów. Wiedział, że tak będzie. Na V Plenum mówił, że celem jest odrębne mieszkanie dla każdej rodziny: „Musimy zapewnić młodzieży nie tylko miejsca pracy, ale również dogodne warunki do założenia rodziny". Przy czym dodawał rzecz absolutnie rewolucyjną: „Istotnym elementem przedstawionej koncepcji jest przyjęcie zasady, że mieszkanie stanowić powinno coraz powszechniej osobistą własność obywatela, której nasz ustrój socjalistyczny zagwarantuje pełne poparcie i ochronę prawną. (…) Wszyscy wiemy, że prawo własności mieszkania daje poczucie stabilizacji, jest dodatkowym bodźcem do poprawy jakości pracy, otwiera bowiem nową możliwość celowego wykorzystania oszczędności".

Tak oto otwierano drogę do mieszkań własnościowych. A w dalszej kolejności – do rozwoju budownictwa jednorodzinnego. I do nowego społeczeństwa – nie tyle budującego socjalizm, ile konsumującego jego owoce. Każda rodzina ma swoje mieszkanie, swój samochód, może nim pojechać na wczasy, wszyscy są mniej więcej równi…

To były plany, których realizacja się nie powiodła. Ale wciąż tkwią głęboko w społecznych marzeniach.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

PODLASIE pod ścianą

Kryzys migracyjny trwa, Podlasianie nie mogą normalnie żyć ani pracować

Zuzanna Muszyńska

„W trakcie przedłużonego świątecznego weekendu od 7 do 10 kwietnia br. polsko-białoruską granicę nielegalnie próbowało przekroczyć 180 osób. Zatrzymano również 6 pomocników w organizowaniu nielegalnego przekroczenia granicy", informowała po świętach wielkanocnych Straż Graniczna. Latem zeszłego roku na podlaskim odcinku granicy z Białorusią ukończono budowę wysokiego na 5,5 m płotu ze stalowych przęseł, zwieńczonego drutem żyletkowym, o łącznej długości 186 km. Pozostałe 206 km granicy polsko-białoruskiej chroni bariera elektroniczna, oddana do użytku pół roku później. Znajduje się tam, gdzie nie ma płotu, np. wzdłuż granicznych rzek – Bugu i Świsłoczy. „Nielegalne przedostanie się do Polski jest obecnie niemal niemożliwe. Polska granica jest dziś najlepiej chroniona w Europie", tweetował na początku 2023 r. Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP.

W podlaskich lasach przybywa uchodźców. Za zaginione uznaje się obecnie kilkaset osób. Zmarło co najmniej 40, więcej niż w ciągu 50 lat na granicy między NRD a RFN. Kryzys migracyjny trwa, Podlasianie nie mogą normalnie żyć i pracować.

Turysta czy szmugler

Ruiny kościoła św. Antoniego w Jałówce leżą na skraju wsi, niespełna kilometr od granicy. Świątynia została zburzona podczas działań wojennych w 1944 r. Spacer wśród ruin kończy się kontrolą dokumentów oraz samochodu, którego tablica rejestracyjna przyciągnęła uwagę Straży Granicznej. Jest miło i jest nawet zgoda zwierzchników na sfotografowanie muru, do którego podjeżdżamy w dwa auta. Ostatni odcinek przechodzimy pieszo. Świeci słońce, śpiewają ptaki. Pogranicznicy unikają odpowiedzi na pytanie, czy komukolwiek udaje się sforsować mur.

Po powrocie do wsi rozstajemy się, oni wracają na posterunek, my jedziemy na północ szlakiem nadgranicznych osad. Po drodze widzimy więcej bocianów niż ludzi. W Mostowlanach zatrzymujemy się, by obejrzeć cerkiew św. Apostoła Jana Teologa. Obok prawosławnego cmentarza wycięto las, odsłonił się widok na zieloną dolinę Świsłoczy.

Nad wsią przelatuje wojskowy helikopter. Z głównej ulicy widać nadrzeczne posterunki. Oprócz budek strażniczych stoją tam reflektory zasilane akumulatorami. Granica od Jałówki przez Kruszyniany aż do wsi Ozierany Małe meandruje razem ze Świsłoczą. Na widok funkcjonariuszy z bronią przypominają się relacje o kurtce kobiety znalezionej w Świsłoczy czy dryfującym po białoruskiej stronie ciele mężczyzny, którym zajęły się nasze służby, kiedy prąd zniósł je w kierunku polskiego brzegu. Malownicza dolina kojarzy się dziś ze śmiercią.

Dżenneta Bogdanowicz, właścicielka Tatarskiej Jurty.

Drugą kontrolę przechodzimy w Świsłoczanach. Za trzecim razem, za Zubkami, zostajemy odmachnięci po wyjaśnieniu, że jedziemy na obiad do Tatarskiej Jurty. Oddalamy się od granicy. Przecinamy drogę krajową 65, łączącą Białystok z Bobrownikami – pustą, jakby świat tu się kończył.

Żebranie o wsparcie

Od 10 lutego nie ma czynnego przejścia granicznego z Białorusią w Podlaskiem (ruch drogowy w Kuźnicy zawieszono do odwołania w listopadzie 2021 r.). Minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński, informując 9 lutego o zamknięciu przejścia w Bobrownikach, jako przyczynę podał „ważny interes bezpieczeństwa państwa". „Decyzja szefa MSWiA kompletnie nas zaskoczyła. Nie otrzymaliśmy wcześniej żadnych informacji na ten temat, nasi przewoźnicy nie mieli szans, by się do niej odpowiednio przygotować, chociażby zaplanować alternatywny powrót do Polski. W ostatnich latach przewozy na Wschód wykonywało

eprasa.pl 9efbbac1e5

ok. 2 tys. polskich firm. Zwracamy uwagę, że przez przejście graniczne w Bobrownikach zwykle przejeżdżało miesięcznie prawie 10 tys. polskich samochodów ciężarowych, co stanowiło ponad 70% całego ruchu granicznego", pisała w informacji prasowej z lutego 2023 r. Anna Brzezińska-Rybicka, rzeczniczka prasowa Zrzeszenia Międzynarodowych Przewoźników Drogowych. Ciężarówkom pozostało przejście w Koroszczynie lub przejazd przez Litwę.

Przedsiębiorcy z Kuźnicy i Bobrownik stracili klientów, m.in. kierowców tirów i pasażerów osobówek. Walczą o swoje w ramach Porozumienia Polskich Przedsiębiorców Zjednoczony Wschód. W połowie kwietnia wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Wąsik zapowiedział, że prace nad wprowadzeniem przepisów o rekompensatach są na ukończeniu. Przedsiębiorcy odnieśli się do pakietu pomocowego w Radiu Białystok. „3490 zł dopłaty do pracownika, a gdzie ZUS, gdzie opłaty za dzierżawę gruntu, za prąd? Tutaj nie ma po co trzymać pracowników – mówiła właścicielka sklepu w Bobrownikach, która zwolniła dotychczas 11 osób, zatrudnia już tylko jedną. – Co mieliby robić w pustym sklepie?". Uczestniczki audycji oceniły, że pomoc rządu jest tak skonstruowana, by żaden przedsiębiorca jej nie dostał. Skarżyły się, że nikt do nich nie przyjechał, nie zobaczył, jak wygląda sytuacja: „Rząd najpierw zamyka granicę, potem pisze coś na kolanie".

Dajcie nam pracować

Drewniane ściany Tatarskiej Jurty w Kruszynianach błyszczą w słońcu świeżością. Na dużym parkingu stoi kilka aut. Restauracja jest na razie czynna od piątku do niedzieli w godz. 11-17. Smażony pieróg wjeżdża na stół na jednorazowym talerzu. Po obiedzie pani Dżenneta Bogdanowicz, właścicielka Jurty, zaprasza na rozmowę. – W tym roku mija 20 lat, odkąd rozpoczęliśmy działalność w Kruszynianach – opowiada. Pani Dżenneta urodziła się i wychowała w wielkopolskiej Trzciance, na Podlasie zaczęła przyjeżdżać jako panna, m.in. na bale po ramadanie. Tak poznała męża Mirosława i zamieszkała w Supraślu. – Kiedy przyjeżdżaliśmy odwiedzać dziadka mojego męża do Kruszynian, obserwowałam, jak wioska umiera – mówi. – Był we mnie sprzeciw, że tak może się zakończyć nasza tatarskość. Ziemie są tu słabe, ludzie wyjeżdżali za pracą, nawet imam wyjechał.

Z Supraśla do Kruszynian przenieśli się, kiedy córki dorosły i opuściły dom. W wyremontowanej chatce po dziadku urządzili pokoje do wynajęcia i restaurację. – Jestem zwykłą tatarską gospodynią, ale chciałam pokazać przybyszom, czym jest tatarska gościnność – tłumaczy pani Dżenneta. Ludzie przyjeżdżali, by zobaczyć, jak śpią polscy Tatarzy, co jedzą, jak się modlą. Po kilku latach, gdy o Bogdanowiczach zrobiło się głośno w mediach, Kruszyniany odżyły, stały się wioską letniskową. Dobra passa trwała do 2018 r., kiedy Tatarska Jurta doszczętnie spłonęła. Z dymem poszedł cały dorobek życia Bogdanowiczów. Na apele o pomoc odpowiedzieli Polacy i Tatarzy, z Polski i z różnych stron świata. Tymczasowe schronienie dała Muzułmańska Gmina Wyznaniowa. – Pięć lat po pożarze dalej jesteśmy ich gośćmi, wdzięczni, że w ogóle możemy pracować – wyjaśnia pani Dżenneta.

Koronawirus ich nie pokonał, po lockdownach mieli rekordowy sezon. Przyjechał Robert Makłowicz, zrobił program o tatarskiej kuchni. I nagle zdarzył się 2 września 2021 r. – Władze z obawy o bezpieczeństwo zamknęły nas z dnia na dzień – wspomina pani Dżenneta. – Z towarem, w który włożyliśmy ogromne pieniądze, bo jesień to dla nas dobry czas. Musieliśmy przerwać budowę. Na przyjęcie mundurówki nie byliśmy jeszcze gotowi, karmić ich też nie miało sensu, jedli tam, gdzie spali. Przez 10 miesięcy nie pracowaliśmy, a kredyty trzeba było spłacać. Dostaliśmy rekompensaty za dwa miesiące, a potem już nic, bo przekroczyliśmy limit pomocy de minimis. Do dziś ani grosza więcej.

– Jesteśmy biznesem rodzinnym, córki z mężami do nas dołączyły – dodaje. – Rodzina to siła, razem jesteśmy silni. Dzieci nas nie opuściły w kryzysie, choć mogły pojechać w świat. Chcemy się odbudować. Damy sobie radę, jeśli nikt nie będzie nam przeszkadzał. Boimy się, ale mamy nadzieję, że to, co najgorsze, już jest za nami. Trzeba chronić granice, ale także ludzi, którzy tu żyją i pracują. Kuźnica, Bobrowniki – zamknięte. Ile to ludzkich tragedii. Ich też z dnia na dzień pozamykali.

W lesie koło Tarnopola.

Mizar przyjmuje uchodźców

Bohoniki leżą między Krynkami a Sokółką, w linii prostej ok. 9 km od

eprasa.pl 9efbbac1e5

granicy. Krajobraz jest tu nieco mniej puszczański, bardziej rolniczy. Tatarzy osiedlili się w wiosce w XVII w. Bohonicki mizar leży z dala od osady, wśród pól. Prowadzi do niego długa aleja. Za niskim murem, na wzgórzu porośniętym sosnowym lasem jest kilkaset grobów zwróconych stopami w kierunku Mekki. Większość ma okazałe pomniki, niektóre w kształcie półksiężyca. Mogiły uchodźców znajdują się w odległym zakątku cmentarza. Jest ich siedem, usypanych z ziemi, otoczonych polnymi kamieniami. W najmniejszej spoczęły szczątki dziecka, które zmarło w łonie matki, Kurdyjki z Iraku. Rodzice chcieli dać chłopcu na imię Halikari. Matka trafiła w ciężkim stanie do jednego z podlaskich szpitali, zmarła trzy tygodnie później. Jej ciało przetransportowano do Iraku. Ojciec wraz z pięciorgiem dzieci trafił do ośrodka dla cudzoziemców w Białymstoku.

Jest tu także grób jednej z pierwszych ofiar kryzysu humanitarnego na granicy – 19-letniego Ahmada al-Assana z Syrii, którego polskie służby graniczne wepchnęły wraz z towarzyszem z powrotem do Bugu. Koledze udało się dotrzeć do przeciwległego brzegu, Ahmad utonął.

Bohoniki, w przeciwieństwie do Kruszynian, znalazły się w 2021 r. poza strefą zamkniętą. Zarząd Gminy Muzułmańskiej zgodził się udostępniać tatarski cmentarz do godnego pochówku braci muzułmanów, którzy zginęli na granicy. Na zabranie ciał do ojczyzny rodzin najczęściej nie stać. W pogrzebach uczestniczą krewni, osobiście lub za pomocą transmisji w mediach społecznościowych, oraz członkowie społeczności muzułmańskiej. Ofiary kryzysu na granicy chowane są również na innych lokalnych cmentarzach, przeważnie prawosławnych.

Ciał uchodźców w lasach i na bagnach szukają aktywistki i aktywiści. Prokuratura Okręgowa w Suwałkach prowadzi obecnie trzy śledztwa w sprawie śmierci cudzoziemców, których ciała zostały odnalezione w rejonie granicy z Republiką Białorusi. Pierwsze dotyczy lat 2021-2022 i 12 ciał, w tym dwóch znalezionych w Świsłoczy. Bieżący rok obejęło odrębne śledztwo, dotyczące sześciu ciał, w tym dwóch znalezionych w rzece Świsłocz. Kolejne śledztwo toczy się w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci obywatelki Etiopii, Mahlet Kassa, której ciało ujawniono w pobliżu Hajnówki 12 lutego br. Przyjaciele Mahlet powiadomili służby i błagali o pomoc w ratowaniu kobiety, na darmo. Aktywiści znaleźli Mahlet martwą tydzień później.

Grupa Granica pod koniec marca podawała informacje o 327 osobach zaginionych na pograniczu. Na cmentarzu w Bohonikach jest jeszcze dużo wolnych miejsc.

Chcę wszystko sprzedać

W Puszczy Białowieskiej za Narewką zatrzymują nas na kontrolę bagażnika. W Białowieży leje deszcz. Największy ruch jest przy Gospodzie Pod Żubrem, znanej z dobrej kuchni. Na parkingu brak miejsc, więcej niż połowę placu zajmuje wojsko. Żołnierze kręcą się przy budkach z pamiątkami, oglądają pluszowe żubry i puzzle z żubrami. Wzdłuż ulicy Kolejowej, na tyłach stacji Białowieża Pałac, ciągnie się wojskowe obozowisko. Pachnie obiadem, kuchnia polowa pracuje na pełnych obrotach. Naprzeciwko stacji stoi niebieska, stylowa chata z restauracją na dole i pokojami do wynajęcia na górze – Babushka Bistro. Tu cały parking pusty – nieczynne.

Z ponurej Białowieży uciekamy do Hajnówki, gdzie siostrzana Babushka jest czynna i smacznie w niej karmią, a właścicielka obu lokali zgadza się opowiedzieć dalszy ciąg swojej historii. Poprzednio rozmawiałyśmy w maju zeszłego roku, kiedy płot już stał, a rząd zwlekał z podaniem informacji o zniesieniu zony.

– Kiedyś pokoje na majówkę były rezerwowane w lutym, teraz w kwietniu pojawiają się pierwsze rezerwacje. Przyjeżdżają jednodniowcy, na spacer. Z tego się nie uzbiera na wynagrodzenia dla pracowników. Zepsuli nam Białowieżę – mówi pani Grażyna Artemiuk. Wyjaśnia, że mur stoi, ale w lesie znajdowane są ciała. Ludzie boją się przyjeżdżać, Wschód się nie sprzedaje. Za długo to wszystko trwa. – Kupiłam w sierpniu przed zamknięciem drugą działkę, uzyskałam warunki zabudowy pensjonatu. Kupiłam też ośmioosobowe auto do wożenia pracowników i nie mam kogo wozić. Mam zobowiązania finansowe, nie mam z czego ich spłacić. Mała Babushka (w Hajnówce – przyp. ZM) nie zarobi na dużą. Do tej pory nie wypłacili nam rekompensat. Narracja jest taka, że to wina Unii.

26 stycznia br. Komisja Europejska notyfikowała program „Tarcza dla pogranicza", obejmujący przedsiębiorców z zony. Mijają miesiące, a rząd jeszcze go nie uchwalił. – Potrzebowałabym kilkudziesięciu tysięcy złotych, żeby zatowarować lokal w Białowieży. Nie znamy kryteriów wypłat, czeka na nie 12 przedsiębiorców, którzy nie dostali pełnych

Cmentarz w Bohonikach.

eprasa.pl 9efbbac1e5

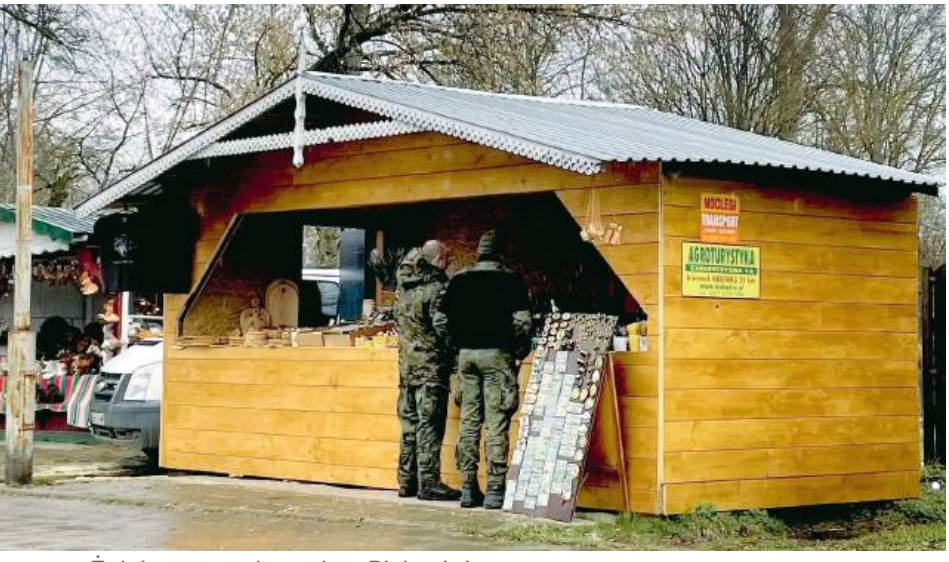

Żołnierze na zakupach w Białowieży.

rekompensat – kontynuuje pani Grażyna. – Pandemię przetrwałam. Jeśli zaryzykuję i teraz się otworzę, mogą mnie znów zamknąć za dwa miesiące. Chcę wszystko sprzedać, mam dość! Chciałam zatrudniać ludzi, płacić podatki. Osiem lat temu inaczej się prowadziło działalność gospodarczą. Teraz marzę o tym, żeby zaszyć się w wiosce, żyć spokojnie. Obecnie jestem pod opieką lekarzy.

W tym samym lesie

Plastikowe worki, skarpety, bieliznę, męską koszulę, damski żakiet, opakowanie po ciastkach Mirowyje deserty, jogurt naturalny Augustowski, czapkę, but, ibuprofen i inne leki znajdujemy przy leśnej drodze pod Tarnopolem. Kilka minut po nas przyjeżdża terenówka, z której wysiada pogranicznik. – Widziała pani kogoś? – krzyczy. Odpowiadam, że nie. Pokazuję kolorową skarpetkę. – Dziecko? – zastanawiam się. – Sami młodzi mężczyźni – twierdzi on. Podnoszę skarpetkę z ziemi. Faktycznie, jest nieco większa od dziecięcej, damska stopka. Strażnik mruczy pod nosem, że „sami mężczyźni". Zmieniam temat – leki nie pochodzą z naszych aptek, napisy na ibuprofenie i amoksycylinie są w języku urdu. Pogranicznik na to, że „zabierają ze sobą, bo czasem coś może zaboleć". Leśne koczowisko to ostatni obraz, jaki wywozimy z Podlasia.

SG podaje, że w marcu odnotowano ponad 2,3 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy białorusko-polskiej, znacznie więcej niż w lutym (ok. 1,5 tys. prób) i w styczniu (ponad 1,4 tys.). Od początku roku zatrzymano ponad 160 pomocników i organizatorów nielegalnego przekraczania granicy. Według organizacji pomocowych w lasach po białoruskiej stronie może przebywać obecnie do tysiąca osób. Zrobiło się cieplej, uchodźcy ruszyli z miast w kierunku granicy. W rozkładzie lotów pojawiło się nowe połączenie Teheran-Mińsk oraz wróciło po przerwie stare, z Bagdadu.

Jak podaje Białoruska Agencja Telegraficzna BiełTA, na przełomie marca i kwietnia na mińskim lotnisku można było obejrzeć wystawę „Granica między życiem a śmiercią". Na 100 fotografiach pokazano historie migrantów, którzy dotarli na białorusko-polskie pogranicze. Celem miało być pokazanie prawdy o ich losach – sądząc po zdjęciach, nieco wybielonej, jeśli chodzi o działania służb białoruskich. Uchodźcy są narzędziem w rękach władzy po obu stronach granicy. Nasza partia rządząca, zamiast deeskalować przemoc, podsyca atmosferę zagrożenia.

Gdy w marcu z inicjatywy europosłanki Janiny Ochojskiej otwarto w budynku Parlamentu Europejskiego wystawę „Pushback is illegal. Help is legal" (Pushback jest nielegalny. Pomoc jest legalna), były szef MSZ Witold Waszczykowski oskarżył Ochojską o „antypolską, kłamliwą hucpę". Europosłanka broniła swojej inicjatywy, przypominając m.in. o ofiarach, które spoczęły na cmentarzu w Bohonikach, i o wykonaniu od początku kryzysu 50 tys. pushbacków (dane SG).

„Najeźdźcy" wygrywają pierwsze sprawy w sądach, jest już 10 wyroków, które pokazują, że wywózki są nielegalne, że SG narusza prawo. Zgodnie z konwencją genewską po zatrzymaniu osoby, która nielegalnie przekroczyła granicę, Polska ma obowiązek umieścić ją w ośrodku dla cudzoziemców, sprawdzić dane osobowe i zbadać, czy nic jej nie grozi w kraju, z którego pochodzi. Wywózki są śmiertelnie niebezpieczne, zwłaszcza zimą.

Wyższy od podlaskiego mur wyrósł wśród Polek i Polaków – dla jednych granica polsko-białoruska to festiwal przemocy, rasizmu i nieudolności władzy, dla drugich pokaz umiejętności naszych niezawodnych służb. Z daleka łatwo zapomnieć o ludziach z Afganistanu, Jemenu, Syrii, Sudanu, Erytrei, którzy przepływają graniczne rzeki, wędrują po podmokłych lasach, jak również o tych, którzy ratują ich życie, bo dom, ciepłe łóżko i światło wydają się nienormalne, niezasłużone, kiedy kilometr dalej, w lesie, są ludzie. W tym samym lesie, do którego mają przyjeżdżać turyści zauroczeni Podlasiem.

41. ofiara kryzysu

Kosy Most, Carska Tropina – ulubiony szlak, wiodący wzdłuż doliny rzeki Narewki. Z kilkupiętrowych wież można obserwować jesienią rykowiska jeleni. Podczas przerwy świątecznej ścieżki tonęły w błocie.

18 kwietnia aktywiści znaleźli w okolicach Tropiny zwłoki mężczyzny. Nie miał na sobie odzieży, być może rozebrał się przed śmiercią, bo przestał odczuwać zimno. Zmarł najprawdopodobniej w wyniku hipotermii. To 41. ofiara kryzysu migracyjnego na granicy, 12. w tym roku.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA (4)

eprasa.pl 9efbbac1e5

Dominika Tworek

Kotlet schabowy **kontra** kotlet sojowy

90% Polaków je mięso kilka razy w tygodniu. Ale wegetarianizm i weganizm są w modzie, zwłaszcza wśród młodych

Dekadę temu wegetarianie stanowili w naszym kraju zaledwie 1% społeczeństwa. Dziś na całym świecie jedna dziesiąta populacji jest na diecie wegetariańskiej. Polacy również coraz częściej rezygnują z jedzenia mięsa, co jest głównie zasługą młodszych pokoleń. 7% Polaków w wieku 18-29 lat to wegetarianie, a 1% weganie. Jednak 90% Polaków deklaruje, że konsumuje mięso przynajmniej kilka razy w tygodniu, a popularność zyskuje w ostatnich latach dieta karniwora (ang. *carnivore diet* – dieta mięsożercy), która składa się przede wszystkim z mięsa. Sprawdźmy więc, jakimi argumentami wegetarianie i mięsożercy uzasadniają swój wybór.

Weganizm to filozofia życia

Według wiedzy medycznej wegetarianizm i weganizm są pełnowartościowymi dietami

KATARZYNA HROMEK (30 l.)
– pedagożka, animatorka społeczno-kulturowa, edukatorka seksualna i ekologiczna, aktywistka działająca na rzecz dzikiej przyrody, weganka

Jaką rolę odgrywa w twoim życiu sposób odżywiania się?

– Weganizm to dla mnie nie tylko dieta, ale przede wszystkim filozofia życia, która opiera się na idei minimalizowania cierpienia, zastanawiania się nad swoimi przywilejami i rezygnowania z niektórych wygód na rzecz oddania przestrzeni grupom systemowo wykorzystywanym, w tym przypadku zwierzętom.

Jak zaczęła się twoja przygoda z weganizmem?

– Jestem córką wegetarianina. Z dzieciństwa pamiętam, że mama denerwowała się na tatę, jak opowiadał przy obiedzie, że kotlet, który mam na talerzu, jeszcze niedawno był kurczaczkiem i biegał po ogródku. Jako dziecko lubiłam jeść mięso. Z drugiej strony tata wpoił mi ogromną wrażliwość na przyrodę, a od babci przejęłam miłość do zwierząt. Dziś mam 30 lat, a przestałam jeść mięso, gdy byłam 19-latką. Moją pierwszą motywacją była kwestia etyczna – poczucie dużej empatii do zwierząt i przekonanie, że nie chcę, żeby były zabijane.

Kiedy pojawił się weganizm?

– Weganizm, na który przeszłam cztery lata temu, traktuję jako dbałość o środowisko. Ze wszystkich terenów na naszej planecie, które przeznaczamy na produkcję żywności, aż 77% wiąże się z produkcją mięsa. Hodowanie zwierząt zabiera nie tylko miejsce, które zajmują one same, ale również przestrzeń pod uprawy roślin na paszę dla zwierząt, a zanieczyszczenia związane z odchodami zwierząt zatruwają środowisko naturalne. Ogromnym problemem jest też zużycie wody. Przemysłowa hodowla zwierząt zużywa ponad 4 tys. km sześc. wody rocznie, co stanowi 41% wody wykorzystywanej przez rolnictwo, i emituje przynajmniej 16,5% wszystkich gazów cieplarnianych. Produkcja wołowiny, w porównaniu z białkiem roślinnym, pochłania aż 36 razy więcej terenów rolnych i emituje sześć razy więcej gazów cieplarnianych.

Kierowałaś się jakimiś innymi argumentami poza tymi środowiskowymi?

– Zaczęłam rozumieć, że cierpienie, którego doświadczają krowy mleczne, jest równie wielkie jak cierpienie

eprasa.pl 9efbbac1e5

krów, które są zabijane na mięso, a jednocześnie trwa dłużej. Dojmujące było dla mnie uczucie, że jakieś zwierzę żyje w ogromnych cierpieniach tylko po to, żebym mogła sobie dolać mleka do kawy. A ja długo nie mogłam się pozbyć tego nawyku.

Teraz dolewasz migdałowego? Jego produkcja ma bardzo destrukcyjny wpływ na środowisko.

– Raczej owsianego, jest bardziej lokalne. Wychodzę z założenia, że moje życie jest ważne i – chcąc nie chcąc – muszę korzystać z zasobów Ziemi, które są ograniczone. Ale jest według mnie ogromna różnica między piciem mleka owsianego a jedzeniem zwierząt, które najpierw muszą zjeść bardzo dużo owsa. Dieta wegańska skraca drogę produkcji, co pozwala ograniczyć ślad węglowy.

Ja wychowywałam się na wsi, gdzie mieliśmy małe, przydomowe gospodarstwo. Moi dziadkowie kochali swoje zwierzęta. Całe dzieciństwo piłam jeszcze ciepłe mleko prosto od krów.

– Czuję bardzo dużą różnicę między taką formą współbycia ze zwierzętami a wykorzystywaniem ich na fermach przemysłowych. Myślę, że takie współistnienie jest w porządku, bo ludzie mają do tych zwierząt duży szacunek. Jeśli one umrą czy zostaną zabite, to korzysta się z każdej, najmniejszej części tego zwierzęcia, nic nie jest traktowane jako odpad. Powiem więcej, kiedy wyobrażam sobie wegański świat, w którym ludzie nie żyją z udomowionymi zwierzętami, to trochę mi przykro, bo bardzo lubię obraz krów na pastwisku czy kóz biegających po łąkach. Ale myślę też o kwestii przestrzennej. Nie jesteśmy w stanie wykarmić wszystkich ludzi ekologiczną żywnością odzwierzęcą. Jest po prostu za mało miejsca na świecie, żeby to było możliwe. Mój weganizm polega również na tym, że po prostu nie chcę karmić się cierpieniem. Czuję, że jestem tym, co jem. Dlatego rezygnuję z wszelkich produktów pochodzenia zwierzęcego.

Nawet jeśli taka krowa była szczęśliwa?

– Nie wiemy, co tak naprawdę czują te zwierzęta, czego w pełni potrzebują, i nie mamy możliwości zapytać je o zgodę. Poza tym uważam, że zwierzęta nie są po to, żeby służyć ludziom, tylko mają swoje życie. Na przykład mleko jest dla małych cielaków.

W naturze funkcjonuje zasada: większy musi zjeść mniejszego. A my też jesteśmy przecież zwierzętami.

– W rozmowie z osobą, która urodziła się w plemieniu żyjącym w naturze lub wybrała takie życie i nie ma dostępu do supermarketu, więc faktycznie konieczne jest, żeby zabijała zwierzęta, aby przetrwać – pewnie bym się co do tego zgodziła. Ale społecznie jesteśmy w takim miejscu, że nasze zdobywanie pożywienia polega na tym, że idziemy do sklepu. Mamy wybór, co będziemy spożywać. A według wiedzy medycznej wegetarianizm i weganizm są pełnowartościowymi dietami.

Na diecie wegańskiej trzeba suplementować witaminę B12, więc nie można powiedzieć, że jest do końca pełnowartościowa.

– Rzeczywiście, dieta wegańska wymaga takiej suplementacji, a dobrze, gdyby i wegetarianie to robili. Należy również podkreślić, że są takie przypadłości czy choroby, w których dieta bezmięsna w ogóle nie jest możliwa. Wcale nie chcę mówić, że wszyscy teraz powinni przestać jeść mięso, mleko i jajka. Natomiast jestem zwolenniczką zmniejszania ilości spożywanego mięsa. Korporacje powinny także brać odpowiedzialność za to, w jaki sposób je produkują. My dziś jako społeczeństwo dopłacamy do tego, że dieta mięsna jest tańsza niż roślinna, bo płacimy wiele jej ukrytych kosztów (związanych z zużyciem wody pitnej, transportem, emisjami gazów cieplarnianych, niszczeniem bioróżnorodności). A przemysłowe fermy nie ponoszą praktycznie żadnych konsekwencji. Gdyby mięso było produkowane w bardziej odpowiedzialny sposób, na mniejszą skalę, byłoby droższe, moglibyśmy mówić o sprawiedliwości.

Zapewne w twoim otoczeniu niejedzenie mięsa jest normą.

– Tak. Osoby związane z aktywizmem zazwyczaj zaczynają swoją przygodę od wegetarianizmu czy weganizmu, bo są wrażliwe i skupiają się na tym, żeby ich życie jak najmniej przyczyniało się do cierpienia. Z drugiej strony weganizm jest teraz modny i dużo osób przechodzi na tę dietę ze względu na trendy. Jest mnóstwo *fancy* wegańskich knajp, sporo celebrytów o tym mówi.

Ze wszystkich terenów na naszej planecie, które przeznaczamy na produkcję żywności, aż 77% wiąże się z produkcją mięsa.

Jak oceniasz tę modę? Nie obawiasz się, że – jak każda – kiedyś minie?

– Bardzo pozytywnie. Generalnie jestem antykapitalistką, ale i tak ruchy dużych firm typu McDonald's, które zapewne w dużej mierze się greenwashingują – np. decyzję o rezygnacji z jajek „trójek", czyli tych z najgorszych ferm przemysłowych, gdzie jeden kurczak ma taką przestrzeń jak kartka A4, a zwierzęta karmione są hormonami i mają zwyrodnienia stawów – oceniam jako duży i ważny krok, który wspiera jasną, roślinną stronę mocy. Choć moja pierwsza myśl jest bardziej pytaniem, dlaczego nie stało się to dawno temu.

Jakim innym argumentem próbowałabyś przekonać mięsożercę, żeby przeszedł na dietę bezmięsną?

– Podkreślam, że nie mam na celu nikogo do niczego przekonywać. Po prostu dzielę się swoim doświadczeniem. A ja odżywiam się bardzo różnorodnie, kolorowo, pysznym jedzeniem, które ogromnie rozbudza kreatywność. Weganie wymyślają naprawdę wyjątkowe rzeczy, np. ubijają aquafabę, czyli wodę z gotowania cieciorki, i robią z tego bezę. Z roślinnych produktów można naprawdę wyczarować niesamowite, nietypowe smaki.

Ubijanie aquafaby wydaje się czasochłonne, a owoce i warzywa są dziś bardzo drogie.

– Tak jak z każdą dietą, może ona być wykwintna i potwornie droga, ale można zrobić tak, że nie będzie ani czasochłonna, ani kosztowna. Wszystko zależy od chęci i możliwości. Moja dieta jest z całą pewnością dużo tańsza niż klasyczna dieta mięsna. Jem dużo strączków, kasz, rodzimych orzechów i nasion. One nie są drogie.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Jakie dania szykujesz?

– Na śniadanie często robię owsiankę, do której dorzucam dużo owoców, orzechów, mak, pestki słonecznika czy dyni. To dużo tańsze niż kupienie jogurtu z roślinnego mleka i dodanie go do gotowego musli. Na obiad jem zazwyczaj kaszę z warzywami i tofu. Tofu jest często nawet tańsze od sera, choć wiele zależy od tego, gdzie się mieszka. Jeżeli nie mamy obok siebie dużego supermarketu, tylko mały sklepik, to bywa dużo droższe. Oczywiście można samemu robić tofu, ale to jest już czasochłonne. Z kolei na kolację przyrządzam różne pasty ze strączków albo „twarożek" z namoczonych przez noc pestek słonecznika. Jeśli już ktoś się tego nauczy, zajmuje to mniej więcej tyle samo czasu, ile przygotowanie niewegańskich posiłków.

Dostępność roślinnych alternatyw cały czas się zwiększa. Wartość tego rynku wynosi dziś 5,7 mld euro, w porównaniu z 4,6 mld euro w 2020 r.

– Jak miałam te 20 lat, cena mleka roślinnego, sześciokrotnie wyższa niż krowiego, była dla mnie nie do przeskoczenia. Teraz produkty roślinne są dużo łatwiej dostępne, a ceny bywają nawet niższe niż produktów odzwierzęcych. To bardzo ułatwia mi życie. Pamiętam też, że jak przechodziłam na weganizm, dużym atutem było dla mnie to, że na rynku nie ma dużo wegańskich słodyczy, dzięki czemu spożywałam mniej cukru. A teraz wegańskich czekolad, ciastek czy batonów jest całe mnóstwo i moje uzależnienie od cukru trwa…

■

Mięsna dieta bardziej przyjazna dla portfela

Nic nie daje takiej sytości jak białko. A sytość powoduje, że nie wydajemy pieniędzy na różnego rodzaju przekąski

Czy jedzenie stanowi istotny element twojego życia?

– Fascynuję się zdrowiem i zdrowym trybem życia, choć moja „żywieniowa obsesja" wypada blado, gdy przyrównam się do innych osób zainteresowanych dietą. W życiu codziennym jedzenie nie jest czymś, do czego przywiązuję jakąś szaloną wagę, oczywiście dopóki moje wybory są zdrowe.

Na czym polega twoja dieta?

– Bazuje na jedzeniu zwierząt. 70-90% kalorii, które przyswajam, pochodzi z produktów zwierzęcych i odzwierzęcych. Reszta to jakieś rodzaje węglowodanów: pieczywo, warzywa lub „coś słodkiego".

Dlaczego zdecydowałeś się na taki sposób odżywiania?

– To było prawie dekadę temu. Kilka lat wcześniej zaczęła się moja fascynacja odżywianiem się. Stosowałem wtedy dietę niskowęglowodanową. Jadłem wówczas mnóstwo czerwonej fasoli, bo gdzieś przeczytałem, że jest bardzo zdrowa. Mój przykładowy obiad to dwa kotlety i dwie puszki fasoli. Zacząłem mieć silne rozstroje żołądka, dlatego z czasem coraz bardziej wsiąknąłem w dietetykę kliniczną, która wynika z badań naukowych, a nie taką, która jest promowana w mainstreamie. Dziś wiem, że fasola zawiera olbrzymie ilości lektyn, które rozszczelniają jelita. Moje kłopoty żołądkowe ustały po eliminacji z diety większości warzyw.

Co wyczytałeś w tych badaniach?

– Wszyscy wiemy, że warzywa i owoce zawierają mnóstwo składników odżywczych. Ale jak zacząłem się wgryzać w badania naukowe na ten temat, okazało się, że są to tzw. wartości papierowe. Owszem, te składniki tam są, ale nasz organizm nie wchłania ich w takiej ilości ze względu na składniki antyodżywcze, które również znajdują się w warzywach i owocach. Ich przykładem są lektyny, które blokują działanie

BARTOSZ CZEKAŁA (38 l.)
– ekspert ds. pamięci, dietetyk, trener personalny i trycholog, mięsożerca

większości witamin i minerałów. A kwas fitynowy, będący składnikiem wszystkich roślin strączkowych, orzechów i ziaren, hamuje działanie żelaza, cynku, wapnia, magnezu czy selenu. Takich składników potrafiących drastycznie zmniejszyć wchłanianie substancji odżywczych są dziesiątki. Gdy zacząłem o tym czytać, mierzyłem się z uczuciem dysonansu poznawczego,

eprasa.pl 9efbbac1e5

wynikającego z rozziewu między tym, że zewsząd słyszymy, iż warzywa są takie cudowne, a tym, co znajduje się w badaniach.

Słyszymy też, że jedzenie dużych ilości mięsa, zwłaszcza czerwonego, jest niezdrowe, bo podnosi cholesterol.

– Byłem dosyć blisko uwierzenia, że cholesterol to przyczyna całego zła. Ale wszechobecna narracja, że wysoki cholesterol jest bezapelacyjnie zły, jest – zgodnie ze współczesną nauką – nieprawidłowa. Według niektórych badań nawet połowa pacjentów hospitalizowanych z powodu chorób serca ma wzorcowe wyniki LDL oraz całkowitego cholesterolu.

Co zazwyczaj składa się na twoje posiłki?

– Jestem osobą dość prymitywną kulinarnie, nie lubię gotować, dlatego staram się przygotowywać swoje posiłki bardzo prosto. Uwielbiam tatara i przyrządzam go parę razy w tygodniu. Spożywam poza tym dużo nabiału, najczęściej fermentowanego: kefir lub zsiadłe mleko. Kilka razy w tygodniu jem ryby czy owoce morza. Rzadziej gotowane mięso typu kurczak czy wołowina. Czasami dodatkiem jest dla mnie trochę chleba, do mięsa dorzucam pomidory i cebulę.

Wołowina i owoce morza. Brzmi jak dieta dla kogoś o zasobnym portfelu.

– Ja raczej powiedziałbym, że będzie to dieta dużo bardziej przyjazna dla portfela. Z prostego powodu: nic nie daje takiej sytości jak białko. A sytość powoduje, że nie wydajemy pieniędzy na różnego rodzaju przekąski. Ja jem dwa czy trzy posiłki dziennie i to mi wystarcza. Można sobie przekalkulować, ile będzie kosztowało kupno kilograma wołowiny, a ile sterty warzyw do zrobienia zdrowej sałatki i ciągłego podjadania tzw. zdrowych przekąsek. Koniec końców człowiek wydaje mniej.

Dieta mięsna zdaje się bardziej monotonna.

– To jej błogosławieństwo, bo jemy tylko wtedy, kiedy jesteśmy głodni. Jeżeli zajrzymy do lodówki, w której mamy ograniczoną liczbę produktów, to często zdajemy sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie potrzebujemy teraz jeść. Mając kolorowe talerze, najzwyczajniej w świecie jemy więcej, bo tą różnorodnością jedzenia nadmiernie pobudzamy nasz układ nagrody, który reaguje zwiększoną produkcją dopaminy, a ta nieustająco każe nam „odkrywać nowości", czyli jeść więcej i więcej.

Wiele osób przechodzi na bezmięsne odżywianie się ze względu na dobro planety.

– Wszystkim wydaje się, że to jak najbardziej racjonalne, bo wszędzie widzimy statystyki, ile wody potrzeba, aby uzyskać 1 kg mięsa. Tylko jak przyjrzymy się badaniom, to zobaczymy, że większość tej wody (85-90%) to deszczówka, czyli tzw. zielona woda, która i tak by spadła. Podawanie tego rodzaju statystyk bez tej informacji to dla mnie manipulacja. Pamiętajmy też, że krowy to nie tylko mięso. Powstaje z nich kilkadziesiąt różnego rodzaju produktów: żelatyna, mnóstwo leków, choćby heparyna, a także nawozy. Szacuje się, że 50-60% wszystkich nawozów używanych w nowoczesnym rolnictwie to nawozy pochodzące od bydła. Pomagają one zachować relatywnie przyzwoitą jakość wyjaławianych – zresztą przez samo rolnictwo – gleb.

A co z argumentem o dużym śladzie węglowym?

– Krowy są częścią środowiska, naturalnego obiegu dwutlenku węgla. W momencie umierania czy wypróżniania się oddają go do atmosfery, ale on w ramach obiegu – m.in. poprzez opady – wraca do ziemi. Nie jest tak, że zwierzęta w jakikolwiek sposób wprowadzają dodatkowe ilości dwutlenku węgla, natomiast – jak najbardziej – robią to paliwa kopalne.

Czy zjadanie innych istot nie wydaje się niemoralne?

– Nie, to jest obieg życia. Zwierzęta zjadają zwierzęta, a śmierć jest absolutnie nieodłącznym elementem tego cyklu. Innym argumentem jest to, że zwierzęta i tak umierają. Nawet jeżeli będziemy tylko hodować roślinki na jakimś poletku, zwierzęta wciąż będą umierać. Nie te hodowlane, ale różnego rodzaju gryzonie, norki, ptaki, owady. Na 1 ha uprawy ginie średnio 117 zwierząt, nie wliczając w to owadów. A jeśli chodzi o hodowlę, mamy 40 takich przypadków. Czyli tej śmierci jest zdecydowanie mniej, gdy hodujemy zwierzęta. Często osoby, które propagują pomysł, aby w ogóle nie hodować zwierząt, zapominają o tym, że gwarantują nam one bezpieczeństwo łańcucha dostaw żywności. Bo fala upałów czy mrozów jest w stanie znacznie wpłynąć na zbiory, a zwierzęta są odporne na takie zmiany.

Wszędzie widzimy statystyki, ile wody potrzeba, aby uzyskać 1 kg mięsa. Tylko że większość tej wody (85-90%) to deszczówka.

Czy środowisko, w którym się obracasz, jest mięsożerne?

– Zdecydowanie. Myślę, że to również moja zasługa, bo zaraziłem większość osób w moim otoczeniu tym rodzajem diety, a przynajmniej zwiększeniem spożywania produktów zwierzęcych i odzwierzęcych na co dzień.

Czy zauważasz jakieś cechy wspólne osób, które jedzą mięso?

– Punktem wspólnym może być racjonalność oraz odrobina pokory.

Pokory?

– Czy inaczej – samoświadomości. Jeżeli ktoś ma pokorę, to wie, że wobec ogromu informacji dotyczących danej dziedziny, w tym dietetyki, ma jedynie mały wycinek tej wiedzy.

Jak próbowałbyś namówić wegetarian do jedzenia mięsa?

– Nie mam w zwyczaju z nikim wojować ani nikogo przekonywać. Ale osobom, które mają z tyłu głowy, że mięso to tłuszcze nasycone i zawał serca, zawsze mówię, żeby potraktować to jako eksperyment. Bo dlaczego mam wierzyć na słowo gadającej głowie, która mówi, że jakaś dieta jest fantastyczna, jeżeli mogę – relatywnie tanio i szybko – sam to zweryfikować? Wystarczy zrobić sobie komplet badań przed rozpoczęciem takiej diety, a po sześciu czy ośmiu tygodniach je powtórzyć i porównać oba badania, a także swoje samopoczucie.

Dominika Tworek

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 9efbbac1e5

Koniec dominacji dolara? Nie tak szybko

Marzących o zdetronizowaniu dolara jako „rezerwowej waluty świata” jest wielu. Ale na razie się nie udaje

Jakub Dymek

Jest jedna rzecz, która łączy w nieoczywistym sojuszu alterglobalistów i skrajną prawicę w różnych miejscach globu. Coś, w czym zgodni mogą być lewicowy prezydent Brazylii Lula i Władimir Putin, technokratyczny Emmanuel Macron i radykalni francuscy marksiści oraz Komunistyczna Partia Chin. To przekonanie o hegemonii dolara i przewadze, jaką daje ona USA. A ściślej mówiąc, nawet nie samo przekonanie, ale chęć zmiany status quo.

Stosunek do znaczenia amerykańskiego dolara jest dobrą miarą radykalizmu. Im bardziej ktoś trzyma się głównego nurtu, tym mniej zaprząta sobie głowę dolarem, pozostaje on dla niego przezroczysty. To po prostu waluta rezerwowa świata i koniec. Im głębiej zaś ktoś jest przekonany, że globalne porządki trzeba zmienić, tym częściej rozważa rolę, jaką odgrywają w nich USA i kierowany z Waszyngtonu system finansowy. To jednak, jak widać, nie spór między demokratami, którzy wierzą w dolara, a jego autokratycznymi przeciwnikami. Raczej coś w rodzaju publicznego referendum na temat tego, dla kogo korzystna jest dominacja dolara i czy warto obowiązujący już prawie stulecie system zmieniać.

Oczywiście temat dolara wraca cyklicznie. Co dwa albo cztery lata, przy okazji każdego poważniejszego kryzysu czy zachwiania światowej równowagi, pojawia się ktoś, jakieś znaczące nazwisko, kto zaczyna publiczne rozważania o schyłku zielonych papierków. Dolar jednak – ze wszystkimi tego dobrymi i złymi skutkami – okazuje się bardziej uparty.

Obalić hegemona

„Co noc zasypiam, myśląc sobie: dlaczego wszystkie państwa muszą być uwiązane do dolara, by móc handlować? Kto o tym zdecydował? Czemu transakcje między Brazylią, Chinami i Rosją nie mogą być rozliczane w inny sposób, we własnej walucie i własnym banku?”, pytał retorycznie nowy-stary prezydent Brazylii Lula podczas niedawnej wizyty w Szanghaju. Ambicją Luli jest prowadzenie wielobiegunowej polityki zagranicznej, otwartej na przyjazne relacje z każdą ze stron „nowej zimnej wojny”. Lula gotów jest poprzeć swoje słowa czynami. Brazylia podejmuje kolejne kroki, aby handel w chińskim juanie stał się w kraju łatwiejszy i powszechniejszy. Opracowuje więc lub wdraża kolejne ułatwienia transakcji, np. podłączenie do chińskiego odpowiednika systemu SWIFT dla przelewów transgranicznych. Na początku 2023 r. chińska waluta wyprzedziła euro pod względem udziału w rezerwach brazylijskiego Banku Centralnego.

Jeszcze większą złość w zachodniej debacie wywołała wypowiedź prezydenta Francji, który przestrzegał przed uzależnieniem od dolara i jego „eksterytorialności”. W recepcji słów Macrona w świecie anglojęzycznym z pewnością nie pomogło to, że podobnie jak Lula wypowiedział je przy okazji wizyty w Chinach. Należący do międzynarodowego koncernu Ringier Axel Springer serwis Politico Europe szybko przypisał Macronowi chęć „realizacji kluczowych celów Pekinu i Moskwy”. Mało kto przypominał w tym kontekście, że podobne obawy przed fikcją „bezstronnego” i „przezroczystego dolara” wygłaszał na długo przed Macronem inny francuski prezydent, Charles de Gaulle. A zaledwie kilka lat temu – gdy prezydent Donald Trump złamał porozumienie jądrowe z Iranem i nałożył na państwo sankcje bez konsultacji

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9efbbac1e5

z Europą – przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker.

Jeszcze bardziej zażartymi przeciwnikami globalnej dominacji dolara i jego statusu rezerwowej waluty świata są przywódcy wszystkich tych państw, w które uderzyły amerykańskie sankcje. Władimir Putin podczas szczytu z Xi Jinpingiem (oczywiście!) publicznie zapowiadał, że wspólnie z Chinami nie tylko będą się rozliczać w juanach, ale również zbudują większą koalicję państw w tym celu. Od bezalternatywnego dolara chcieliby też się uwolnić przywódcy Iranu, Białorusi czy Syrii, ale także państw, które z innego niż wojna lub sankcje powodu czują się poszkodowane dominacją dolara – takich jak Turcja czy Argentyna. Co łączy te wszystkie przypadki?

Pieniądze za darmo

Przekonanie, że dolar faworyzuje USA, dawno już przestało być domeną lewicy czy alterglobalistów. Otwartym tekstem pisze o tym i serwis Bloomberg, i redakcja „Financial Timesa" czy wielki zwolennik globalizacji i wolnego handlu Fareed Zakaria. To jednak, komu dolar szkodzi, pozostaje kwestią otwartą, a lista argumentów jest całkiem długa.

Wszyscy potrzebują dostępu do dolara, aby prowadzić międzynarodowy handel – z tym dyskutować trudno. Tyle że „studolarowy banknot można wydrukować za 17 centów, ale aby inne państwa mogły go pozyskać od USA, muszą zapłacić równowartość 100 dol. w towarach i usługach", skarży się chińskie ministerstwo spraw zagranicznych w głośnym dokumencie „Hegemonia USA i jej zagrożenia". Dzięki temu „za pomocą bezwartościowego papierka Ameryka może grabić zasoby i urobek biedniejszych państw".

Zazwyczaj krytycy dominacji dolara nie idą tak daleko, ale zasadniczy mechanizm, na jaki skarżą się władze Chin, jest prawdziwy. Z tego wynika też przekonanie, że USA – w przeciwieństwie do innych krajów – mogą zadłużać się za bezcen, bo zawsze i w każdych okolicznościach znajdą się chętni, by kupić papiery dłużne w dolarach. Każdy kraj może potrzebować pożyczki w dolarach, ale tylko USA mogą taką pożyczkę spłacić jednym kliknięciem na ekranie komputera – „drukując" nowe dolary.

„Dolar, a więc i dostęp do dolara oraz usługi umożliwiające wymianę dolara są towarem eksportowym USA", tłumaczył Bloombergowi Tyler Cowen, profesor Uniwersytetu George'a Masona i autor popularnego bloga Marginal Revolution. Cowen stara się uprościć sprawę (za co należy mu się wdzięczność) tak bardzo, jak to możliwe. Ludzie chcą dolarów – bo dają one najlepszą kombinację płynności i stabilności w światowym handlu – eksportują zatem towary do USA, dzięki temu konsumenci w USA mają dostęp do tanich dóbr, a chętni dostęp do dolarów. Dolar, przekonuje Cowen, jest takim samym „towarem na sprzedaż" jak torebki Zary i telefony Samsunga.

Jest z tym pewien problem. Można żyć bez nowej torebki i telefonu, ale państwo bez dostępu do rynków finansowych i globalnego handlu zaczyna się dusić. A Waszyngton może z dnia na dzień – za pomocą systemu sankcji – odciąć dostęp do dolara. To tworzy olbrzymią nierównowagę, ponieważ Waszyngton może zwiększyć podaż dolara, zmniejszyć lub próbować w przypadku jakiegoś kraju całkowicie zablokować przepływ. Nie działa to w drugą stronę – państwa, które mają rezerwy w dolarach albo sprzedają za dolary towary czy surowce, nie mogą z dnia na dzień po prostu zmienić, niczym w kantorze, waluty na inną. Poza tym np. 250 mld dol. rezerw walutowych i ekwiwalent tej sumy w chińskich juanach to nie to samo. Handel z czołowymi gospodarkami, takimi jak Niemcy czy Korea Południowa, nie jest i w najbliższym czasie nie będzie rozliczany w juanach. Rosja zaczęła się pozbywać swoich rezerw w dolarach po aneksji Krymu (a większą wyprzedaż zaczęła po 2018 r.), a i tak w 2021 r. dolar stanowił 15% rezerw banku centralnego. Wartość zamrożonych rezerw samego banku centralnego Rosji szacuje się więc nawet na 300 mld.

A sankcje mają też ten skutek, że uderzają nie tylko w rządy krajów zaatakowanych w ten sposób, ale także rykoszetują, stwarzając problemy tym, którzy wcale sankcji nie wprowadzili. Dokładnie tego dotyczył przypadek Iranu za Trumpa – Europa dalej była sygnatariuszem porozumienia z Iranem i europejskie firmy chciały z Teheranem handlować, ale z dnia na dzień stało się to trudniejsze.

Globalne alternatywy?

To właśnie nadużywanie sankcji miało – zdaniem wielu – zaszkodzić dolarowi bardziej niż cokolwiek innego. Bo przecież nie tylko elity w Rosji czy Chinach mają prawo nie ufać dolarowi – przywódcy krajów Ameryki Łacińskiej czy bogaci szejkowie z Półwyspu Arabskiego również nie chcą, by ktoś jednym kliknięciem pozbawił ich dostępu do olbrzymich fortun. A dopóki jedyną walutą, w której tak naprawdę mogą trzymać swoje oszczędności, jest dolar, groźba użycia sankcji zachowuje skuteczność.

I rzeczywiście, po 24 lutego 2022 r. działania w kierunku uwolnienia się od dolara ruszyły na globalną skalę – co kilka tygodni słyszymy o jakiejś wielkiej umowie, najczęściej dotyczącej surowców, którą zainteresowane strony będą rozliczać w juanach albo w rublach. Kolejne kraje pracują nad własnymi systemami płatności elektronicznych (Rosja, Iran, Chiny) albo nowymi walutami, za pomocą których będą rozliczać wymianę handlową (Brazylia i Argentyna). „Cyfrowe waluty banków centralnych" czyli usankcjonowana, państwowa i transparentna odpowiedź na kryptowaluty, mają zaś radykalnie ułatwić wymianę handlową z pominięciem dolara. A niektórzy przypominają, że Chiny uwolnią kiedyś kurs juana i umożliwią jego płynniejszą wymienialność,

eprasa.pl 9efbbac1e5

co w połączeniu z i tak rosnącym zapotrzebowaniem na juana – bo Chiny odgrywają wciąż rosnącą rolę w wymianie międzynarodowej – także osłabi dominację dolara.

Już w 2020 r. z tych właśnie powodów Kenneth Rogoff, były główny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przestrzegał, że „dolarowa hegemonia wygląda krucho".

A jednak, pomimo tak wielu pretensji i zarzutów, dominacja dolara ma się dobrze. Jego udział w rezerwach banków centralnych zmalał – bo jest więcej niż wcześniej chętnych na euro i juana, ale nadal – tak jak 50 lat temu – 80-90% światowych transakcji ponadgranicznych jest rozliczanych w dolarach. Jak na walutę, której schyłek przewiduje się średnio raz na kilka lat, dolar wykazuje zaskakującą odporność.

Dlaczego? Bo powody, dla których dolar jest tak stabilny, to te same powody, dla których liderzy innych światowych potęg go nie cierpią – wszyscy wciąż go potrzebują, a wszystkie alternatywy są mniej uniwersalne. Nie znaczy to, że dolar pozostanie bezkonkurencyjny – wręcz przeciwnie, rośnie mu konkurencja. Ale na razie także ci, którzy chcieliby go (a zarazem wielką przewagę USA) zdetronizować, sami muszą z niego korzystać. Czy nie na tym polega hegemonia?

Jakub Dymek

LISTY

POMOŻEMY!

POMOŻMY!

Oferta specjalna PRZEGLĄDU

MAJÓWKA Z NASZĄ

Wspierajmy PRZEGLĄD

PRZEGLĄD – wspaniałe pismo przedstawiające rzetelnie naszą skomplikowaną rzeczywistość.

PRZEGLĄD – nie może stać się ofiarą upadającego zaborczego neoliberalizmu ani bezmyślnego populizmu ukierunkowanego na powstające na jego bazie dyktatury.

Chcemy mieć przyjemność czytania informacji i opinii odzwierciedlających faktyczne zdarzenia i zjawiska w bieżącej polityce i gospodarce. Liczymy również, że będą się ukazywały treści proponujące nowe, innowacyjne rozwiązania ekonomiczno-polityczno-filozoficzne, które muszą zacząć kiełkować i rosnąć, być przyjmowane i wdrażane przez zdezorientowane społeczeństwo. PRZEGLĄD jest w wielu przypadkach jedynym pismem, które otwarcie o tym pisze. Tendencje te są szczególnie starannie i skutecznie zwalczane przez obecnych decydentów, obawiających się utraty swoich uprzywilejowanych pozycji. Zmiany te nadchodzą nieubłaganie i jeżeli nie przygotujemy się na nie odpowiednio wcześnie, to nastąpią one w postaci rewolucji. W związku z tym mamy obowiązek pomocy, jeżeli występuje taka potrzeba. Kierujemy wobec tego apel do czytelników pisma.

Trzeba wspomagać to, co jest w naszym kraju wartościowe!

Jeżeli jest to konieczne, zrzućmy się na początek po 1000 zł. Oczywiście mogą być kwoty zarówno mniejsze, jak i większe. Nawiążmy kontakty między sobą i wspierajmy PRZEGLĄD.

Stali czytelnicy Krystyna i Tadeusz Płuzińscy

•

Drogi, obiektywny PRZEGLĄDZIE,

Kupuję Was od zawsze i mam mnóstwo Waszych książek. Oczywiście nie mogłam zostać obojętna i zadeklarowałam w banku stałą wpłatę, obok wpłat na UNICEF, PAH, czasem na Granicę (fundację wspierającą uchodźców na granicy z Białorusią). Ja nie jestem wśród tych obojętnych, zresztą nie postrzegam świata zero-jedynkowo (podobnie jak Wy i Wasi czytelnicy).Trzymajcie się, bo gdyby Was zabrakło, byłoby mi ciężko. Serdecznie pozdrawiam

Krystyna Mieszkowska

Będę kupował DWA egzemplarze pisma

Posłałem dziś na Wasze konto 230 zł. Już tłumaczę, skąd taka, a nie inna kwota. To dodatkowe pół roku nabywania tygodnika w kiosku: 26 x 8,90 zł. Mam też w planie dodatkową akcję. Będę od teraz kupował DWA egzemplarze pisma i ten drugi będę podsyłać znajomym. Wiem, że to jest co nieco harcerskie rozumowanie, ale gdyby każdy czytelnik pisma pozyskał po jednym nowym abonencie – to tygodnik powróci do należnej mu pierwszej ligi. Sondaż przeprowadzam zresztą od paru miesięcy w rodzinie. Niektórzy pomijają część programową, polityczną, ale widzę, jak uważnie czytają artykuły przyrodnicze, społeczne, rubryki satyryczne. Kupowany przeze mnie egzemplarz czyta średnio pięć osób, z czego dwie dokładnie, a trzy pobieżnie. Niechby kupowali sobie odtąd sami. Pismo nie może upaść. Proszę się trzymać, pozdrawiam.

Stały czytelnik

Trudno Was kupić

Sugerowałbym podjęcie starań o ułatwienie czytelnikom dostępu do Waszego tygodnika! W Płocku w promieniu kilometra od Starego Rynku nie ma miejsca, w którym można byłoby kupić PRZEGLĄD! Rozumiem, że w mieście, w którym najsilniejsze pod względem mocy nadawania jest katolickie radio diecezji płockiej, największe czytelnictwo ma prasa konfesyjna, ale nie można tak a priori zakładać, że nie ma tam osób o innym światopoglądzie. Pamiętam wzmianki o Państwa bojach z nieszczęsnym Ruchem (on jeszcze istnieje?), który owszem, brałby Wasze pismo do sprzedaży, ale płacić Wam już nie bardzo był skłonny. Zawalczcie o czytelników! Może spróbować wejść do sklepów osiedlowych?

Krzysztof Grabczak

Czy powstanie Komitet Obrony Rozumnych

Zacząłem omijać stacje benzynowe, na których nie mogę kupić PRZEGLĄDU. Ale wszystkich ominąć nie mogę. To samo zaczęło dotyczyć sklepów, w których jest prasa. Pełno tam prawicowych czasopism i odmóżdżających periodyków oraz prasy codziennej, ukierunkowanej w pożądaną stronę. Biznes nie znosi krytyki. Tak wyglądają mechanizmy wolności, gdzie priorytetem jest wolność handlu i posiadania. Czy powstanie Komitet Obrony Rozumnych, tak jak broniono kiedyś robotników? Wątpię, by w takich realiach to u nas nastąpiło.

Michał Błaszczak

eprasa.pl 9efbbac1e5

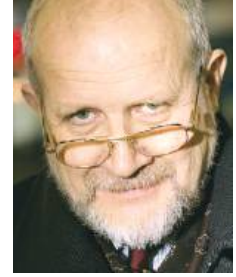

Z Galicji

Jan Widacki

Ogłupianie historią

Zupełnie przypadkiem dopiero teraz wpadła mi w ręce książka wydana już 10 lat temu, zresztą pięknie, na kredowym papierze. Jej autorem jest Piotr Derdej. Tytuł dzieła: „Kościół, cerkiew, synagoga". To 16. tom kolekcji „Dwudziestolecie międzywojenne". Wydawca – Bellona.

Książka prezentuje różne wyznania w Polsce międzywojennej, ich stosunek do państwa polskiego i siebie nawzajem oraz stosunek państwa do tych wyznań i mniejszości narodowych. Czegóż z niej można się dowiedzieć? Ano tego, że Stronnictwo Narodowe, czyli największa partia polityczna, „otwarcie odwoływało się do etyki katolickiej", podczas gdy Żydzi „byli w większości socjalistami i nie zawsze utożsamiali się z Polską i jej interesem narodowym" (s. 45). Jest to tym bardziej niezrozumiałe i – dodajmy od siebie – świadczy o Żydach jak najgorzej, bo, jak przekonuje dalej autor, „ludność żydowska w Polsce międzywojennej miała się na ogół dobrze" (s. 106), czego dowodem było m.in. to, że „Polacy wyznania mojżeszowego bez przeszkód kształcili się i wykonywali intratne zawody" (s. 106). Autor widocznie nie słyszał nic o numerus clausus albo numerus nullus. Myślę, że jak na kogoś, kto pisze książkę o międzywojniu, to dość istotny brak wiedzy. Chyba że autor wie o tym, ale uważa, że nieprzyjmowanie na studia z racji wyznania to niegodna uwagi przeszkoda w zdobywaniu wykształcenia.

Po Żydach przychodzi kolej na Ukraińców. Dowiadujemy się z książki, że abp Szeptycki „ściśle współpracował w tym czasie (podczas I wojny światowej – przyp. JW) z Wilhelmem Habsburgiem i jego przyjaciółmi inspirowanymi przez wywiady austriacki i niemiecki" (s. 49). Początek walk z Ukraińcami o Lwów 1 listopada 1918 r., czyli początek „obrony Lwowa", autor opisuje następująco: „W tym czasie do Lwowa wkroczyły dość dziwne oddziały: mundury miały austriackie, na rękawach ukraińskie opaski, a dowodzili nimi oficerowie pochodzenia niemieckiego i węgierskiego, którzy wydawali swoim »ukraińskim« żołnierzom (sic! – autor wziął Ukraińców w cudzysłów – przyp. JW) komendy w języku niemieckim, ponieważ innego nie znali". Nie jest tu jasne, czy innego niż niemiecki nie znali oficerowie pochodzenia niemieckiego lub węgierskiego, czy „ukraińscy żołnierze", bo autor tego nie precyzuje, a interpunkcją też operuje nie zawsze precyzyjnie. Dalej już kompletne bzdury: „Na początku roku 1919 odsiecz z głębi Polski odblokowała i wyzwoliła Lwów i Przemyśl. Książę Wilhelm Habsburg musiał razem ze swymi poplecznikami umykać ze Lwowa. Królem Ukrainy nie został, a jego armia i »państwo« wkrótce się rozpadły pod uderzeniem wojsk polskich" (s. 52). Autor nie zauważył powstania Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, z którą Polska toczyła walki o Lwów i Kresy południowo-wschodnie. Do Lwowa w trakcie walk z Polakami Wilhelm Habsburg (zwany „Wasylem Wyszywanym") przybył rzeczywiście 3 listopada 1918 r. (w trzecim dniu walk o miasto), ale nikt po stronie ukraińskiej nie traktował go jako przyszłego króla, wręcz przeciwnie – Jewhen Petruszewycz, prezydent Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, nie chciał nawet korzystać z jego usług jako doradcy. Wilhelm nigdy nie miał „swojej armii", a już na pewno Ukraińcy nie oddali mu nad swoją walczącą o Lwów armią dowództwa. Nie mówiąc już o tym, że w tym czasie nikt ani w Wiedniu, ani w Warszawie, ani we Lwowie nie traktował go poważnie jako kandydata na króla, a Ukraińcy sami wybrali sobie już wcześniej ustrój republikański.

Abp Andrzej Szeptycki na pewno jest postacią kontrowersyjną, o którą jeszcze przez długie lata będą się spierać między sobą historycy zarówno polscy, jak i ukraińscy. Ale też historia stawiała go po wielokroć przed dramatycznymi wyborami i trudnymi kompromisami. Dla Derdeja Szeptycki jest jednoznacznie mroczną postacią. Jednak argumenty przemawiające za tą mrocznością są – delikatnie mówiąc – naiwne. Na przykład nie wyklął ideologa ukraińskiego nacjonalizmu Dymitra Doncowa. A mógł! I, co najgorsze, ukrainizował Cerkiew greckokatolicką! „Polak katolik" to coś oczywistego, no i dobrego. „Ukrainiec grekokatolik" to już nacjonalizm.

W książce aż roi się od mniejszych błędów historycznych. Autor pisze np., że przed wojną „istniał osobny 12. Pułk Ułanów Wileńskich złożony z polskich muzułmanów". Cóż, polscy muzułmanie, czyli Tatarzy, służyli nie w 12. pułku, lecz w 13. Pułku Ułanów Wileńskich i tworzyli tylko jeden szwadron, 12. pułk nosił zaś miano Pułku Ułanów Podolskich i nie było w jego składzie Tatarów.

Wbrew temu, co twierdzi autor, w Wojsku Polskim nie było Ordynariatu Wyznania Mojżeszowego, a naczelny rabin WP miał etat pułkownika, nie generała.

Pisząc o KUL, autor twierdzi, że „jest to istniejąca do dziś katolicka uczelnia prywatna obok Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie – uczelni państwowej" (s. 34). Akademia Teologii Katolickiej w Warszawie nie istnieje już od 1999 r., kiedy to została przekształcona w Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Przewracam kredowe karty i tak sobie myślę, że każdy ma prawo pisać, co chce i jak potrafi. Każdy ma prawo mieć oryginalne i odosobnione poglądy, nawet słowo Ukrainiec może brać w cudzysłów, choć to niemądre. Ale dziwię się, że wydawnictwo w końcu poważne (?) drukuje książkę niemądrą i już choćby tylko przez to szkodliwą. W dodatku lukrującą i zakłamującą historię. Czyli ogłupiającą. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Make love, not work

Młoda Ameryka chce zarabiać, by żyć po swojemu

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Nowy sondaż na temat skali wartości Amerykanów wpędza w niepokój. Młode pokolenia wykazują się najsłabszym w historii poczuciem patriotyzmu, religijności i najmniejszą chęcią zakładania rodziny. Za to jeszcze większą niż inne przedziały wiekowe chęcią wzbogacenia się. Czy młodzi Amerykanie rzeczywiście tacy są?

Najpierw trochę osobistych doświadczeń z rozmów na tematy najważniejsze z młodymi Amerykanami. Sama jestem matką wchodzących w dorosłość córek, więc mam do tej grupy wiekowej łatwy dostęp. Szczególnie ciekawe są spotkania z nastolatkami kończącymi liceum i rozważającymi, co robić dalej.

W gronie znajomych starszej córki kilka lat temu, a teraz w otoczeniu młodszej, znalazły się dzieciaki, które ze smutkiem informowały mnie, że na studia nie idą. Na nic świadectwo prymusa, członkostwo w siatkarskiej lidze juniorów i starty w olimpiadach. Rodziny mają niemajętne, wizja ponad 100 tys. dol. długu za czteroletnią edukację jest dla nich nie do przyjęcia. Szukają innych dróg zdobycia dyplomu – tańszych szkół policealnych, po których można, jeśli ma się odpowiednie oceny i szczęście, przenieść się na uczelnię i zredukować wysokość zaciąganego długu. Druga ewentualność to praca i nauka jednocześnie, choć ten układ robi się coraz trudniejszy, bo przy obowiązujących stawkach, nawet na tzw. uczelniach państwowych, nikt już nie jest w stanie zarobić na czesne, pracując na pół etatu. I to nawet jeśli tnie koszty, bo wciąż się nie doczekałam ze strony żadnego młodego człowieka. Rezygnacja ze studiów ma wyłącznie przyczynę finansową.

Najmłodsi Amerykanie ogłaszają, że praca zarobkowa to dla nich wyłącznie konieczność, warunek przetrwania i nigdy cel sam w sobie.

Plany i marzenia młodzi Amerykanie, jak wszyscy młodzi ludzie, mają rozmaite. Jednak amerykańskie nastolatki z reguły są o wiele bardziej praktyczne niż rówieśnicy w Europie i nieraz szczegółowy plan kariery zaczynają budować już w gimnazjum. Skąd ta postawa? Przede wszystkim od najmłodszych lat amerykańskie dziecko jest wprost bombardowane – przez rodziców, nauczycieli, media – informacjami o kosztach czekającego je życia, w tym studiów i ubezpieczenia medycznego. I pouczane, że we współczesnej Ameryce, by dało się w ogóle przetrwać, najważniejszy jest zdrowy rozsądek oraz taki zawód, na który jest zapotrzebowanie na rynku. W sprzyjających okolicznościach być może później uda się spełnić prawdziwe marzenia.

mieszka nadal w rodzinnym domu. Model trzeci, coraz popularniejszy, to odsunięcie studiów na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Każda z tych rozmów zapada mi głęboko w pamięć, bo podszyta jest smutkiem, rozczarowaniem, a przede wszystkim złością: dlaczego akurat ja musiałem/musiałam urodzić się w pokoleniu, które zamiast mieć lepiej niż rodzice, już na starcie ma gorzej, i to znacznie? Mnie zaś ogarnia złość, gdy słyszę, że najsilniejszy w historii, wzmocniony po pandemii trend zamiany uniwersytetu na przysposobienie zawodowe do pracy hydraulika czy handlowca to wynik wyłącznie zdrowego pragmatyzmu młodych. Wszak nie wszyscy nadają się na studia i nie ma co trwonić na nie pieniędzy, skoro można zarabiać na życie inaczej. Takiej argumentacji

Bezideowi i żądni kasy?

Wróćmy do wspomnianego sondażu. Mowa o badaniach przeprowadzonych pod koniec marca br. przez tandem „Wall Street Journal"-NORC (ośrodek badania opinii na Uniwersytecie w Chicago – przyp. red.), które wykazały, że od 1998 r. liczba Amerykanów deklarujących, że patriotyzm jest dla nich bardzo ważny, spadła z 70% do 38%. Podobnie zmalała waga religii w życiu: z 62% do 39%. Kwestia posiadania dzieci istotna jest już nie dla 59%, lecz tylko dla 30%, osłabło nawet przywiązanie do wartości, które Amerykanie po dziś dzień z dumą i niemal automatycznie wskazują jako ich wyróżniki na tle reszty świata: tolerancji oraz pomocy innym. Jeszcze cztery lata temu tolerancja była „bardzo ważna" dla 80% społeczeństwa. Dzisiaj – dla 58%. Z kolei bycie pomocnym ważne jest jedynie dla 27% społeczeństwa w porównaniu z 62% w roku 2019.

Zaniepokojenie ekspertów jest tym większe, że najwyraźniejszy spadek patriotyzmu, religijności i chęci posiadania dzieci odnotowano wśród najmłodszych pokoleń. Za patriotów uważa się tylko 23% 20- i 30-latków, za osoby religijne – 31%, a rodzicielstwo jest ważne dla zaledwie 26% osób z tej grupy wiekowej.

Jedyna „wartość", której znaczenie wzrosło – dla wszystkich Amerykanów, bez względu na wiek – to pieniądze. Za bardzo ważne w życiu uważa je 43% społeczeństwa, o 12% więcej niż w 1998 r.

Jak można było się spodziewać, sondaż narobił szumu, bo w pierwszym odruchu człowiek łapie się za

eprasa.pl 9efbbac1e5

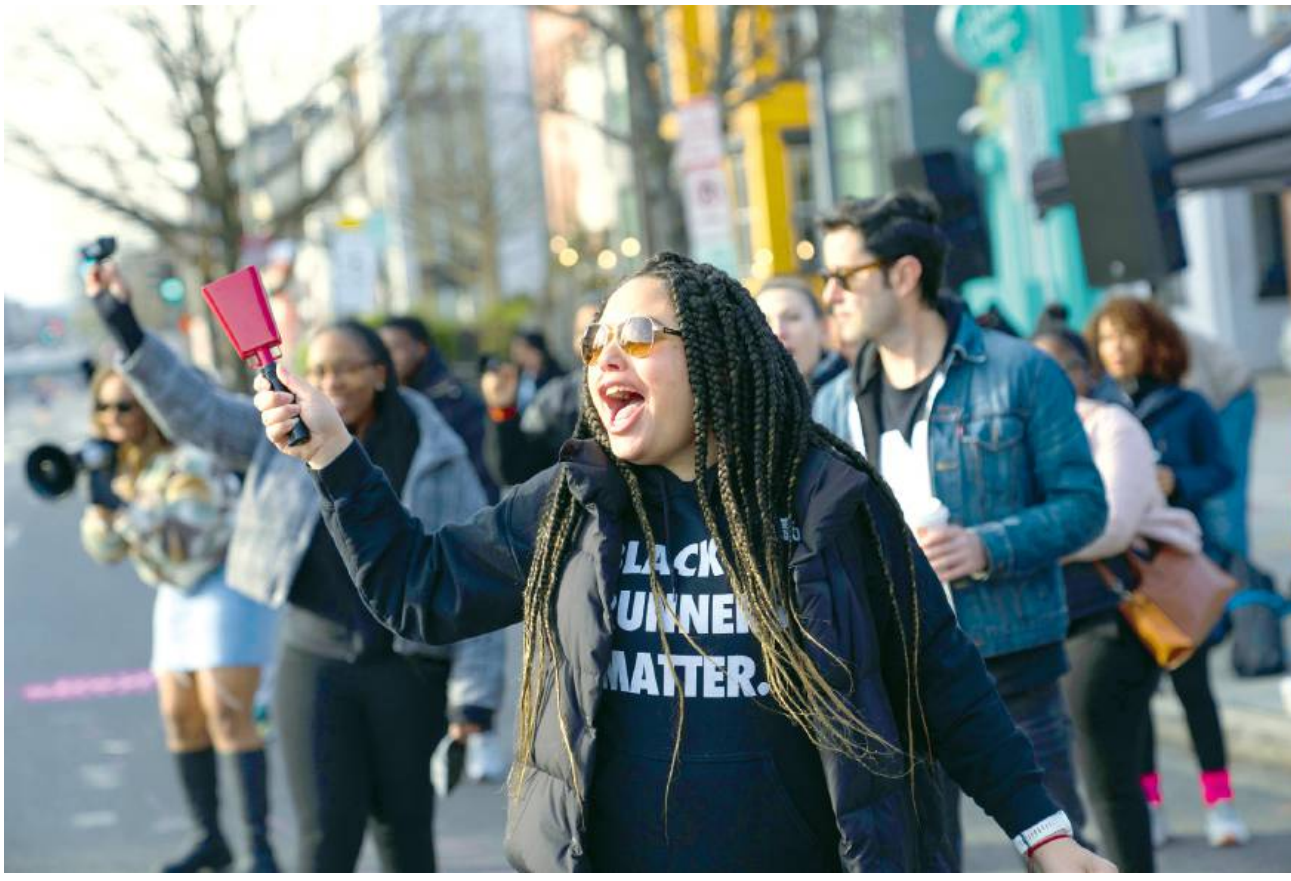

głowę – naród, który nie od dzisiaj ma opinię materialistycznego, jeszcze pogłębił swoją miłość do pieniądza, a jego najmłodsi przedstawiciele to już w ogóle potwory. Egoiści i lenie, nie chcą nawet zakładać rodziny ani wyciągnąć pomocnej dłoni do sąsiada. Chcą tylko kasy. Urodzeni nihiliści.

Zorganizowani, zaangażowani…

Kto jest na bieżąco z newsami na temat postaw i wyborów życiowych amerykańskich milenialsów i zetek, zdumiał się wynikami sondażu nie mniej, ale z innej przyczyny. Pojawiła się bowiem kuriozalna sprzeczność. Jacy to bezduszni materialiści, skoro właśnie najmłodsi Amerykanie przewodzą dziś największym rewolucjom społecznym?

Co dokładnie robią? Po pierwsze, otwarcie i bez strachu charakteryzującego ich rodziców organizują się, by protestować przeciwko wyzyskowi w miejscu pracy, nieustępliwie walcząc zwłaszcza o podniesienie skandalicznie niskiej i od zbyt dawna nieaktualizowanej płacy minimalnej. Zetki i młodsi milenialsi są najbardziej prozwiązkową grupą Amerykanów od 60 lat – instytucję związków zawodowych popiera aż 65%. Mocy ich gniewu i działania już zresztą doświadczyło kilku największych pracodawców: Amazon, Starbucks, Home Depot i Minor League Baseball, gdzie postęp organizowania się w związki zawodowe jest największy (o ruchu na rzecz odrodzenia w Ameryce związków zawodowych pisaliśmy szerzej w artykule „Pracująca Ameryka mówi dość" w styczniu 2022 r.).

– To pokolenia, które rozumieją znaczenia słowa odpowiedzialność. Nie zgadzają się milczeć w miejscu pracy i nie boją się pociągać do odpowiedzialności pracodawców, którzy mówią jedno, a robią drugie, szczególnie pod względem sprawiedliwości społecznej – tłumaczy Rebecca Givan, ekspert ds. stosunków pracy i zatrudnienia na Uniwersytecie Rutgersa.

Po drugie, jacy to nihiliści, skoro o sprawiedliwość społeczną i inkluzywność walczą z nie mniejszym zaangażowaniem niż ich dziadkowie o prawa cywilne dla ludności kolorowej w pierwszej połowie XX w.? Wywodzący się z USA ruch Black Lives Matter, najbardziej widoczny po zamordowaniu przez policję George'a Floyda, zainspirował nawet resztę globu. Protesty przetoczyły się przez każde większe miasto na świecie. Trudno też oskarżać młodych Amerykanów o lenistwo, skoro to oni przewodzą w kraju walce o ochronę środowiska i akcjom ratowania klimatu. Jednocześnie są najaktywniejszym młodym elektoratem od lat – na pewno bardziej

Najważniejsze to sprawować nad swoim życiem większą kontrolę i kreować je zgodnie z własnymi wartościami i marzeniami.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 9efbbac1e5

aktywnym niż pokolenie rodziców, gdy było w ich wieku. Najlepszego dowodu dostarczyły ostatnie wybory uzupełniające w listopadzie. To dzięki wysokiej, bo niemal 30-procentowej frekwencji młodych (18-29 lat) demokratom udało się obronić Senat, a w Izbie Reprezentantów odnotować o wiele niższe straty, niż przewidywano. I tym samym przełamać regułę, że partia urzędującego prezydenta za jego pierwszej kadencji dostaje w wyborach *midterms* porządne lanie i nierzadko traci – jeśli wcześniej ją miała – kontrolę nad całym Kongresem.

…stawiający na jakość życia i pracy

Dalej – co z nagłośnionym już w mediach zwrotem najmłodszych Amerykanów ku wspólnotowemu modelowi życia i użytkowania, czyli osławionej ekonomii współdzielenia (*sharing economy*)? Uczestnictwo w niej zakłada umiejętność współpracy, wysoko rozwinięty zmysł społeczny i zaangażowanie w realizację wspólnych celów.

> Moi rodzice żyli, by pracować, a i tak ledwie starczało do pierwszego. Większość mojego pokolenia nie ma ochoty tak się szarpać.

I wreszcie – co z *Don't dream of labor* (Nie marzę o pracy), szalenie popularną wśród młodych filozofią życiową, z którą obnoszą się dumnie, a być może nawet wyrosła już ona na ich pokoleniowe motto? Użytkownicy TikToka na pewno wiedzą, o czym mowa, reszcie niech wyjaśni to Isaiah Thomas z Alabamy, 22-letni pracownik hurtowni Amazona: – Moi rodzice żyli, by pracować, a i tak ledwie starczało od pierwszego do pierwszego. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że większość mojego pokolenia doświadczyła czegoś takiego w rodzinnym domu i nie ma ochoty sama tak się szarpać. Chcemy przeżywać nasze życie inaczej.

Z odwagą więc – starsi powiedzieliby, że z bezczelnością – młodzi Amerykanie ogłaszają, że praca zarobkowa to dla nich wyłącznie konieczność, warunek przetrwania i nigdy cel sam w sobie. W mediach społecznościowych imiennie piętnują nieuczciwych i toksycznych pracodawców, uczą jedni drugich, jak negocjować lepsze zarobki i krótszy oraz elastyczny tydzień pracy, a także podpowiadają, jak przeżyć za mniej. Twierdzą, że najważniejsze to sprawować nad swoim życiem większą kontrolę i kreować je zgodnie z własnymi wartościami i marzeniami. 42% amerykańskich zetek deklaruje, że o wiele ważniejsza jest dla nich praca, która daje poczucie sensu, a nie tylko pieniądze, i skłonni są pracować za mniej, jeśli taką pracę znajdą. Aż 64% uważa też, że miejsce pracy jak najbardziej powinno być obszarem walki o cele społeczne i środowiskowe, a pracodawca

eprasa.pl 9efbbac1e5

winien zabierać w tych sprawach głos. Powtórzmy więc: czy tak myśli cyniczny materialista?

Czy widzą już Państwo, że sprzeczność między wynikami sondażu a wszystkim, co wiemy o młodych z innych źródeł, jest tylko pozorna? Ich zainteresowanie pieniądzem przy jednoczesnym spadku zainteresowania wartościami ważnymi dla poprzednich pokoleń to nie manifestacja egoizmu i materializmu, lecz przejaw boleśnie realistycznej świadomości, w jak nieciekawym znaleźli się miejscu. A przywiodły ich do niego obowiązujący model gospodarczy (kapitalizm finansowy) i postawa poprzednich pokoleń: pokorna zgoda na wyzysk, erozję praw pracowniczych oraz obkurczanie parasola praw i przywilejów socjalnych. Młodzi mają świadomość, że choć potrzebne są fundamentalne zmiany w systemach tworzących amerykańską codzienność, rozbijają się tutaj o mur najwyższy z możliwych. Nie stać ich bowiem na rzecz tak podstawową – wydawałoby się – w dzisiejszych czasach i w każdym kraju rozwiniętym jak edukacja wyższa. Absolutnie konieczna, by mogli nie tylko cokolwiek w świecie zmienić, ale w ogóle godnie żyć.

Przypomnijmy, że dług studencki jest w USA jedynym rodzajem długu, którego nie można się pozbyć na drodze ogłoszenia bankructwa, trzeba go spłacać, choćby się było już na emeryturze i pobierało najniższe świadczenie. Poza tym amerykańskie pensje dawno przestały nadążać za inflacją oraz rosnącymi kosztami życia i ich siła nabywcza jest obecnie niższa, niż była pół wieku temu.

Młodzi Amerykanie przywiązują wagę do pieniędzy nie z czystej do nich miłości, ale ze strachu, że nie będą mogli się wywiązywać ze swoich zobowiązań finansowych. Koszty edukacji wyższej znów niebotycznie poszły w górę. Rok studiów na publicznym Uniwersytecie Kolorado w Boulder, w rankingach gdzieś pośrodku, to 37 tys. dol. dla rezydenta stanu Kolorado i 59 tys. dla osoby spoza stanu. Koszt kształcenia się przez rok na prywatnym Uniwersytecie Pensylwanii (Liga Bluszczowa) to 89 tys. dol. dla każdego. 75 tys., jeśli mieszka się i stołuje w rodzinnym domu.

Wypaleni już na starcie

By definitywnie zaprzeczyć wizerunkowi młodych jako leniwych materialistów, przyjrzyjmy się wnioskom z badań Sary Konrath, psycholożki społecznej z Uniwersytetu Indiany.

1. Najmłodsi Amerykanie są inteligentniejsi od poprzednich pokoleń – IQ zwiększa się średnio o 3 pkt co 10 lat, zjawisko znane jako efekt Flynna.

2. Wykazują się większym stopniem samokontroli niż starsi Amerykanie – potrafią dłużej i cierpliwiej czekać na nagrodę.

3. Są najpracowitszym pokoleniem Amerykanów, jeśli weźmiemy pod uwagę, ile czasu spędzali na nauce i pozalekcyjnych zajęciach rozwijających (dziennie dwie godziny więcej w szkole i na odrabianiu pracy domowej niż ich rodzice, tłumnie uczęszczali w wakacje do szkół letnich).

4. Po wielkiej recesji (2007-2008) odwróciły się trendy narastającego wśród młodych od lat 80. narcyzmu przy jednoczesnym spadku empatii. Od tego momentu młodzi Amerykanie robią się mniej narcystyczni, za to bardziej empatyczni, co doskonale wyjaśnia ich zaangażowanie społeczne oraz nacisk na życie definiowane przez inne wartości niż kariera i pieniądze.

Niestety, żyjąc w czasach, kiedy nic nie jest pewne (realia gigekonomii), wszystko jest na pokaz (media społecznościowe), a świat zdaje się wymagać od każdego wciąż więcej i szybciej na każdej płaszczyźnie, młode pokolenie Amerykanów jest też pokoleniem, które najwcześniej, bo już jako nastolatki, może paść ofiarą życiowego wypalenia. Pierwszym symptomem jest zwiększony stres.

– Od 2007 r., czyli odkąd American Psychological Association prowadzi coroczne krajowe badanie poziomu stresu, widzimy, że stres wśród młodych z roku na rok rośnie. Jego nadmiar może prowadzić do nerwic i depresji, co niestety także jest udziałem coraz większej liczby młodych – wyjaśnia Sara Konrath.

Drugim symptomem wypalenia jest cynizm i obniżone zaufanie do innych. To tłumaczy, dlaczego młodzi Amerykanie przy całej swojej gotowości do współdziałania gorzej radzą sobie w związkach, a tak duży odsetek nie chce decydować się na zakładanie rodziny, a jednocześnie dlaczego wyrośli na tak niesamowitą siłę społeczną zdolną odważnie krytykować wszystko, co im się nie podoba.

– Młodzi troszczą się o innych, lecz mają trudności z wiarą, że inni podobnie troszczą się o nich. To prowadzi do poczucia obniżonej wartości i pesymizmu, myślenia, że bez względu na to, jak bardzo będą się starać, i tak nic nie wyjdzie z ich planów, bo barierą są inni ludzie – wskazuje Sara Konrath i dodaje, że poczucie wypalenia może niestety niszczyć w młodych ich chęć do działania, bez względu na to, o jakie cele chodzi. – Wypalenie jest siłą demoralizującą na wszystkich frontach, dlatego jak nigdy potrzebujemy pozostałych pokoleń, by wspierały młodych, tym bardziej że przecież młodzi walczą o lepsze jutro dla nas wszystkich. W latach 60. mantrą młodych było: *Make love, not war*. Dzisiaj skandują: *Make love, not work*. Wszyscy powinniśmy stanąć za tym hasłem murem!

64% młodych uważa, że miejsce pracy powinno być obszarem walki o cele społeczne i środowiskowe.

Dobrze by było, gdyby to wsparcie zaczęło się od obniżenia kosztów edukacji wyższej. Kto wie, może mniej zadłużeni, mniej zestresowani, więc nie tak wypaleni, za to lepiej wykształceni młodzi Amerykanie zaczną znowu kochać swój kraj, będą bardziej tolerancyjni oraz pomocni, a zamiast obsesyjnie myśleć o pieniądzach, zaczną myśleć nawet o potomstwie.

Eliza Sarnacka-Mahoney

eprasa.pl 9efbbac1e5

Krwawa niedziela i Wielki Piątek

W tym roku minęło ćwierć wieku od zakończenia wojny domowej w Irlandii. Co dalej?

Mateusz Mazzini

Być może trudno dzisiaj w to uwierzyć, nawet mając przed oczami obrazy z wojny w Ukrainie, ale jeszcze trzy dekady temu na ulicach irlandzkich miast – po obu stronach granicy przecinającej wyspę – wybuchały bomby, a szefowie rządów i brytyjscy ministrowie regularnie otrzymywali w korespondencji groźby. Motywowany silnymi tendencjami nacjonalistycznymi, historycznym resentymentem i różnicami religijnymi konflikt na północy Irlandii, zwany The Troubles, toczył się nieprzerwanie od lat 60. Unieśmiertelniony chociażby przez U2 w słynnym utworze „Sunday, Bloody Sunday", pochłonął ponad 3,5 tys. ofiar śmiertelnych. Mediowali w nim wówczas wszyscy możni tego świata, od Jana Pawła II, przez kolejnych amerykańskich prezydentów, po królową Elżbietę II, ale przemocy nie było końca. IRA, Irlandzka Armia Republikańska, zbrojne ramię Sinn Féin, partii irlandzkich republikanów, nie chciała złożyć broni, a politycy w tej walce w dalszym ciągu mocno jej pomagali.

Nie trzeba znać trudnych faktów z przeszłości, by hodować w sobie nienawiść.

Dziś, zwłaszcza w kontekście częściowego powrotu partyzantów nowej IRA na scenę, wielu na Zielonej Wyspie próbuje zatrzeć te stare powiązania, ale to czysty rewizjonizm historyczny. Sinn Féin, która w tej chwili jest główną siłą opozycyjną i zdecydowanie najpopularniejszą partią w Irlandii, a jednocześnie współrządzi po raz pierwszy w historii w Irlandii Północnej, miała z IRA relację dosłownie symbiotyczną. Broń, której używali partyzanci, kupowana była za pieniądze zbierane przez funkcjonariuszy partyjnych, ugrupowanie dbało też o międzynarodowy wizerunek tzw. sprawy unifikacyjnej, utrzymując zainteresowanie zagranicznych mediów i przywódców irlandzkim konfliktem.

I choć wbrew obiegowej opinii pamięć społeczna o The Troubles jest coraz słabsza, a sama kwestia ewentualnego połączenia obu Irlandii wcale nie rozpala debaty politycznej, wspieranie krwawej organizacji paramilitarnej kładzie się cieniem na tym flagowym okręcie irlandzkiego lewicowego nacjonalizmu.

Problemy

Wojna skończyła się ćwierć wieku temu. 10 kwietnia 1998 r. ówczesny brytyjski premier Tony Blair, szef rządu republiki Bertie Ahern oraz minister spraw zagranicznych w jego rządzie David Andrews i Marjorie Mowlam, pełniąca funkcję szefowej resortu ds. Irlandii Północnej w Westminsterze, podpisali tzw. porozumienie wielkopiątkowe, kończąc prawie cztery dekady The Troubles i kładąc podwaliny pod obecny ustrój północy wyspy. Rangę tej ugody najlepiej uświadamia fakt, że z okazji niedawnej rocznicy amerykański „New York Times" i brytyjski „The Telegraph", dzienniki o wysokiej renomie i skrajnie różnych liniach redakcyjnych, niezależnie od siebie opisały ją jako „jedno z najważniejszych porozumień pokojowych w XX w.". W 1998 r. socjaldemokrata z północy John Hume wspólnie z przywódcą unionistów (zwolenników pozostania Irlandii Północnej w Zjednoczonym Królestwie) Davidem Trimble'em został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla – właśnie za swoje wysiłki na rzecz przekonania IRA do zawieszenia broni, a Sinn Féin – do rozpoczęcia negocjacji pokojowych z brytyjskim rządem. Choć Hume osobiście porozumienia wielkopiątkowego nie sygnował, powszechnie uznaje się go za ojca pokojowego współistnienia dwóch Irlandii.

Jeśli tamte wydarzenia wpisać jeszcze w szerszy kontekst polityczny, nie będzie przesady w określeniu irlandzkiej ugody jako podwalin nowego, lepszego świata, również dla Brytyjczyków. Kiedy porozumienie wchodziło w życie, królestwo było przepełnione optymizmem. Po dwóch dekadach rządów torysów, naznaczonych zwijaniem państwa, wszechobecną polityką oszczędności i zahamowaniem mobilności społecznej, nastawała era Trzeciej Drogi. Blair i jego ekipa mieli wprowadzić Wielką Brytanię w nowe tysiąclecie – erę globalizacji i nowoczesnych rządów. Dzięki Devolution Act, reformie decentralizującej cały ustrój, ustanowione zostały osobne rządy dla Walii i Szkocji. Ustalenia dotyczące koncyliacyjnego sprawowania władzy w Irlandii Północnej weszły zresztą w skład tej reformy. Dawne problemy trawiące królestwo od środka, wliczając w to nacjonalizm i konflikty religijne, miały odejść w zapomnienie.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Zupełnie inny naród

Jedno okazało się prawdą bezsprzecznie. 25 lat po wstrzymaniu walk Irlandia w obu krajach nie przypomina już prawie w ogóle tamtego narodu, który wcześniej przez dekady strzelał do swoich braci, sióstr, sąsiadów. Kwestia religijna przestała odgrywać kluczową rolę z wielu przyczyn. W republice społeczeństwo mocno się zsekularyzowało, liberalizując sporo przepisów dotyczących światopoglądu. Legalna jest tam teraz aborcja, tak samo małżeństwa jednopłciowe. Ujawnienie systemowo tolerowanych przestępstw seksualnych w Kościele oraz odkrycie masowych grobów, przede wszystkim dzieci, wykopanych przy sierocińcach i domach samotnej matki, trwale zniechęciło wielu Irlandczyków do zinstytucjonalizowanej religii. Kościół funkcjonuje tam teraz bardziej jako instytucja zarządzająca szkołami niż zaspokajająca potrzeby duchowe wiernych. Tych co niedzielę na mszę chodzi zaledwie 33%.

Po drugiej stronie granicy też doszło do sporej zmiany. Ubiegłoroczny brytyjski spis powszechny ujawnił, że po raz pierwszy w historii w Irlandii Północnej mieszka więcej katolików (45,7%) niż protestantów (43,5%). Po części jest to związane z procesami migracyjnymi – w ostatnich latach na Zieloną Wyspę trafiło sporo przybyszów z krajów tradycyjnie katolickich, przede wszystkim z Polski i Filipin. Niektórzy po przeprowadzce się laicyzują, ale wielu – co pokazują zarówno dane statystyczne, jak i obserwacje – pozostaje wiernych Kościołowi. Ciekawy jest zwłaszcza przypadek Filipińczyków. Co prawda, według danych irlandzkiego MSW jest ich nieco ponad 18 tys., a więc niewiele, ale w obliczu kryzysu powołań często są jedynymi kandydatami na ministrantów w parafiach w dużych miastach. W Irlandii Północnej jest ich oczywiście mniej niż w republice, ale trend jest zauważalny i tu, i tu.

Najwyraźniej widać jednak sekularyzację. Wspomniany już spis powszechny pokazał, że aż 17% sięgającej prawie 1,9 mln mieszkańców populacji Irlandii Północnej nie praktykuje żadnej religii. To z kolei wiąże się z osłabieniem autorytetu publicznego obu instytucji – Kościoła rzymskokatolickiego i arcybiskupa Westminsteru. W tej sytuacji, nawet jeśli w obu krajach udałoby się znaleźć fanatyków religijnych gotowych chwycić za broń, raczej nie uzyskaliby masowego poparcia dla swoich postulatów.

Przemoc wciąż istnieje na pograniczu, choć już nie manifestuje się bombami.

Podobnie jest z samą kwestią unifikacji. Kiedy w ubiegłym roku Sinn Féin po raz pierwszy w historii wygrała wybory do północnoirlandzkiego parlamentu, zdobywając 27 z 90 dostępnych mandatów, media natychmiast zaczęły snuć scenariusze połączenia obu krajów. Zwłaszcza że głośno mówiła o tym szefowa partii na terenie Wielkiej Brytanii Michelle O'Neill, a temat istnienia granicy wrócił do debaty publicznej z powodu brexitu. Pomimo opuszczenia przez królestwo Unii Europejskiej Irlandia Północna de facto nadal znajduje się we Wspólnocie, głównie pod względem celno-handlowym. Przywrócenie fizycznego podziału i wszystkiego, co się z tym wiąże, na czele z kontrolami celnymi, byłoby nie tylko koszmarem logistycznym, ale także paliwem dla radykałów. Dlatego granica w praktyce

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 9efbbac1e5

przebiega przez oddzielające obie wyspy Morze Irlandzkie.

Badania opinii publicznej nie potwierdzają jednak tezy o realności połączenia obu Irlandii. O ile, jak donosi „Irish Times", po republikańskiej stronie aż 66% obywateli opowiada się za unifikacją, o tyle już wśród Irlandczyków z północy poparcie dla takiego ruchu wciąż jest wyraźnie mniejszościowe. Trzy duże sondaże z 2022 r., przeprowadzone przez badaczy z Uniwersytetu w Liverpoolu, sondażownię LucidTalk oraz naukowców odpowiedzialnych za badanie trendów społecznych Northern Ireland Life and Times Survey, pokazały odpowiednio 31,9%, 34% i 41% poparcia dla idei wyjścia Irlandii Północnej ze Zjednoczonego Królestwa i połączenia się z rządem w Dublinie. Co więcej, agregowane sondaże z ostatnich sześciu lat dowodzą, że nie ma mowy o trendzie rosnącym. Najmniejszy odsetek zwolenników zjednoczenia w tym okresie to 26%, największy – 45%. Wyniki powyżej 40% pojawiały się w dodatku tylko w badaniach jednej agencji, co każe się zastanowić nad stosowaną przez nią metodologią.

DUP jest niezadowolona

O tym, że stare podziały odgrywają coraz mniejszą rolę, świadczy też inne zjawisko na scenie politycznej. We wspomnianych wyborach z ubiegłego roku trzecie miejsce i 17 mandatów zdobyła centrowa partia Alliance (ang. Sojusz). Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jest to jedyne w Irlandii Północnej ugrupowanie, które oficjalnie nie ma żadnego stanowiska w kwestii unifikacji. Przewodnicząca tej formacji Naomi Long za każdym razem stara się podkreślać, że to, pod jaką flagą żyją jej wyborcy, jest dla niej kwestią drugorzędną. Znacznie ważniejsze są dostęp do edukacji i ochrony zdrowia oraz szanse na rynku pracy. I właśnie tym powinni jej zdaniem zajmować się politycy po obu stronach granicy, bo tożsamość narodowa staje się kwestią coraz bardziej wyimaginowaną.

To oczywiście przesada w drugą stronę, ale faktem jest, że obecnym władzom w Belfaście można wiele zarzucić. Wyraz swojej frustracji dał nawet przy okazji obchodów rocznicy porozumienia wielkopiątkowego brytyjski premier Rishi Sunak, który upomniał liderów z północy, by „sprawili, że Stormont (potoczna nazwa parlamentu północnoirlandzkiego, od wzgórza, na którym stoi budynek) znów zacznie właściwie funkcjonować". Odniósł się w ten sposób do trwającego już 11 miesięcy paraliżu w Belfaście, po tym jak DUP – partia unionistów – wycofała się z udziału w rządzie z Sinn Féin w proteście przeciwko nowym przepisom regulującym handel międzynarodowy po brexicie.

Kościół funkcjonuje bardziej jako instytucja zarządzająca szkołami niż zaspokajająca potrzeby duchowe wiernych.

I wtedy dość niespodziewanie wszyscy przypomnieli sobie o porozumieniu wielkopiątkowym. Stworzono wówczas bowiem *power sharing governance*, czyli ustrój oparty na dzieleniu się władzą przez unionistów i nacjonalistów. W dużym skrócie opiera się to na przymusowym współistnieniu. Jeśli premier lokalnego rządu – lider partii, która wygrała wybory – wywodzi się spośród zwolenników pozostania w Wielkiej Brytanii, jego zastępca reprezentuje nacjonalistów, i odwrotnie. Pomimo różnic tytularnych obaj urzędnicy są sobie równi kompetencyjnie i nie mogą sprawować władzy osobno. Jeśli jeden zrezygnuje, drugi jest zobligowany do tego samego. DUP jest niezadowolona z faktu, że po rozwodzie Londynu z Brukselą część dóbr importowanych z królestwa do Irlandii Północnej musi przechodzić kontrolę celną.

Przewodniczący partii, sir Jeffrey Donaldson, jest zdania, że przez to lokalna gospodarka osłabia swoją pozycję względem reszty Wielkiej Brytanii. Sunak próbował teraz przywołać DUP do porządku również dlatego, że w wyniku paraliżu Irlandia Północna pozostaje bez budżetu na przyszły rok, co stawia w dramatycznej sytuacji praktycznie cały sektor publiczny. Obchody rocznicowe dobiegły jednak końca, tuzy polityki – w tym odwiedzający Irlandię prezydent USA Joe Biden – wyjechały do domu, a przełomu brak.

Ten polityczny chaos jest dziedzictwem The Troubles. Tak samo jak przemoc, która wciąż istnieje na pograniczu, choć już nie manifestuje się bombami i seriami z karabinów. Widać ją na niższym poziomie, zwłaszcza wśród najmłodszych. I tu, co ciekawe, mimo wszystko odgrywa rolę religia. Megan Specia z „New York Timesa" przy okazji niedawnej rocznicy przypomniała, że aż w jednej trzeciej szkół w Irlandii Północnej społeczności uczniowskie są jednorodne religijnie. Protestanci i katolicy, nawet jeśli jest ich mniej, wciąż się nie mieszają. Rezultat – dzieci często nie poznają nikogo z innych kręgów religijnych, dopóki nie dorosną i nie rozpoczną nauki na uniwersytecie czy pracy. Pierwszy kontakt, opisuje w reportażu Specia, niejednokrotnie kończy się bójką, mikroagresją, ksenofobicznym komentarzem.

Badania opinii publicznej nie potwierdzają tezy o realności połączenia obu krajów.

Władze próbują temu zaradzić, inwestując w programy integracyjne, ale nieufność wśród Irlandczyków z północy nadal jest spora. Nawet jeśli po drugiej stronie granicy, jak wynika z rocznicowego sondażu na zlecenie „Irish Timesa", co czwarty Irlandczyk do 24. roku życia nie wie o The Troubles prawie nic. Jak widać, nie trzeba znać trudnych faktów z przeszłości, by hodować w sobie nienawiść.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jak obrażać i szkalować naród polski wciąż. Poradnik

Kiedy ministrem edukacji zostaje troglodyta, daremne jest oczekiwanie, że wielkiego ambarasu czy nieszczęścia nie będzie. Jest dokładnie na odwrót, uformowany przez autorytarno-faszystowski sznyt rzekomo państwowy „urzędnik" nie cofa się w swoich fantazjach ideologicznych (jezdem konzerwatyzdą i katolikiem) przed niczym. Kiedy przez lata dopuszcza się do pielęgnacji podglebia nacjonalistycznego, to nie dziwota, że zakwita później potworny kwiat antysemityzmu i rasizmu. Ożywa jak upiór z horrorów polska dusza, owa *anima naturaliter endeciana*, ogrzewa się w słoneczku zaimplantowanych do krwiobiegu państwa ksenofobii i szowinizmu.

Tego właśnie jesteśmy świadkami podczas obecnej, niemającej precedensu w Polsce po 1989 r., nagonki rządowych polityków na badaczki/badaczy Zagłady, w szczególności na prof. Barbarę Engelking, autorkę uznanych i pionierskich prac o postawach polskiego społeczeństwa wobec masowego mordu na Żydach w czasie okupacji hitlerowskiej. Ludzie bez żadnego dorobku naukowego, opakowani równocześnie w tytuły naukowe (wylęgarnią jest Katolicki Uniwersytet Lubelski), bez najmniejszego skrępowania dokonują personalnych ataków na tych, w których pracy nie dominuje nacjonalistyczna mgła. Wystarczył jeden komentarz w programie publicystycznym – prof. Engelking w „Kropce nad i" Moniki Olejnik powiedziała: „Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów, i można było mieć nadzieję, że będą się inaczej zachowywać, że będą neutralni, że będą życzliwi, że nie będą do tego stopnia wykorzystywać sytuacji i nie będzie tak rozpowszechnionego szmalcownictwa". A ojcem chrzestnym szmalcowników jest w istocie Roman Dmowski, który stworzył i użył narzędzia antysemityzmu w walce politycznej. Wzorcem osobowym zaś Eligiusz Niewiadomski, zabójca prezydenta Narutowicza.

Do tej kompanii i jej języka nienawiści dołączyli właśnie członkowie rządu PiS i posłowie tej formacji. Maciej Świrski, pisowski szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, wszczął postępowanie przeciwko TVN. Europoseł PiS Dominik Tarczyński popędził do prokuratury za rzekome „publiczne znieważenie Narodu Polskiego" przez prof. Engelking. W przypadku tegoż osobnika odnosi się wrażenie obcowania z nadzwyczaj kreatywną kreaturą, która w parapatriotycznym zapamiętaniu gardłuje: „Dosyć tego! Dosyć dziesiątek lat plucia na nas i obrażania całych narodów. Polska jest numerem jeden pod względem ilości osób uznanych przez Yad Vashem jako tych, którzy pomagali Żydom, Sprawiedliwych wśród Narodów. Engelking wychodzi do TVN-u i pluje na takich ludzi jak mój dziadek, jak miliony Polaków, dlatego prokuratura powinna zbadać i ocenić, czy znieważyła naród polski". Prężąc się w genetycznej dumie bycia wnukiem „wyklętego", Tarczyński jest jedną z najbardziej plugawych postaci polskiej sceny politycznej. Publicznie znane są badania IPN, które potwierdziły, że jego dziadek, konspirator AK i NSZ, równocześnie wydawał Żydów w ręce Niemców i wzbogacił się na żydowskim majątku. *Anima naturaliter* szmalcownikana.

Czarnek poczuł się jednoosobowym ministerialnym gromowładnym i zapowiedział represje finansowe wobec Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, gdzie Barbara Engelking szefuje Centrum Badań nad Zagładą Żydów. W swoim niepodrabialnym, knajackim stylu najgorszy minister edukacji w historii tego urzędu pohukiwał: „To jest skandal i bezczelność nieprawdopodobna tej pani (…). Na pewno będę rewidował swoje decyzje finansowe, bo ja nie będę finansował na większą skalę instytutu, który utrzymuje tego rodzaju ludzi, którzy po prostu obrażają Polaków". Traktowanie w taki sposób placówki naukowej (już w kolejnej odsłonie, bo wcześniej tenże instytut, jeden z najważniejszych i żywych intelektualnie ośrodków polskiej refleksji filozoficznej, został „ukarany" przez ministerialną komisję niską oceną, skutkującą odebraniem prawa do przyznawania doktoratów) jest bezprecedensową ingerencją w badania naukowe. Czarnek zarządza w tym samym czasie „szeroko zakrojone badania w celu wykazania gmina po gminie zaangażowania społeczeństwa polskiego w ratowanie Żydów w czasie Holokaustu. Aby takie osoby, jak w TVN24 nigdy już nie mogły obrażać Polaków, mordowanych przez Niemców z tego powodu".

Tradycyjnie nie skorzystał z okazji do milczenia Mateusz „Pinokio" Morawiecki, który z pozycji magistra historii określił słowa prof. Engelking jako „skandaliczne", a w wypowiedzi dla TVP Info nazwał je „kłamliwymi". Zareagowali na to profesorowie z Rady Naukowej Instytutu Filozofii i Socjologii PAN: „Rada wyraża swoje oburzenie z powodu słów premiera Morawieckiego i swoją całkowitą solidarność z prof. Engelking, która właśnie doświadcza nagonki. Niebezpieczna jest sytuacja, w której premier demokratycznego państwa, korzystając z autorytetu swojego urzędu, przypuszcza ideologicznie motywowaną napaść na niezależną uczoną".

Jeśli zatem przypominanie, ujawnianie, relacjonowanie potwornych zachowań Polaków wobec społeczności żydowskiej podczas wojny ma być „szkalowaniem Polski", „obrażaniem całych (?!) narodów", to w imię uczciwości i prawdy historycznej – szkalujmy i obrażajmy, wypalając chore sny o niepokalanym i nieskażonym szmalcownictwem i zbrodniami na Żydach polskim narodzie.

A poza tym niech się święci 1 Maja! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Między Wschodem i Zachodem

Po latach wojen i konfliktów gospodarka Serbii wychodzi na prostą

Chrystian Ślusarczyk

Media raz po raz informują o planach akcesji do Unii Europejskiej i nowych członkach NATO oraz strefy Schengen, o przyjęciu w którymś kraju wspólnej europejskiej waluty. Niedawno z pierwszych stron gazet nie schodziła mała Chorwacja, bo młody bałkański kraj 1 stycznia 2023 r. wszedł właśnie do strefy Schengen, a kunę zastąpiło tam euro. Często mówi się o podobnych dążeniach Bułgarii i Rumunii. W cieniu tych wydarzeń pozostaje Serbia, kraj dziś na rozdrożu, o którym pisze się najczęściej w kontekście: Rosja czy Zachód, Unia czy Azja. Ale czy słusznie? Czy wybranie innej drogi rozwoju niż sąsiedzi skazuje Belgrad na gospodarczą „samotność" i polityczną izolację?

Serbia to najmłodsze państwo Europy Środkowo-Wschodniej. Powstała 5 czerwca 2006 r. Ma 7 mln mieszkańców. Przez dziesięciolecia stanowiła serce i gospodarczy trzon Jugosławii Josipa Broza-Tity. Po jego śmierci i rozpadzie mocno niegdyś posklejanej federacji jej poszczególne kraje popadły w tarapaty społeczno-gospodarcze. Wojna domowa z lat 1992-1995, embargo nałożone na nową Jugosławię i naloty NATO w 1999 r. spowodowały znaczne straty w gospodarce Serbii. Ale czarny czas postjugosłowiańskiej rzeczywistości wydaje się przechodzić do historii.

Gospodarka serbska opiera się na produkcji i eksporcie, napędzanym głównie przez inwestycje zagraniczne. Najważniejsze branże przemysłowe to motoryzacja, przemysł meblarski, maszynowy, chemiczny i przetwórstwo spożywcze. Serbia prowadzi negocjacje akcesyjne z Unią Europejską. Układ o stabilizacji i stowarzyszeniu przejściowo umożliwia jej wolny handel z państwami UE.

Od 2015 r. zauważalny jest trwały spadek bezrobocia. Jeszcze w roku 2016 wynosiło ono aż 16%, w 2022 – już tylko 9%. Prognozy Komisji Europejskiej na ten rok mówią o dalszym wyraźnym spadku. Podczas gdy w 2020 r. odnotowano spadek serbskiego PKB o 1,8%, już w kolejnym roku wzrósł on o 4,8%. Podobny wzrost zanotowano w roku 2022, prognozy na 2023 także są optymistyczne.

Sąsiedzi patrzą i zazdroszczą

Pandemia, fala uchodźców, która przetoczyła się przez kraj, i od niedawna wojna w Ukrainie na szczęście nie wpłynęły w znaczący sposób na pogorszenie się jakości życia przeciętnego mieszkańca Belgradu czy Nowego Sadu. Ostatnie lata to wzrost znaczenia szybko bogacącej się stolicy i coraz ostrzejszy kontrast między nią a resztą kraju. Ale warto pamiętać, że jest to zjawisko powszechne na Bałkanach.

W 2021 r. Belgrad został ogłoszony miastem o największym potencjale gospodarczym w rankingu organizacji Emerging Europe. Obejmuje on 100 największych miast 23 gospodarek Europy Środkowej, Wschodniej, Południowo-Wschodniej i Kaukazu Południowego, z których 11 jest członkami UE (Estonia, Łotwa, Litwa, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Węgry, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia).

Ówczesny burmistrz Belgradu Zoran Radojičić uważał, że sukces miasta można przypisać stabilności finansowej samego Belgradu, jak i całej Serbii. „Stabilność finansowa to solidny fundament dla dużych inwestycji w infrastrukturę, zarówno drogową, jak i kolejową – mówił po ogłoszeniu wyników. – Mam tu na myśli przede wszystkim budowę obwodnicy Belgradu i szybkiej kolei z Belgradu do Nowego Sadu, a także zbliżające się rozpoczęcie budowy pierwszej linii belgradzkiego metra. Wszystkie te projekty zapewnią nam szybszą i sprawniejszą komunikację w Belgradzie, ale także z Europą i innymi częściami świata". Ci, którzy latem podróżują do Bułgarii czy Grecji, z pewnością zauważyli, że Serbowie zdają egzamin z budowy autostrad.

W rankingach jakości życia stolica Serbii także z roku na rok pnie się coraz wyżej. Wynik ten potwierdza, że państwo bardzo poprawiło swój klimat biznesowy, a wdrażane przez rząd reformy są zauważane przez świat.

> Od 2015 r. zauważalny jest trwały spadek bezrobocia. Jeszcze w roku 2016 wynosiło ono aż 16%, w 2022 już tylko 9%.

Chiński hub a środowisko

Od kilku dobrych lat działalność chińskich firm w Serbii cieszy się niesłabnącym poparciem władz w Belgradzie. Chiński przywódca Xi Jinping uważa Serbów za największego przyjaciela w Europie i najlepszego partnera gospodarczego. Istotnie, chińskie inwestycje mnożą się w różnych rejonach kraju. Prezydent Aleksandar Vučić zapowiadał, że przedsięwzięcia takie jak fabryka opon w mieście Zrenjanin, która ma produkować ponad 130 mln opon rocznie, przekształcą Serbię „w hub

eprasa.pl 9efbbac1e5

168-metrowa Kula Beograd stała się nowym symbolem miasta.

dla wszystkich chińskich inwestycji w regionie". Ale nie tylko. Chińskie przedsięwzięcia w Serbii, w tym również huta stali w pobliżu Belgradu oraz kopalnia i huta miedzi w mieście Bor na południu, każą spojrzeć na chińskie inwestycje z zupełnie innej strony. Te, mimo peanów na cześć Pekinu w prorządowych mediach, dla wielu Serbów stały się synonimem degradacji środowiska, a także nieludzkiego traktowania robotników z Wietnamu, którzy w pogoni za lepszym życiem utknęli właśnie w Serbii.

Jedną z największych chińskich inwestycji był zakup huty Železara Smederevo przez Hesteel Group za 46 mln euro. Serbski zakład ma niewielkie znaczenie gospodarcze dla Chin, ale umowa uratowała 5,2 tys. lokalnych miejsc pracy i kupiła Chinom ogromną gospodarczą dobrą wolę oraz polityczną przychylność serbskich władz.

Zagraniczni inwestorzy to nie tylko Chińczycy. W tym roku w miasteczku Kać koło Nowego Sadu niemiecki potentat oponiarski Continental zainwestował 140 mln euro w zakład produkcyjny, w którym zatrudnienie znajdzie co najmniej pół tysiąca osób. Fabryka o powierzchni 30 tys. m kw., na których znajduje się przestrzeń produkcyjna, logistyczna i biurowa, należy do największych zakładów niemieckiej spółki na świecie.

Emiraty w Belgradzie, Belgrad w Emiratach

Życzliwym biznesowym okiem w stronę Belgradu i przepływającej przez niego rzeki Sawy spoglądają od jakiegoś czasu szejkowie z Emiratów Arabskich. Władze Serbii z inwestycjami arabskimi wiążą spore nadzieje na gospodarcze ożywienie i sukces ekonomiczny.

Od roku 2014 przebudowywana i modernizowana jest olbrzymia część serbskiej stolicy. Nad brzegiem wlewającej się niedaleko do Dunaju Sawy powstaje Belgrade Waterfront – Beograd na vodi. Dzielnica zupełnie odmieniła oblicze stolicy. Na nadbrzeżu wyrosły luksusowe apartamentowce, biurowce, galerie handlowe (największe na Bałkanach), strefa rozrywki i kilkanaście nowych ulic o łącznej długości 15 km! Powstały też zupełnie nowe dworce kolejowy i autobusowy. Nad Sawą wyrósł także supernowoczesny drapacz chmur. 168-metrowa Kula Beograd (wieża Belgrad) stała się nowym symbolem serbskiej stolicy. W Belgrade Waterfront oddano do użytku dwie wielojęzyczne szkoły podstawowe zatrudniające pedagogów z całego świata oraz aż 11 przedszkoli i żłobków. Nadrzeczna dzielnica powstała w bezpośredniej bliskości nowoczesnych terenów zbudowanych nieco wcześniej Międzynarodowych Targów Belgradzkich.

Projekt przebudowy dużych, nie tak dawno jeszcze zaniedbanych obszarów miasta realizowany jest dzięki środkom rządowym oraz firmie Eagle Hills z Abu Zabi w Emiratach. Beograd na vodi i związana z nim gruntowna rewitalizacja dzielnic nad Sawą kosztuje 3,5 mld dol.

Powstanie Belgrade Waterfront to jedna z obietnic prezydenta Vučicia, który przed wyborami w 2012 r. podkreślał potrzebę gruntownej przebudowy części Belgradu. Jak widać, słowa dotrzymał. Mieszkańcy stolicy cieszą się dziś nowymi miejscami pracy z całkiem niezłymi zarobkami i nowymi możliwościami spędzania wolnego czasu. Dzielnica już przyciąga fanów architektonicznych nowinek ze szkła i aluminium. A także Polaków, którzy dzięki nowym połączeniom lotniczym z Belgradem coraz chętniej wybierają się nad brzegi Sawy i Dunaju.

Baza amerykańska bliższa niż rosyjska?

O karkołomnym, wydawać by się mogło, pomyśle rosyjskiej bazy w Serbii media zaczęły informować w marcu br. Baza taka, o której trąbił

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9efbbac1e5

rosyjski ambasador w Belgradzie, miała być zwieńczeniem dobrych stosunków między oboma narodami. Kremlowski dyplomata powiedział co prawda, że „jest to suwerenna decyzja kraju przyjmującego", ale po chwili dodał, iż „leży to w daleko idącej strategii Rosji w tej części Europy". Mówiąc o rosyjskiej bazie wojskowej w Serbii, ambasador nawiązał do działającego w pobliżu Niszu na wschodzie Serbii Rosyjsko-Serbskiego Centrum Humanitarnego. Ten stworzony przed dekadą ośrodek ma na celu wzajemną pomoc w sytuacji klęsk żywiołowych oraz współpracę technologiczną w tym zakresie. Pomysły ambasadora szybko wsparły rosyjskie media. Na portalu Lenta.ru pojawił się wywiad z rosyjskim ekspertem wojskowym, który uważa, że baza w Serbii pomoże służbom w obserwowaniu tego, co dzieje się u sąsiadów Serbii spoza NATO – w Bośni i Hercegowinie oraz w nieuznawanym przez Belgrad Kosowie.

Tymczasem USA już od kilku lat nakłaniają Serbię – na razie bezskutecznie – by zrezygnowała z prowadzenia centrum koło Niszu. W Waszyngtonie uważa się, że działania centrum i ludzi w nim zatrudnionych są nie do końca zgodne z założeniami tego serbsko-rosyjskiego projektu. Z kolei zdaniem rosyjskiego dziennikarza Giennadija Sysojewa, cytowanego przez stację N1, Rosja wysyła coraz wyraźniejsze sygnały, że już jej nie zadowala status quo – balansowanie Serbii między Wschodem i Zachodem. „Tak ważna na Bałkanach Serbia musi w końcu zdecydować: albo z nimi, albo z nami", twierdzi Sysojew.

„Komentarze Kremla na temat rosyjskiej bazy w Serbii to kolejny dowód na to, że nasz kraj służy Rosjanom jako karta przetargowa", powiedział zaś w wywiadzie dla serbskiego „Blitzu" były ambasador Serbii na Białorusi, Srećko Đukić. Znamienny jest sam tytuł artykułu w „Blitzu": „Nowe propagandowe uderzenie Putina w Serbię! Jak Moskwa nas wykorzystuje". Według Đukicia taka sytuacja z pewnością zwiększy nieufność społeczności międzynarodowej wobec Serbii.

Choć prezydent Vučić twardo obstaje przy swoim, uważając, że Serbia jest i będzie neutralna, w kraju nie brakuje głosów wsparcia dla budowy rosyjskiej bazy wojskowej. Prawicowy polityk Boško Obradović, lider partii Dveri, uważa, że „rosyjska baza byłaby jak najbardziej pożądana i stanowiłaby przeciwwagę dla już istniejącej bazy obcego mocarstwa". Obradović bowiem amerykańską bazę wojskową na terenie Kosowa traktuje jako ośrodek obcej armii na obszarze Serbii.

Od kilku dobrych lat niesłabnącym poparciem władz w Belgradzie cieszy się działalność chińskich firm.

Na razie jednak w kwestii rosyjskiej bazy znacznie więcej jest szumu, deklaracji i propagandy niż konkretnych działań. Tymczasem według rosyjskiego „Kommiersanta", powołującego się na źródła w Belgradzie, w bazie wojskowej Jug koło Bujanovaca na południu kraju serbska armia w połowie ubiegłego roku zaczęła zacieśniać współpracę z USA. Informacje te potwierdził szef amerykańskiego Biura Współpracy Obronnej, Alexandro Pedraza, który koordynuje współpracę serbskiej armii z Pentagonem.

Kosowo i gospodarczy kompas

Warto pamiętać, że Serbia jako jeden z nielicznych krajów nie nałożyła sankcji na Rosję. Gorącym zwolennikiem tego posunięcia jest prezydent. Serbska Partia Postępowa Vučicia w tej kwestii sama nie jest monolitem. Jeden z partyjnych weteranów, Dragan Šormaz, uważa, że Serbia już dawno powinna przyłączyć się do zachodnich sankcji przeciwko Moskwie. Mało tego, powinna dołączyć do NATO. „Tak naprawdę przyjaciółmi Moskwy są Bułgarzy, a nie my", oznajmił polityk. Šormaz i ludzie go wspierający swoją pozycję uzasadniają niedawnymi wypowiedziami Putina, uważanego dotąd za sojusznika Serbów w kwestii nieuznawania Kosowa. Władimir Władimirowicz miał bowiem porównać dwie separatystyczne republiki w Donbasie do Kosowa – najmłodszego wolnego państwa w Europie „To nóż wbity w plecy Serbii i Serbom", grzmiały wówczas przez wiele dni belgradzkie tabloidy.

Temat Kosowa i jego uznania długo jeszcze będzie spędzał sen z powiek politycznemu kierownictwu na najwyższym szczeblu, ale i zwykłym śmiertelnikom. Tym bardziej że wojna w Ukrainie uwidoczniła konieczność zażegnania sporów – zamrożonych – w byłej Jugosławii i przełożyła się na wzrost zaangażowania Zachodu oraz większą koordynację działań pomiędzy USA a państwami UE. Nierozwiązana kwestia kosowska postrzegana jest także jako jedna z głównych przyczyn utrzymywania się wpływów rosyjskich w regionie i w samej Serbii. 27 lutego br. strony serbska i kosowska zaakceptowały tekst porozumienia oparty na znanej z przecieków medialnych propozycji niemiecko-francuskiej. Dokument wskazuje, że Zachód odszedł od koncepcji wypracowania kompleksowej ugody zakładającej wzajemne uznanie, co można odczytać jako sukces Serbii.

Chiny, Emiraty, Rosja. Belgradowi zależy na jak najlepszych relacjach gospodarczych z każdym z tych krajów. Ale warto pamiętać, że i UE nie zostawia Serbów (tegoroczna dotacja unijna w wysokości 165 mln euro na pomoc w kryzysie energetycznym), a Niemcy na gospodarczo-handlowej mapie Serbii zajmują pierwszą pozycję. W niemieckich fabrykach w Serbii zatrudnionych jest obecnie 79 tys. pracowników, a liczba niemieckich firm przez ostatnie 10 lat wzrosła z 42 do 124! Obecnie wartość wymiany towarowej pomiędzy tymi krajami wynosi ponad 8 mld euro.

Dziś Serbia to swoisty kompas. I, jak widać, otwiera się na cztery strony świata.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl 9efbbac1e5

Oko w oko

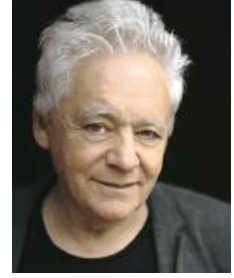

Tomasz Jastrun

Trzeci silnik

To mamy już trzeci silnik wyborczy PiS. Pierwszym jest obrona świętości papieża Polaka. Drugim – „mord smoleński", więc Tusk i Putin jako zamachowcy. A nowy, trzeci silnik (czekamy na czwarty, jak to tak – lecieć bez czwartego) to obrona polskiego narodu przed haniebnymi pomówieniami, że w czasie okupacji były w polskim społeczeństwie częste odruchy antysemickie. Sprawa nabrała rozgłosu po rozmowie Moniki Olejnik z Barbarą Engelking. Kierowniczka Centrum Badań nad Zagładą Żydów powiedziała: „Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów i można było mieć nadzieję, że będą się inaczej zachowywać, że będą neutralni, że będą życzliwi, że nie będą do tego stopnia wykorzystywać sytuacji i nie będzie tak rozpowszechnionego szmalcownictwa. (…) Polacy po prostu zawiedli". Jacek Leociak, który też pracuje w Centrum Badań, pozbierał słowa, jakimi politycy PiS zareagowali na tę wypowiedź. A więc Barbara Engelking: „Obraża Naród Polski" i „dziesiątki lat pluje na Naród Polski" (Tarczyński Dominik, poseł PiS); „Mówi dowolne bzdury i kłamie", „łże" (Świrski Maciej, przewodniczący KRRiTV); mówi „skandaliczne słowa, które nie mają nic wspólnego z rzetelną wiedzą historyczną" (Morawiecki Mateusz, premier i historyk). Dla Czarnka Przemysława (minister edukacji) jest skandalistką: „To jest skandal i bezczelność nieprawdopodobna tej pani, zresztą nie pierwszy raz. Ta pani nie rozumie tego, co się działo w czasie II wojny światowej w Polsce. Ta pani nie rozumie dramatu, chociażby rodziny Ulmów, a to jest tylko przykład. Ta pani bezczelnie obraża Polaków". Minister zapowiada więc, że ograniczy finansowanie Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, gdzie działa Centrum Badań nad Zagładą Żydów, nie będzie podwyżek itd. A poza tym minister zleci i sowicie opłaci „badania naukowe", które wykażą, że Polacy masowo ratowali Żydów w czasie wojny.

I tak już widać, że Holokaust zdarzył się właściwie tylko po to, by Polacy mogli ratować Żydów. Mój ojciec ocalał w czasie okupacji dzięki odwadze wielu ludzi i był im zawsze wdzięczny, ale opowiadał też, jak różnie to bywało z pomocą i życzliwością. A po wojnie obserwował, i o tym pisał, jak żywy jest polski antysemityzm, którego Holokaust nie wykasował, pogrom kielecki był tego tylko kulminacją.

Żyjemy w innym świecie, Żydów w Polsce praktycznie już nie ma. Jednak antysemityzm nadal płynie, może nie rzeką, ale wartkim podziemnym strumieniem. Po słowach Barbary Engelking strumień nagle znów zmienił się w rzekę, co widać w internecie. Jeśli tyle lat po wojnie tak jest, to dowód, jak silny i wszechobecny musiał być antysemityzm niegdyś. Na drugim brzegu zaś, jakby na przekór, krzewi się w Polsce filosemityzm i wielkie zainteresowanie wśród młodych problematyką żydowską, nie można tego nie zauważać.

•

Rośnie nasz pesymizm i maleje wiara, że wygramy wybory. Bardzo mnie martwi takie myślenie. Tu przecież działa mechanizm samospełniającej się przepowiedni. Rośnie powszechna wściekłość na opozycyjne niezgody i niemożność stworzenia jednej listy. Widać, jak chore, jak skostniałe są w Polsce wszystkie partie polityczne. Ale przecież tak było również przed wojną. Politycy opozycji jeżdżą po Polsce, spotykają się z ludźmi, a ci błagają o wspólną listę. I nic. Paweł Śpiewak poznał partię od środka. Na chwilę przed śmiercią pisał: „Partiokracja zwykle oznacza też zastąpienie systemu liberalno-demokratycznego przez procedury większościowe. Większość ma rację, nawet jeśli łamie konstytucję czy umowy międzynarodowe. (…) Tak więc każda z partii tworzy swoje nomenklatury (podobnie jak w PZPR), a temu towarzyszy rozbudowany system zależności, zwany najlepiej klientelizmem czy neofeudalizmem". Zmiana władzy ma małą szansę to zmienić. Ten obyczaj już zastygł w betonie.

> Widać, że Holokaust zdarzył się właściwie tylko po to, by Polacy mogli ratować Żydów.

•

Coraz wyraźniej widać, że to nie Rosja jest wielkim problemem dla świata, ale Chiny. Zawsze było mi obce, a nawet wrogie spiskowe myślenie, jest ono plagą i zatruwa zdrowy rozsądek, ale zaczynam wierzyć w globalne zagrożenie ze strony Chin. Macki wpływów ekonomicznych, za którymi idą polityczne, zaczynają oplatać cały świat. Trudno temu się przeciwstawić, to się dzieje powoli i w ramach liberalnych praw gospodarki. Chiny to inna etyka pracy, niemal niewolniczej, Europejczycy czy Amerykanie, gdy stykają się z chińskim stylem pracy, są w szoku. Mówiło się do niedawna, że wolność ekonomiczna wymusi na autorytarnych Chinach wolność polityczną. Już widać, że nic z tego. Powstał nowy system autorytarny, niezwykle efektywny. I wszyscy go krzepimy, kupując masowo chińskie produkty.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Ważne sprawy polskiego szkolnictwa

Organizacja szkolnictwa zachowuje wiele pozostałości z dawnych lat

Kazimierz Łastawski

W pełni zgadzam się z treścią felietonu prof. Jana Widackiego „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie" (PRZEGLĄD nr 15/2023). Jego wywody są zbieżne z krytycznymi ocenami systemu polskiej edukacji formułowanymi przez wiele środowisk naukowych w kraju. Problem edukacji narodowej jest ważny, bo w znaczącym stopniu może ona wpływać na cywilizacyjny dorobek kraju. Od wykształcenia młodego pokolenia będą uzależnione jego przyszłe role zawodowe.

Prof. Widacki trafniej charakteryzuje problemy polskiego szkolnictwa, niż zrobiono to podczas burzliwej debaty sejmowej nad wotum nieufności wobec ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka, przeprowadzonej 13 kwietnia br. Na sali sejmowej kolejny raz doszło do ostrej konfrontacji poglądów przedstawicieli opozycji i działaczy partii rządzącej. Posłanki i posłowie opozycji demokratycznej krytycznie oceniali sposób kierowania systemem szkolnictwa przez „silnego" ministra PiS. Ich oceny poparł poseł Konfederacji Robert Winnicki. Odpowiedzi ministra Czarnka były popisem arogancji i pomijały merytoryczne zarzuty opozycji. Zapowiedział m.in. likwidację istniejącej od wielu lat Karty nauczyciela.

Słabości systemu edukacyjnego kraju występują od dłuższego czasu. Ich eliminację utrudniają podziały partyjne, niedobór środków finansowych i rozbieżne stanowiska rządzących koalicji. Do rozwiązywania problemów konieczne jest eksponowanie interesu ogólnonarodowego i eliminowanie wielu istniejących barier rozwojowych. Do optymalizacji działań polskiego szkolnictwa potrzeba przede wszystkim: dokonania wyraźnych zmian programowych, ulepszenia stanu kadr nauczycielskich i realizowania bardziej przemyślanych rozwiązań organizacyjnych w szkolnictwie.

a) Programy nauczania w zbyt małym stopniu dostosowane są do wymogów współczesnego świata. Prof. Widacki wskazuje, że są „przeładowane faktami niekoniecznie powiązanymi w logiczną całość". Nauka szkolna w dużej mierze polega na pamięciowym opanowywaniu faktów i przyjmowaniu bez dyskusji „prawd objawionych", a nie na opanowywaniu sztuki krytycznego myślenia. Krytyczne oceny i propozycje ulepszeń edukacji formułowało wielu specjalistów. Uczeni PAN już w 1997 r. zwracali uwagę, że „programy muszą być znacznie odciążone od treści pamięciowych i abstrakcyjno-teoretycznych na korzyść nie tylko umiejętności praktycznych, ale także samodzielnych prac i projektów" („Memoriał Komitetu Prognoz »Polska w XXI wieku« przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk w sprawie roli edukacji w kształtowaniu przyszłości Polski", w: „Strategiczne problemy rozwoju Polski", Warszawa 1998, s. 42).

b) Nauczyciele są najważniejszym czynnikiem wpływającym na poziom wykształcenia przyszłego pokolenia Polaków. Są przewodnikami w dostępie młodzieży do wiedzy i mogą ułatwiać przygotowanie młodych ludzi do wyzwań cywilizacyjnych. Na rezultaty ich działań wpływają przede wszystkim poziom posiadanej przez nich wiedzy, fachowe przygotowanie i zdobyte umiejętności oraz warunki tworzone przez władze. Działalność nauczycieli wymaga szczególnego wsparcia władz, a nie traktowania ich tylko jako pracowników sfery usługowej. Polepszenie poziomu kadr nauczycielskich wymaga zwiększenia naboru do tego zawodu ludzi o najlepszych predyspozycjach umysłowych, kształconych przez dobre uczelnie. Trzeba więc zapewnić nauczycielom wyższe uposażenie, aby skłaniało dobrze przygotowanych absolwentów do podjęcia pracy nauczycielskiej. Bez polepszenia warunków płacowych do zawodu dalej będą kandydować osoby słabiej przygotowane, o umiarkowanych ambicjach.

c) Organizacja szkolnictwa zachowuje wiele pozostałości z dawnych lat, a jego struktury zbyt wolno dostosowują się do nowych wymogów nauczania. Tworzono i likwidowano gimnazja, rozbudowywano i ograniczano szkolnictwo zawodowe, wprowadzono rozpoczynanie nauki w szkole podstawowej od szóstego roku życia i zniesiono obowiązek szkolny dla sześciolatków. Dużą rolę w szkolnictwie odgrywają urzędnicy i kuratoria. Środki z ministerstwa wypływają na cele pozaszkolne. Niekorzystnie na poziom nauczania wpłynął żywiołowy rozwój prywatnych uczelni w latach III RP. Ich absolwenci w znacznej części nie dorównują poziomem tym, którzy ukończyli uczelnie tradycyjne.

Nowoczesna polska szkoła wymaga wypracowania długofalowej strategii działań państwa w sprawach edukacji młodego pokolenia. Winna zmierzać do przygotowania nowoczesnych programów nauczania realizowanych przez coraz lepiej przygotowanych nauczycieli, pozostających w dobrej współpracy z rodzicami. Zasadnicze cele nauczania młodzieży powinny pomijać ambicje przywódców partyjnych. W kierowaniu oświatą nie powinny być powielane poczynania ministrów Romana Giertycha czy Przemysława Czarnka. W nauczaniu trzeba ograniczać działania preferujące u wychowanków posłuszeństwo i dyscyplinę, a ułatwiać przygotowywanie młodzieży do odpowiedzialności w kierowaniu własnym życiem i podejmowaniu ról społecznych. Polska szkoła powinna szerzej wykorzystywać nowe osiągnięcia edukacyjne innych państw europejskich, zwłaszcza krajów skandynawskich, przy zachowaniu najlepszych wartości narodowych.

Kazimierz Łastawski jest profesorem zwyczajnym doktorem habilitowanym, politologiem – europeistą

eprasa.pl 9efbbac1e5

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Takie buty

Uwielbiam sztukę Andy'ego Goldsworthy'ego – facet chodzi po lesie i „interweniuje": układa rzeźby z liści, na plaży z kamieni, na łąkach z patyków; wszystko to nietrwałe, ulotne, najczęściej pozostające tylko na fotografiach. Z buddyjską cierpliwością konstruuje misterne kształty z dziesiątek drobnych elementów, by potem przyglądać się, jak niszczeją. To artysta światowej i stabilnej sławy, który każdym swoim dziełem kontempluje niestabilność, kruchość i przemijanie – taki to paradoks. Łażę po lasach pasjami, niestety w polskim krajobrazie Goldsworthy nie działa, ale ilekroć zdarza mi się znaleźć artefakty porzucone w kniei, pozbawione swojej funkcji i stopniowo pochłaniane przez naturę, myślę o brytyjskim „landartyście". Słupy, na których wyrosły drzewa, porzucone imbryki, w których zakwitło życie, a nade wszystko omszałe buty – te widuję regularnie i nie przestają mnie zdumiewać. Niegdyś przywoływały skojarzenia zgoła niewinne: a to jakaś para, zapomniawszy się w chruśniaku, wracała do wioski boso, a to dzieciak z wózka majtnął nóżką i matka w domu dopiero zauważyła brak sandałka, a to myśliwemu zacięła się flinta i, uciekając przed odyńcem, zgubił bambosz. Dziś, kiedy z woli narodu i jego demokratycznie wybranych władz w lasach przygranicznych masowo umierają ludzie pozbawieni pomocy, zagubione w gęstwinie buty utraciły niewinność – niezmiennie przywołują skojarzenia żałobne i rozpaczliwe.

W dawnych czasach byłbym napisał tom opowiadań o leśnych butach, teraz tego nie zrobię z kilku przyczyn, nade wszystko zaś z jednej – nie jestem już pisarzem. „Jaką książkę pan teraz pisze?" – czuję, że mój mandat literata wygasł ostatecznie mniej więcej wtedy, kiedy przestano mi zadawać to pytanie. Zdarzało mi się odpowiadać wymijająco: „Takie tam drobiazgi, może się coś z nich ulepi", potem już wprost: „Nie piszę żadnej książki, bo mnie na to nie stać". Tak zwana kariera literacka w moim przypadku trwała mniej więcej tyle, ile aktywność zawodowa piłkarza – z grubsza dwie dekady, przy czym średniej klasy futboliści w tym czasie zarabiają na resztę życia, w przypadku przeciętnego literata (mam nadzieję, że nie zawyżam swoich kompetencji) o żadnych oszczędnościach mowy być nie może. Jeśli naprawdę bardzo łaskawy wydawca optymistycznie oferuje pięciocyfrową kwotę zaliczki za powieść, którą pisze się średnio dwa lata, łatwo obliczyć, że bez jakiegoś bazowego zatrudnienia autor z pisania nie wyżyje. Nawet jeśli jest uczciwy, pracowity, samotny i oszczędny.

Napisałem w życiu z rozpędu parę książek, bo jedna z nich świetnie się sprzedała i pozwoliła mi dość beztrosko przeżyć połowę życia we śnie o nieśmiertelnej literackiej sławie – to i tak hojność losu, której nie sposób przecenić. O kwestii talentu nie ma co bajdurzyć, wszystko jest subiektywnym złudzeniem, liczy się aura dzieła i twórcy oraz kontekst czasu, w który ma się szczęście trafić. W dobie *cancel culture* oraz *sensitive readers* nawet żelazny kanon literacki rdzewieje – wszak nie ma autora, na którego nie dałoby się znaleźć jakiegoś kompromatu. Przepisywanie dzieł, aby zapewnić ich inkluzywność, na razie tyczy się wyłącznie tych fragmentów, które mogą razić współczesnego czytelnika, lecz przecież ten obszar jest określany arbitralnie. Za chwilę razić może nie tylko rasistowski bądź „fatshamingowy" opis, ale także archaiczny język, który trzeba będzie uwspółcześnić, hermetyczność przekazu, który trzeba będzie uprościć, nadmierna erudycyjność, która może obrażać czytelników gorzej wykształconych, etc.

Sztuka przeżywa teraz erę nadzorców komfortu – aktorów, czytelników, widzów.

Nie napisałbym już żadnej książki choćby z tego powodu, że nigdy nie pisałem ich z myślą o bezbolesności lektury – im więcej było obrażonych, tym lepiej jako autor się czułem. Znam filmowców, którzy rozmyślają nad porzuceniem zawodu, od kiedy każdą scenę miłosną muszą konsultować z „koordynatorami intymności", i nie mogę powiedzieć, żebym ich nie rozumiał. Sztuka przeżywa teraz erę nadzorców komfortu – aktorów, czytelników, widzów. Lepiej zamilknąć i przeczekać, pisząc pod pseudonimem seryjne produkty transportowane do strefy komfortu, w której odbiorcy mogą je bezpiecznie przeżuwać. Tak czynię, aby mieć czas na chodzenie po lasach i fotografowanie omszałego obuwia, o którym może jakiś pisarz kiedyś stworzy bezbolesny, ostrożny, delikatny, czuły, nikomu niesprawiający przykrości, dający do myślenia w sam raz tyle, by niczyjej umysłowości nie nadwyrężyć, cykl nowel. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Cham i Pan wciąż żyją w polskiej duszy?

Szlachcic był silny, władczy i mądry, miał przypominać orła lub sokoła. A chłop był ciemny i pośledni, zjadający resztki z pańskiego stołu jak wrony i szpaki

Andrzej Chwalba, Wojciech Harpula

(...) Pańsko-chłopski świat miał wyraźnie wyznaczone granice. Chłopi z dóbr kościelnych również nie byli dopuszczani przed oblicze kanoników, przeorów, opatów czy biskupów. Nie inaczej granice społeczne przebiegały w przypadku wsi akademickich i miejskich. Nawet przyjazny włościanom Piotr Skarga, jezuita i syn młynarza, powiadał, że „musi być nierówność w Rzeczpospolitej. Bo przecież hardość jest wielka i głupstwo, gdy się wszyscy równymi sobie czynią".

Bieda, ciemnota, ciężka fizyczna praca, doświadczanie przemocy odbijały się na fizjonomii chłopów, co tylko zdawało się potwierdzać ich odmienność w stosunku do panów. Panowie zwracali uwagę na chłopski „chód powolny", „wygląd ponury", „niski wzrost", „spojrzenie spod łba". „Mizerne i plugawe twarze, tępe fizjonomie" – opisywał włościan przybysz ze Śląska w XVIII w. Panów i chamów miały też różnicować zapachy. Pan pachniał świeżością. Cham cuchnął chłopem, bo był brudny, pracował w wielokrotnie przepoconej koszuli, rzadko korzystał z bieżącej wody, „śmierdział bydlętami", ponieważ wśród nich przebywał. Sarmaci powiadali, że nawet gdyby chłopa przebrać po pańsku, to i tak z daleka byłoby widać maskaradę. Zdradziłoby go chłopskie zachowanie, wyraz twarzy, ułożenie rąk, „chłopski smród", ciemniejszy od pańskiej kolor twarzy, smaganej wichrem i prażonej słońcem.

Aleksander Gierymski, „Trumna chłopska".

Dla panów włościanie byli „dzikim ludem", nieróżniącym się od zwierząt i zaspokajającym potrzeby w zwierzęcy sposób. To istota człekokształtna, nie człowiek. „Chłop w Polszcze ma tylko przymioty duszy i ciała, ale osoba jego nie jest człowiekiem, ale rzeczą własną szlachcica" – pisał Franciszek Salezy Jezierski, jeden z myślicieli epoki stanisławowskiej, który akurat sprzeciwiał się powszechnej opinii, że włościanin „niczym się od bydląt nie różni". To przekonanie bazowało na pojawiających się teoriach „naukowych", których autorzy dowodzili, że skoro chłopi bardziej przypominają zwierzęta niż ludzi, to muszą mieć inne niż panowie mózg, serce, układ pokarmowy i kości czaszki, przypominające pług lub sochę. Byli i tacy, którzy twierdzili, że status społeczny pana to następstwo obecności w jego organizmie złota, a w chłopskim ciele można odnaleźć jedynie żelazo i co najwyżej miedź.

Różnice między panami a chłopami miały być także następstwem długości trwania ciąży chłopek i szlachcianek. W chłopskich wyobrażeniach ciąża szlachcianek mogła trwać nawet do dwunastu miesięcy. Musiała być odpowiednio dłuższa niż ciąża chamek, ponieważ panie z dworu rodziły dzieci wyposażone w inne przymioty ciała i ducha. Panowie temu nie zaprzeczali, aczkolwiek heraldyk i historyk Bartosz Paprocki pisał pod koniec XVI w., że „to być nie może, bo tak wiele było u chama

eprasa.pl 9efbbac1e5

Juliusz Kossak, „Polowanie *par force* w Łańcucie".

dobrych i zacnych potomków, jako w Semowym i Jafetowym pokoleniu". Podobne głosy należały jednak do rzadkości.

Głębokie społeczne i kulturowe zróżnicowanie panów i chłopów nie uszło uwadze odwiedzających nasz kraj cudzoziemców. Jeden spośród nich, XVIII-wieczny francuski jezuita, pisarz i guwerner Hubert Vautrin pisał: „Kasty mieszkańców Polski wywołują wrażenie, jakby należały do różnych gatunków". Według szlachty rzeczywiście tak było. Poszukując źródeł fundamentalnej odmienności, panowie sięgali nawet do… ornitologii. Szlachcic był silny, władczy oraz mądry, ponieważ miał przypominać orła lub sokoła. Natomiast chłop był ciemny i pośledni, zjadający resztki z pańskiego stołu, tak jak wrony i szpaki. (…)

Ale pojawiły się również inne oceny. W grudniowym numerze ludowego pisma „Zaranie" z 1912 r. ukazał się tekst zatytułowany „Chłop i Cham". Jego autor, ludowy publicysta Tomasz Nocznicki, alarmował, że panowie traktują ludność włościańską w sposób urągający poczuciu ludzkiej godności. Twierdził, że obecnie to panowie jako „krzywdziciele ludu" są chamami, a chłopi jafetami. Podobnie pisali literaci oraz publicyści znani z liberalnych poglądów. Niektórzy uważali, że bycie chamem to w istocie nic złego. Przeciwnie – to znak człowieka ciężkiej pracy, uczciwego, kochającego ziemię i rodzinę. Inni zwracali uwagę, że „cham" dobrze gospodaruje, ma edukacyjne ambicje, potrafi zmieniać otoczenie na korzyść. „A pańską niwę kłuje w oczy, że się chamy uczą i na ludzi wychodzą, podczas gdy szlachta bankrutuje materialnie i moralnie", pisał w 1884 r. Adolf Dygasiński. W symboliczny sposób tę epokę sporów o pana i chama zamknął Stanisław Wyspiański w krótkich słowach „Wesela": „Miałeś, chamie, złoty róg".

Chociaż świat się zmieniał, to nadal funkcjonowały tradycyjne zachowania chłopskie. Wielowiekowy trening mentalny poparty przemocą spowodował, że chłopi zasadniczo godzili się z trwałym podziałem społecznym i kulturowym. Socjolog Józef Chałasiński, syn chłopski i profesor oraz rektor Uniwersytetu Łódzkiego, przytacza opinię włościan z końca XIX w.: „Pan musi być, będziesz pokorny, zarobisz i łaski zaznasz. Podobnie i w wojsku. Co byłoby bez pana, cham by ci rozkazywał, a sameś chamem i nic mądrego by nie było. Bóg już tak stworzył i tak musi być. To przedwieczny porządek stały. Nie wolno go psuć. Naród za pańszczyzny był lepszy, posłuszniejszy". Bohater „Placówki" Prusa, chłop Ślimak, wierzy, że „chłopska rzecz prosić, a pańska bawić się i rozkazywać innym". Podobnie jak we wcześniejszych stuleciach, tak i pod koniec XIX w. chłopom trudno było sobie wyobrazić świat bez pana, bez ojca-szlachcica. „Chłop chłopem, a pan panem, tak teraz, jak i na wieki amen", to credo chłopskiej filozofii dziejów.

Pod koniec XIX w. synowie i córki chłopskie masowo ruszyli do miast w poszukiwaniu lepszej pracy i płacy, ale niejednokrotnie czekały ich rozczarowania, ponieważ miejski świat nie witał ich przyjaźnie: okazywał im pogardę, pomiatał nimi i brutalnie wskazywał na niskie miejsce w hierarchii społecznej. Chłop przegrywał w sądzie, a w urzędzie piętrzono przed nim problemy, które nie zawsze był w stanie zrozumieć. Miejscy sklepikarze i rzemieślnicy mieli przybyszów ze wsi za gorszą część ludzkości. Nawet rolnicy zamieszkujący miasteczka agrarne trzymali głowę wysoko i uważali się za lepszych od mieszkańców wiosek.

W tym samym czasie ruch narodowy zaczął szerzyć w polskim społeczeństwie ideologię narodowej solidarności. Jej praktycznym następstwem miała być wspólna praca na rzecz narodowego dobra wszystkich ▸

Jak się zaszczepić przeciw COVID-19?

Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że rozpoczęło się szczepienie przeciw COVID-19 kolejną dawką przypominającą. Jest to trzecia dawka przypominająca, czyli piąte ukłucie. Mogą z niego skorzystać osoby, które drugą dawkę przypominającą otrzymały w okresie od kwietnia do września 2022 r. i są w wieku 60+ lub mają upośledzoną odporność albo pracują w placówkach medycznych.

Akcja szczepień rozpoczęła się 17 kwietnia, ale pod przychodniami nie widać kolejek. Zapomniano poinformować, jak można zapisać się na szczepienie. A jest to bardzo proste. Wystarczy zadzwonić pod numer 989, gdzie zostaniemy poproszeni o podanie numeru PESEL, a następnie kodu pocztowego, co pozwoli konsultantowi wskazać najbliższą placówkę wykonującą szczepienia. Zostaje jeszcze ustalenie daty i godziny (terminy nie są odległe). A potem spacer do przychodni i uzyskanie kolejnej szansy na uniknięcie zakażenia.

Szczepienia są wykonywane dwuwalentną szczepionką przeciw COVID-19, zaktualizowaną dla wybranych podwariantów Omikron, produkcji firm Moderna i Pfizer.

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2)

eprasa.pl 9efbbac1e5

Polaków: panów, chłopów, plebanów, kupców, rzemieślników, przemysłowców, robotników, inteligentów. Jednak – poza zaborem pruskim – niewielu panów chciało zasiąść z chłopami na wspólnej ławie. Na kresach bliższych i dalszych, gdzie podziały społeczne były wyjątkowo silne, perspektywa, że ziemianin zasiądzie do stołu razem ze śmierdzącym machorką, gorzałką i brudem, ciemnym i nieokrzesanym chłopem, była trudna do wyobrażenia. Pan chłopem się brzydził. Z kimś, kogo się brzydzimy, nie pijemy bruderszaftu i nie wstępujemy z nim do jednej organizacji. Dlatego tylko nieliczni panowie zasilili narodową demokrację, która zachęcała do solidarności wszystkich Polaków, niezależnie od wykształcenia i pochodzenia. Panowie woleli działać w stronnictwach konserwatywnych, gdzie byli sami ze sobą. Również niewielu inteligentów zasiliło ruch ludowy.

Mimo wszystko zmiany na mapie aktywności chłopów, choć wolno, to jednak postępowały. Pod koniec XIX w. panowie coraz częściej narzekali, że „chamstwo się pleni", „chamstwo się rozpycha" – to oznaczało początek emancypacji ludu i wytyczania nowych dróg awansu i kariery. Chłopi zaczęli się wspinać po drabinie społecznej, dołączając do panów. Dla obrońców starego układu społecznego było to groźne, dlatego obawiali się równości i nienawidzili demokracji, która rzeczywiście mogła zakończyć ich dominację polityczną, kulturową i społeczną. Z przerażeniem przyjęli współrządy ludowców chłopów w niepodległej Polsce oraz kariery chamów jako polityków, premierów i ministrów. Niech za podsumowanie posłużą słowa hrabiny Łosiowej o Witosie: „Ja nie lubię tego chama, ale to, co pisze – to święta prawda".

Również w tworzącym się od jesieni 1918 r. Wojsku Polskim pozostały relikty starych uprzedzeń, z wyjątkiem formacji wywodzących się z Legionów Polskich. Przynależność żołnierzy, podoficerów i oficerów do odrębnych światów była odczuwalna na każdym kroku. Podoficerowie, choć często pochodzenia chłopskiego, zwracali się do rekrutów wiejskich przez „wy", zresztą zgodnie z wojskowymi regulaminami, a słowa „cham" i „chamie" były na porządku dziennym. Komentarze w rodzaju „chama należy lać po pysku" zaliczały się do najdelikatniejszych, aczkolwiek pod słowem „cham" nie krył się tylko włościanin, lecz w ogóle człowiek nieokrzesany, niepiśmienny, prostak. Oficerowie i zawodowi podoficerowie dziedziczyli tradycyjne sposoby komunikowania się z żołnierzami, wyniesione jeszcze ze szkół zaborczych. W prasie krakowskiej sprzed wybuchu Wielkiej Wojny mogliśmy przeczytać taką oto opinię: „Oficerowie nie patrzyli chamom w twarz, tylko gdzieś w górę […] na chłopstwo oczu nie spuszczali".

Do dzisiaj tu i ówdzie możemy spotkać się z opiniami niejednego spośród mieszkańców wsi, że niewiele znaczą, decydują za nich inni i trudno im upominać się o swoje interesy. Po kolejnych wyborach liczni publicyści powtarzają bezrefleksyjnie diagnozę wyniku: „Głupi, biedni, z małych ośrodków zagłosowali na X, wykształceni, bogaci, z większych ośrodków zagłosowali na Y", a internetowa (choć nie tylko internetowa) opinia publiczna jest pełna epitetów pod adresem „motłochu", „bydła", „prymitywów" i „plebsu". Cham i Pan wciąż żyją w polskiej duszy?

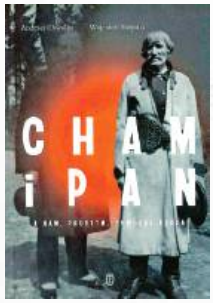

Fragmenty książki Andrzeja Chwalby i Wojciecha Harpuli *Cham i pan. A nam, prostym, zewsząd nędza?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

KSIĄŻKI

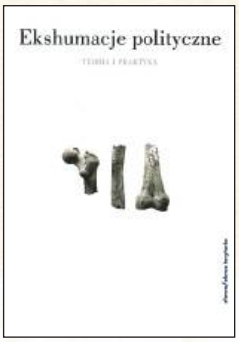

Ekshumacje polityczne
Teoria i praktyka
Pod redakcją Alexandry Staniewskiej i Ewy Domańskiej
słowo/obraz terytoria, Muzeum Historyczne w Lublinie, Gdańsk-Lubilin 2023

Ekshumacje stanowią przedmiot publicznych debat we wszystkich rejonach świata i opisywane są przez naukowców reprezentujących różne dyscypliny. Perspektywa społeczna i wydźwięk polityczny ekshumacji stały się jednym z głównych tematów dyskusji prowadzonych we współczesnej humanistyce i naukach społecznych, zwłaszcza na fali zainteresowań pamięcią, polityką historyczną i kryminalistyką. Nadal jednak odczuwa się niedostatek istniejących definicji i brak usystematyzowania wiedzy na ten temat, zwłaszcza w perspektywie globalnej. Na tę potrzebę odpowiada antologia, która zawiera artykuły zarówno znanych i uznanych polskich i zagranicznych naukowców, jak i badaczy młodszego pokolenia..

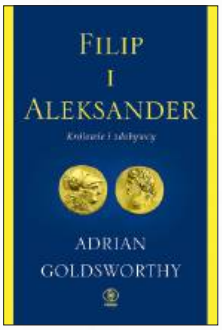

Adrian Goldsworthy
Filip i Aleksander
Królowie i zdobywcy
Przeł. Janusz Szczepański
Rebis, Poznań 2023

Dwaj królowie Macedonii, ojciec i syn, przeobrazili słabe państewko na północy Grecji w imperium na skalę światową i tym samym zmienili bieg historii.

W swoim krótkim życiu Aleksander Wielki rozgromił potęgę Persji, przekroczył Hindukusz i zapanował nad ziemiami należącymi dzisiaj do Pakistanu. Stworzył w ten sposób gigantyczne królestwo rozciągające się od Adriatyku po subkontynent indyjski. Ogromny sukces zawdzięczał jednak nie tylko geniuszowi i niespożytej energii. Jego fundamentem były dokonania ojca. Historia namalowała Filipa II jako starca, którego śmierć z rąk zamachowca umożliwiła Aleksandrowi przejęcie władzy. Był on jednak postacią o wiele bardziej znaczącą. Zjednoczył swój kraj i podbił całą Grecję. Jego syn odziedziczył to wszystko w najdogodniejszym momencie i wieku, by okryć się jeszcze większą chwałą.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Porządki sieci

Na dużych miejskich osiedlach, w parkach i nad rzeką, ale też wokół domów na wsiach, przy ławkach, pod sklepami, przy boisku i pod drzewami – można wiosną badać pewne niezidentyfikowane porządki. Większość z nich łatwo zlekceważyć, niektóre wręcz zniszczyć, rozdeptując je w drodze do pracy. Bo nawet jeśli je zobaczymy – raczej nie skupimy na nich uwagi. Nie są bowiem cenne, oczywiście w tym potocznym sensie – nie można ich zmonetyzować ani nawet na nic wymienić. I mimo że są ułożone według jakiegoś planu, np. w określonej kolejności, a także mają kompozycję i styl, nikt nie traktuje ich w kategoriach dzieła sztuki.

Gdybyśmy chcieli jeszcze te porządki uporządkować, zbudować typologię według ich architektury, funkcji mimetycznych, częstotliwości objawień lub przeznaczenia – moglibyśmy je podzielić na porządki fraktale, porządki sieci, porządki układanki, porządki strzałki, porządki okręgi, porządki karmniki, porządki skrytki, porządki krypty, porządki domki, porządki gry. Jednak próbując zamknąć te przypadki w stosownych klasyfikacjach, a nawet poświęcając życie na produkowanie kolejnych zbiorów i podzbiorów, szybko zdalibyśmy sobie sprawę, że zawsze prędzej czy później znajdziemy porządek nowy, wyłamujący się z reguł: anomalię i eksces.

Na przykład te kolorowe piramidy, które znalazłam na początku kwietnia, narysowane pastelową kredą pod spożywczym. Ich natura stoi w sprzeczności z „układankami" i „karmnikami". Nie są „strzałkami" ani „kryptami". Być może zakładają właśnie jakiś własny podzbiór albo zostaną ewenementem na skalę porządków – ani porządkiem rosnącym, ani malejącym. Ot, czymś jednorazowym, co zawsze pozostanie na zewnątrz systemu.

Do czego służyły rysunkowe piramidy? Do niczego. Ważna była przyjemność obserwowania, w jaki sposób na asfalcie wyłania się kształt. Ważne były wysiłek, nacisk pastelową kredą i przesuwanie się w kucki, prowadzenie za sobą linii, próba osiągnięcia precyzji. A na końcu duma z tego, że oto można przysunąć do siebie świat, utworzyć na chwilę swój porządek – i to w miejscu wspólnym, publicznym – mając osiem czy dziesięć lat. Może to pierwszy moment orientujący nas na zmianę: to, co na zewnątrz, co ustanowione, także możemy zmieniać.

W okolicach zabudowanych najczęściej mamy do czynienia z porządkami karmnikami: w środku takiego porządku znajduje się płaski kamień udający patelnię lub pudełko po serku w funkcji garnka. Wewnątrz zwykle możemy znaleźć porwany na kawałki perz, mniejsze kamyki, piasek wymieszany z płatkami kwiatów, liście. Dookoła „stołu", „ogniska" lub „pieca" – rutynowego karmiciela – możemy znaleźć talerze liście, talerze mniejsze kamyki, talerze papierki. Przedmioty naśladujące są oczywiście wymienne w kolejnych materializacjach porządków karmników.

Porządki krypty to ad hoc zmontowane groby – dla martwych biedronek, motyli, chrabąszczy, czasem nawet mniejszych ptaków, takich jak wróble, czy małych domowych zwierzątek, jak chomiki czy myszy. Tutaj w centrum też znajduje się pokarm, ale nie dla aktorów ludzi, raczej dla wszystkich podziemnych rozkładaczy, ewentualnie takich nekrofagów jak muchy plujki. Na razie jednak widać czułość i staranność, z jaką dzieci żegnają się, przynosząc na kopczyk ziemi kwiaty i liście, układając drewienka i koraliki. Ale najważniejsze jest – od razu po żarliwym oddaniu – porzucenie/pozostawienie porządku krypty, żeby pójść dalej – na lody i rower. Nie ma w tym niczego złego, po prostu żyje się dalej.

Jedną z mniej znanych form okrucieństwa jest opisywanie cudzej aktywności według własnych kategorii.

Trzecim często spotykanym porządkiem jest porządek sieć – bardziej przypomina gwiazdozbiór nieba południowego niż układ naczyń włosowatych między tętnicami. Pocięte fragmenty bawełny, czerwone nici – między gałęziami drzew albo wplecione w żywopłot, rozciągnięte między parkowym kubłem na śmieci a ławką. Ich znaczenie jest ruchome i można je negocjować – dla dzieci były wystarczającą ingerencją w krajobraz, ekspresją, na jaką każdego stać, nie lepszą ani nie gorszą od innej. Niewymagającą specjalnego talentu ani wykształcenia. Odruchem karnawałowym, ucieszką.

Jedną z mniej znanych form okrucieństwa jest opisywanie cudzej aktywności według własnych kategorii. Dlatego warto widzieć w tych układach porządki – to z nich czytać przepowiednię wiosny, kiedy w alejach liście kurczą się w powijakach i wyglądają, jakby po prostu się męczyły. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9efbbac1e5

Polski balet międzynarodowy

Obecność tancerzy, którzy wnoszą inną kulturę, w tym kulturę pracy, jest ważna i korzystna

KRZYSZTOF PASTOR
– dyrektor Polskiego Baletu Narodowego w Teatrze Wielkim

Rozmawia Joanna Brych

Panie dyrektorze, co pan będzie robił 23 lipca?

– A, to nawet wiem. Przede wszystkim jest to dzień urodzin mojego nieżyjącego już niestety Taty. Ale tego dnia, co pewnie ma pani zapisane w notatkach, w starożytnych rzymskich termach Karakalli – podczas festiwalu organizowanego przez Teatro dell'Opera di Roma – wystawione zostanie moje „Bolero" do muzyki Maurice'a Ravela. Mam nadzieję, że będzie pięknie. Moja choreografia zostanie zatańczona w finale Gran Gala di Danza.

Kiedy rozmawialiśmy w 2016 r., przed polską premierą, powiedział pan: „»Bolero« nie było moim pomysłem. Wybrał je dyrektor Holenderskiego Baletu Narodowego, Ted Brandsen, a ja przez jakiś czas wzbraniałem się przed jego realizacją. Obawiałem się popularności muzyki; lubię brać na warsztat utwory nie tak znane i stawiające przede mną wyzwania, które zmuszają mnie do poszukiwań". Co dla pana oznacza komercyjny temat? Czy sztuka wysoka nie może być masowa i popularna?

– Trochę mnie pani teraz złapała. Bo rzeczywiście dość często mówię takie rzeczy, a potem pewnie sobie zaprzeczam. To jest takie twórcze rozerwanie. W przypadku „Bolera" jeszcze trudniejsze do wytłumaczenia. Dlatego, że zmagałem się z jednej strony z trudnym materiałem muzycznym, a z drugiej z popularnością utworu, utrwalonymi wyobrażeniami publiczności oraz ikoniczną wersją Maurice'a Béjarta, od której chciałem odejść. W 2018 r. zrobiłem „Draculę", powiedziałbym, że również bardzo komercyjny tytuł.

No właśnie, co raz jakby tłumaczył się pan z popularnych tematów.

– Ale też mówię, skąd są moje korzenie jako choreografa. Warsztat zdobywałem w Holandii. Kiedy nie tak dawno Holenderski Balet Narodowy wystawił „Don Kichota" w choreografii Aleksieja Ratmańskiego, to ten tytuł był uważany za dość komercyjny. Takie jest tam podejście.

O co chodzi? O trudność odczytania? Wtedy utwór jest wyrafinowany?

– Nie uważam, żeby to zawsze było dobre podejście; czasem komentowano tak moje prace: „O, Pastor znowu wybrał trudną muzykę, nie uczynił swojego zadania łatwym". Gdy zaproponowano mi

eprasa.pl 9efbbac1e5

wystawienie „Draculi", także nie byłem entuzjastą tego pomysłu. A jednak balet odniósł sukces i cieszę się z niego. Tak jak z sukcesu „Bolera". Oba spektakle są już w repertuarach pięciu zespołów.

I cały czas należą do sztuki wysokiej, jeżeli mamy operować takimi pojęciami. A co pan pomyślał po przeczytaniu słynnej wypowiedzi Olgi Tokarczuk o „literaturze nie dla idiotów"?

– Wydaje mi się, że przede wszystkim Olga Tokarczuk ma prawo tak uważać. Ale myślę też, że jej wypowiedź została źle zinterpretowana. Ona mówiła o pewnej wrażliwości, generalnej kulturze. Być może trochę teraz idealizuję, ale zaryzykuję i powiem, że język tańca jest łatwiejszy od literackiego. Wszyscy operujemy językiem ciała, jest więc możliwe, że widz niemający pojęcia o balecie przyjdzie na balet współczesny, taki bez wyraźnej fabuły, i przeżyje katharsis.

Drogowskazem może być krótki opis w programie, ale też wierzę, że widz, który go nie przeczytał, może się zachwycić muzyką i formą. Mówi się, że balet jest sztuką hermetyczną, elitarną. Ja z tym poglądem się nie zgadzam. Choć myślę, że odbiór jest łatwiejszy i głębszy, kiedy przeszło się pewien etap.

W Rzymie „Bolero" zostanie poddane kolejnej ocenie. Jaki to jest rynek? Incydent w Hanowerze, szokujący atak na dziennikarkę „Frankfurter Allgemeine Zeitung", w drastyczny sposób ujawnił skomplikowane relacje między choreografami a recenzentami ich twórczości.

– Myślę, że włoscy krytycy są dosyć łaskawi. Nie mówię o własnych doświadczeniach. We Włoszech wystawiłem jedynie przed laty – z zespołem baletowym Teatro Massimo w Palermo – „Altri canti d'Amor" („Inne pieśni o miłości") do muzyki Claudia Monteverdiego i niedawno duet z „Tristana" w La Scali. Ale czytam recenzje i mogę powiedzieć, że raczej szukają pozytywów, są przyjaźnie nastawieni i skoncentrowani na wykonaniu, na ocenie tancerzy.

Marco Goecke popełnił w Hanowerze fatalny błąd. Zrobił coś, co nigdy nie powinno było się wydarzyć. Uważam, że na recenzje, które nie są przychylne, nie powinno się reagować. One są wpisane w nasz zawód. Ja zrobiłem to tylko raz. Chodziło mi nawet nie o treść recenzji, lecz o tytuł. Ta sama dziennikarka, którą teraz zaatakował Marco Goecke, gdy oceniała mój balet „Don Giovanni", zatytułowała recenzję: „Pastor skradł pomysł z opery »Rosa, A Horse Drama«". W tekście wymieniła prawie cały team artystyczny, pominęła nazwisko scenografa. A tak się złożyło, że scenograf opery Steven Scott był również twórcą scenografii do mojego baletu. Tak więc zbieżność idei była naturalna. Napisałem wtedy list do redaktora. Złe recenzje mogę wziąć na klatę. W tańcu potknięcia się zdarzają; są ludzkie, chociaż przyznaję, że irytujące. Sam jestem surowym krytykiem własnych baletów. Drażni mnie, jeśli coś jest nieczytelne albo „zakłamane", jeżeli nie jest wykonane na poziomie, który wcześniej udało się osiągnąć. Ale tytuł tej recenzji był nierzetelny i niesprawiedliwy.

Jedną z mocniejszych pozycji repertuarowych Polskiego Baletu Narodowego stała się „Giselle". Magia tytułu to jedno, ale nie byłoby sukcesu bez świetnej realizacji. Obsada była genialna: soliści Jaeeun Jung i Ryota Kitai w rolach Giselle i Alberta, a jako Mirta Daria Majewska, tancerka zespołu baletowego. Nie znalazłam jej biogramu. Ciekawi mnie, jaką ukończyła szkołę.

– Daria jest absolwentką łódzkiej szkoły baletowej. Angaż w PBN otrzymała tuż po dyplomie.

W roli Mirty została obsadzona, kiedy uległa kontuzji nasza solistka Palina Rusetskaya. Widziałem Darię podczas prób, wierzyłem, że sobie poradzi, i muszę powiedzieć, że z każdym przedstawieniem robi postępy.

Odnoszę wrażenie, że w ostatnich tygodniach na nowo rozgorzała dyskusja o umiędzynarodowieniu naszych zespołów baletowych. Duża część zarzutów nadal kierowana jest w pana stronę. Jaki jest klucz doboru tancerzy do PBN?

– Przede wszystkim każdego roku angażuję polskich tancerzy, choć rzeczywiście, od kiedy stanąłem na czele PBN, tańczy w nim więcej tancerzy zagranicznych. W tym roku nie ogłaszamy audycji, nie mamy wolnych etatów, ale będę się starał o miejsca dla naszych absolwentów. Polacy to mniej więcej połowa składu PBN. Uważam, że powinni pracować w nim najlepsi polscy tancerze, i jeżeli tacy się zgłaszają na audycje, dostają zatrudnienie. Tymczasem w jednym z artykułów pojawiła się informacja, że w zespole pracuje jedynie 20% polskich tancerzy. Publiczność również myśli, że są w mniejszości. A to jakieś legendy, nawet jeśli w pozostałych zespołach tańczy więcej cudzoziemców niż absolwentów polskich szkół baletowych.

Jednak nie da się ukryć, że gdy w ostatnich latach w repertuarze PBN pojawiały się wielkie tytuły, w premierowych obsadach bardziej rzucały się w oczy cudzoziemki. Skład zespołu według rang też o czymś świadczy. Choć jednocześnie zastanawiam się, czy rangi nie stają się umowne.

– Wspomniała pani o Darii. Tańczyła Mirtę, trudną solową rolę wymagającą dużych umiejętności i doświadczenia. Nadal jest tancerką corps de ballet, bo musi przejść przez szczeble kariery, pokonać pewien etap. I moim zdaniem tak powinno być. Każdy trening jest ważny, małe etiudy pozwolą kiedyś zbudować wielką rolę. Mamy w swoim gronie Polaków pierwszych tancerzy,

Krzysztof Pastor – dyrektor PBN, w latach 2011-2020 dyrektor artystyczny baletu Litewskiego Narodowego Teatru Opery i Baletu. Był solistą Polskiego Teatru Tańca Conrada Drzewieckiego, Teatru Wielkiego w Łodzi i Baletu Lyońskiego. W 1985 r. związał się z Holenderskim Baletem Narodowym, rozpoczynając tam także pracę choreograficzną. W latach 1997-1999 był choreografem Washington Ballet, a potem kontynuował swoją twórczość w Amsterdamie, gdzie w latach 2003-2017 zajmował pozycję choreografa rezydenta Holenderskiego Baletu Narodowego.

eprasa.pl 9efbbac1e5

pierwszych solistów i pozostałych członków zespołu. Ale z samych Polaków w obecnej sytuacji nie stworzyłbym tak dużego zespołu. Nasze szkoły niestety nie kształcą wystarczającej liczby dobrych absolwentów. To także jest przyczyną braku polskich gwiazd baletu, trwa przecież dyskusja o poziomie szkół. Jeżeli w premierach bardziej widoczne są nazwiska zagraniczne, to decydują o tym choreografowie, tacy jak John Neumeier. Ja im nie mogę narzucać obsad, sam też mam swobodę wyboru. A wybór pada zawsze na najlepszych, na artystów, którzy mają technikę, warsztat, są inspiracją.

Jest jeszcze inna sprawa. Uważam, że obecność tancerzy, którzy wnoszą inną kulturę, w tym kulturę pracy, jest ważna i korzystna. Wymieniona przez panią para z „Giselle", wchodząc na próbę mojego baletu, znała całą choreografię. Pracowaliśmy razem z panią Anitą Kuskowską nad ich stylem i wykonaniem, ale oni sami byli już świetnie przygotowani. Po prostu taką mają etykę pracy.

Jaki był pana stosunek do publikacji „Balet, który niszczy"? Jak pan wspomina swoją szkołę?

– Dla mnie szkoła baletowa była cudownym miejscem, kochałem ją i nie mam żadnych traumatycznych wspomnień. Miałem raz kryzys; ktoś mi powiedział, że jestem słaby, że źle tańczę. Ale ten człowiek miał rację. Kończyłem wtedy szkołę podstawową i musiałem podjąć decyzję, czy chcę kontynuować naukę zawodu, czy przenieść się do normalnej szkoły. I po prostu zacząłem mocniej pracować. Częścią tego zawodu, począwszy od szkoły, są ból, zmęczenie i kontuzje. Jednak wysiłek po przedstawieniu jest wspaniałym uczuciem, dającym satysfakcję. Zawód tancerza jest piękny, nie zawsze łatwy, czasami trzeba się zmierzyć z tym, że sny nie zostaną zrealizowane. Sposób ocen nie może oczywiście przekraczać dopuszczalnych granic, każde naruszenie godności uważam za straszną rzecz i prawdopodobnie zdarzają się przypadki, które powinny być piętnowane. Jednak przedstawianie wszystkich szkół jako siedliska traumatycznych przeżyć było nieprawdziwe i takie generalizowanie jest krzywdzące.

Krzysztof Pastor i Kristóf Szabó, próba „Draculi".

Czy w Polsce warto zostać zawodowym tancerzem? Zawód jest piękny, lecz niedoceniany. „W zawodzie striptizerki(era) także nie można długo pracować – a publiczność można w karierze mieć większą. Podatnik ma płacić? Jak pracodawca zatrudnia tancerkę baletową, to powinien odpowiednio większą składkę emerytalną płacić" – to jedna z wypowiedzi w kwestii wcześniejszych emerytur.

– Z jednym się nie zgodzę – że striptizerki mają większą publiczność. Ja tak nie uważam. Jeżeli chodzi o emerytury, podpisuję się pod postulatem, żeby wróciły. Dla generacji, która wchodziła w zawód z poczuciem, że je ma, to trudna rzecz. Natomiast na świecie jest coraz mniej miejsc, gdzie one obowiązują. W Holandii stworzono dobry system. Nawet jeśli ktoś chce przerwać karierę tancerza wcześniej niż w wieku 35 lat (już się wytańczył bądź jest kontuzjowany), przysługuje mu dwuletnie zabezpieczenie finansowe i wchodzi do systemu reorientacji zawodowej. Żaden tancerz nie jest pozostawiony sam sobie. My już ten system częściowo mamy. Tylko jest jeszcze niedoskonały, zwłaszcza w tej części, którą nazywam poduszką finansową. Ja przez dwa lata miałem w Holandii zapewnione wynagrodzenie, które z biegiem czasu się zmniejszało, i to była taka tykająca bomba, która mnie mobilizowała do działania. W moim przypadku polegało to na tym, że starałem się o zamówienia choreograficzne.

Stoi pan na czele Rady Programowej Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca. Niedawno zakończył się III Kongres Tańca, w którym wzięli udział artyści baletu i osoby zarządzające stałymi scenami oraz grupy artystów niezależnych. Czy te dwa środowiska mogą razem działać?

– To nie jest łatwe pytanie. Z zainteresowaniem wysłuchałem wszystkich paneli. Chciałbym, żeby moi tancerze wzięli udział w kongresie, dowiedzieli się, z jakimi problemami mierzą się inne środowiska. Różnią nas jednak ścieżki zawodowe, mamy inne podejście do reguł, inny styl pracy (lustra, mistrzowie, hierarchia). Jesteśmy za to krytykowani, również przez artystów, którzy jakiś czas temu odeszli z baletu. Nie rozumiem tego rodzaju zarzutów. W naszej pracy potrzebne jest wszystko – wolność (inspiracja) i dyscyplina. Mamy różne spektakle, takie, w których musi być czysta i nienaganna linia, i takie, w których trzeba improwizować.

Pana chyba szczególnie interesuje autonomia zespołów baletowych. To był jeden z postulatów zgłaszanych podczas kongresu.

– Bo tak działa większość zespołów baletowych na świecie. Są w strukturach teatrów, ale mają swoje budżety, którymi samodzielnie dysponują. Kiedy przyjechałem do Warszawy, postawiono mi zarzut, że

eprasa.pl 9efbbac1e5

Krzysztof Pastor, Palina Rusetskaya i Kristóf Szabó, próba „Do not go gentle".

Polski Balet Narodowy, próba „Bolera".

żądałem niezależności. A ja po prostu uważałem, że jak pyta się mnie, czy chcę objąć stanowisko, to moim obowiązkiem jest przedstawić program. I to zrobiłem. Autonomia była jego częścią. Nadal jednak jest wiele do zrobienia. Płace zostały zreformowane. Tancerze zarabiają powyżej średniej krajowej. Trzeba natomiast wspólnie się zastanowić, jak zwiększyć liczbę przedstawień. Musi też zostać zreformowany system finansowania. Dyrektor baletu powinien wiedzieć, jakim operuje budżetem. Wtedy mógłby spokojnie planować liczbę etatów i premier.

Czy nie wydaje się panu, że mentalność Polaków, traktujących balet w kategorii sztuki niepoważnej, opornie poddającej się zmianom, utrudnia wprowadzenie zmian systemowych?

– Takie rzeczy mówią ludzie, którzy nie wiedzą, co to jest sztuka baletowa. Kojarzy im się tylko ze „Śpiącą królewną" albo „Jeziorem łabędzim". Nie zdają sobie sprawy, że to bardzo dynamiczna sztuka, która nie jest superpopularna w Polsce, ale np. w Holandii jest jedną z najważniejszych, mimo tradycji malarskich. I że to sztuka niezależna, która nie musi służyć nawet muzyce. I tak, oczywiście, takie myślenie nie służy rozwojowi sztuki i reformie systemu. Ja takich ludzi nie rozumiem. Nie rozumiem też dyrektorów teatrów kontrolujących audycje baletowe.

Odwiedziłam stronę Holenderskiego Baletu Narodowego. Na afiszu jest „Jezioro łabędzie", a przecież do tego zespołu uciekła z Teatru Bolszoj primabalerina Olga Smirnowa. W marcu w roli Odetty/Odylii wystąpiła trzy razy. Czy bojkot baletów z muzyką Czajkowskiego i Prokofiewa ma sens?

– Wiem, że to kontrowersyjna sprawa. Ja sam wystawiłem „Jezioro łabędzie" w Australii, już po wybuchu wojny. Ale uważam, że w Polsce ten bojkot jest potrzebny. Gdyby działania wojenne zaczęły się w Polsce, czy wystawialibyśmy balety Czajkowskiego? Wątpię. Był to także apel ukraińskiego ministra kultury. Oczywiście możemy słuchać tych apeli bądź nie, ale oni walczą również za nas. Myślę, że płacz za „Dziadkiem do orzechów" nie jest uzasadniony. Ja naprawdę podziwiam rosyjską sztukę (muzykę, taniec, literaturę, teatr), uważam, że jest wspaniała. Co roku jeździliśmy do Petersburga na festiwal Dance Open. Ale Rosjanie wykorzystują swoją kulturę w celach propagandowych. Dlatego jestem zdecydowanie przeciwny wystawianiu w Polsce rosyjskich dzieł do czasu zakończenia wojny.

Najbliższa premiera PBN to...

– ...„Beethoven i szkoła holenderska". Nie wiem, jak bardzo sformalizowane jest to określenie. Ale na pewno istnieje coś takiego jak holenderski styl tańca. Był taki okres w historii holenderskiego baletu, że było w nim trzech Panów Van: Hans van Manen, Rudi van Dantzig, który był moim mentorem, i Toer van Schayk. W naszej premierze, która odbędzie się w maju, zobaczymy choreografie dwóch z nich. „Grosse Fuge" Hansa van Manena oraz „Siódmą symfonię" Toera van Schayka. Zaprosiłem także Teda Brandsena, dyrektora Holenderskiego Baletu Narodowego, który pracuje nad nowym baletem „Eroica Variations". Zobaczymy więc szkołę holenderską, która nie ma długiej tradycji baletowej, ale jest znana na całym świecie. Mam nadzieję, że tryptyk spodoba się polskiej publiczności. Ja też należę do tej szkoły.

Joanna Brych

FOT. ROBERT WOLAŃSKI, EWA KRASUCKA (3)

eprasa.pl 9efbbac1e5

KURTYNA W GÓRĘ

Chłopaki (już) płaczą

Może to nie jest spektakl przełomowy, bo męskie łzy zaczęły się pojawiać na scenie wcześniej, ale pierwszy raz tak ostentacyjnie, bo już w tytule autor i aktorzy deklarują, że płaczą, a więc zadają kłam samczemu tabu, twierdzeniu, jakoby płacz był rzeczą niemęską. Wpisuje się to w szerszą rozmowę, niemal debatę o męskości dzisiaj, a więc jest na czasie. Jednak zamiast dętologii, której można było się spodziewać, wykładu uświadamiającego lub czegoś w tym guście, otrzymaliśmy bezpretensjonalny pokaz bezradności mężczyzn szukających sposobu na upuszczenie emocji i zdjęcie ciężaru z serca. Bo, jak się okazuje, serca mają.

Choć scenariusz nie sili się na wielkie uogólnienia i wyrafinowaną dramaturgię, dostajemy opowieść o mężczyznach odnajdujących siebie i szansę dla siebie w odpuszczeniu emocji. Wprawdzie na scenie nie płaczą, ale o płaczu mówią i nie chodzi przecież o pokaz strug łez ani nawet o basen, za który uchodzić będzie przestrzeń Małej Sceny Teatru Dramatycznego. Bohaterowie spotykają się właśnie na basenie, a raczej schodzą się, bo nie są umówieni, tylko mają taki obyczaj, że tam szukają wytchnienia od codziennych trosk i zawirowań.

Każdy ma swojego robaka. Jeden nie umie pływać i w zasadzie korzysta tylko z sauny (Robert T. Majewski), drugi łapie ostatnie chwile męskości, bo czas biegnie nieubłaganie (Henryk Niebudek), trzeci najechał swoim autem na ciało mężczyzny i teraz boryka się z myślą, że kogoś zabił (Waldemar Barwiński), czwarty nie znajduje miłości ojca, podlega jedynie tresurze (Paweł Tomaszewski), piąty wolałby spotykać się z mężczyzną niż kobietą (Karol Wróblewski). Jest jeszcze ratownik z problemami (Mateusz Górski), trochę z boku, trochę przyszywany do tej grupy, bo ma własną traumę i, nurkując, chyba szuka rozwiązania.

Obserwacje poczynione tu przez autora i reżysera, Michała Buszewicza, nie są zbyt głębokie. Ale nie warto oczekiwać zbyt wiele. Bardzo sprawnie, chwilami świetnie grany spektakl oswaja z myśleniem o mężczyźnie jako kimś wrażliwym i wcale nie takim macho, jakiego chętnie malują. A to niemało.

Tomasz Miłkowski

„Chłopaki płaczą", scenariusz i reżyseria Michał Buszewicz, Teatr Dramatyczny w Warszawie, Mała Scena, premiera 23 marca 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

Wojciech Harpula, Maria Mazurek

Panie przodem. O co walczą kobiety i mężczyźni we współczesnej Polsce

Znak Literanova, Kraków 2023

O konflikcie płci, który w dużej mierze zastąpił walkę klas, napisano już sporo. Jednak, pomijając ideologicznie motywowane publikacje, które nie analizują go, lecz napędzają, niewiele jest książek tak szeroko zajmujących się tym ważnym tematem. Duet Harpula i Mazurek zadał sobie trud wybrania i przepytania ekspertów z różnych dziedzin, z różnymi doświadczeniami i obserwacjami. Dzięki temu otrzymujemy zbiór, który podejmuje także wątki wykluczania i marginalizowania mężczyzn w Polsce. Spóźniona rewolucja seksualna, która właśnie w Polsce się dzieje, ma swoje ofiary i beneficjentki. Droga do utopijnej równości wiedzie przez realne nierówności tu i teraz, a mało istotna, jak by się wydawało, zmiana w języku może mieć swoje konsekwencje w sypialni.

Rafał Pikuła

NA POWAŻNIE

Nic nie rozumiesz, czyli jesteś na „Trubadurze"

Ta opera Verdiego uchodzi za jego najbardziej niedorzeczne dzieło. Ale liczy się piękna, niezwykle melodyjna, pełna życia i rytmu muzyka. To dla pięknych arii, duetów i tercetów warto przyjść do teatru. Warto nawet wybrać się w podróż do Szczecina, gdzie na Zamku Książąt Pomorskich zobaczymy historię o miłości, zazdrości, nienawiści, zemście przechodzącej z pokolenia na pokolenie, osadzoną w XV-wiecznej Hiszpanii. I posłuchamy, jak śpiewa średniowieczny trubadur.

Bronisław Tumiłowicz

Giuseppe Verdi, „Trubadur", kierownictwo muzyczne Jerzy Wołosiuk, reżyseria Barbara Wiśniewska, Opera na Zamku w Szczecinie, premiera 22 kwietnia 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. SISI CECYLIA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 9efbbac1e5

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości, ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

1

BYĆ I NIE BYĆ CORRIDY

W literaturze iberyjskiej podkreśla się, że corrida i Hiszpania nie mogą być traktowane oddzielnie, bo kraj nie mógłby istnieć bez walk byków, a one nie istniałyby bez Hiszpanii. Świadom hejtu, nie bacząc na ataki animalistów i rozrośniętą poprawność polityczną, przyznaję, że należę do *aficionados*, zagorzałych wielbicieli corridy. Często oglądałem ją z *callejón*, wąskiego przejścia dookoła areny, gdzie tak lubił pozować fotografom piewca corridy „Papa" Hemingway. Stamtąd wszystko jest w zasięgu ręki i łatwiej można pojąć filozofię mocno osadzonej w hiszpańskiej mentalności tauromachii, że nie jest to jednostronna walka przeciwko ślepej sile dzikiego zwierza, bo starcie protagonistów jest obustronne, torreador żyje w zażyłości ze śmiercią. Pisarz gloryfikował śmierć i miłość, męstwo i honor. Uważał, że to nie tylko spektakl, rzadko spotykane połączenie piękna i heroizmu, ale także metafora życia i śmierci.

Ten mocno wtopiony w hiszpańską duszę fenomen obyczajowy stanowi od wieków nieodłączny element tożsamości narodowej, a dla obcokrajowców jest tylko barbarzyńskim widowiskiem. Czy można go wymazać ze świadomości mieszkańców tego kraju? To tak, jakby wyobrazić sobie Amerykę bez bejsbolu, Kanadę bez hokeja czy Włochy bez pizzy. W obronie corridy wystąpił m.in. laureat Literackiej Nagrody Nobla Mario Vargas Llosa, który z grupą latynoskich intelektualistów wystosował do UNESCO petycję o zaliczenie corridy do dziedzictwa kultury światowej.

eprasa.pl 9efbbac1e5

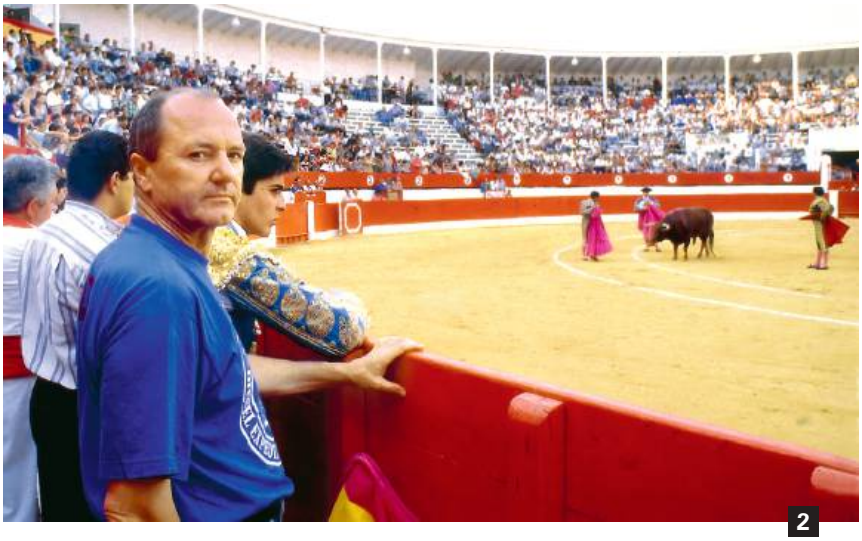

2

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, twórca survivalu w Europie. www.palkiewicz.com

5

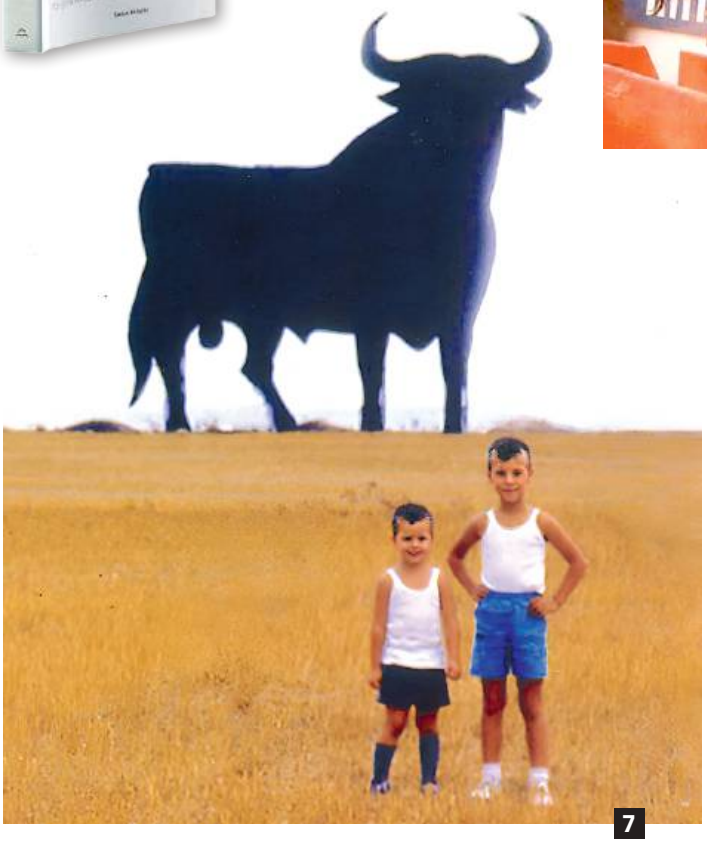

7

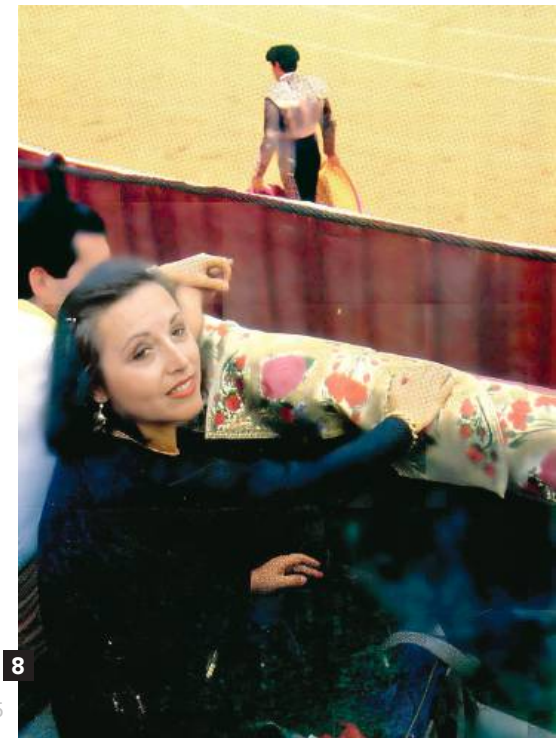

8

eprasa.pl 9efbbac1e5

3

4

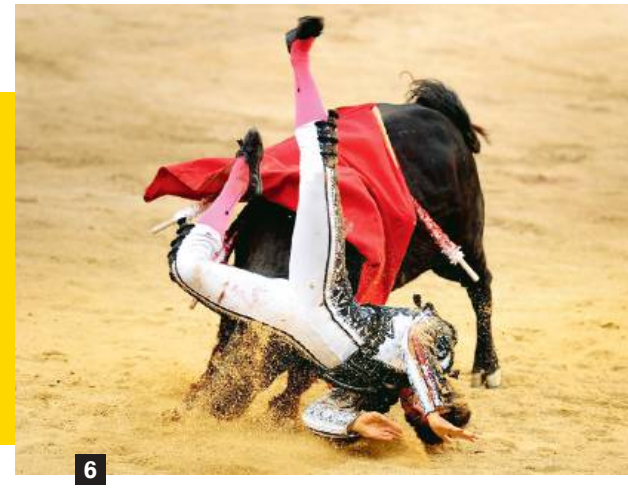
6

1. Wyraz pogardy dla niebezpieczeństwa.
2. Autor, bywalec hiszpańskich aren.
3. Corrida przyciąga co roku 6 mln widzów.
4. Rytuał dawnej epoki przetrwał próbę czasu.
5. Nieczęsto oglądany obrazek.
6. Każdego roku wielu matadorów zostaje poturbowanych.
7. Byk bitewny, marka Hiszpanii.
8. Na 570 arenach odbywa się rocznie ponad 2 tys. corrid.
9. Teatralne przedstawienie wypełnione patosem walki.
10. Finalny akt.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

9

10

eprasa.pl 9efbbac1e5

Agata Romaniuk

Maryjki odwracają oczy

Problemy zaczęły się, kiedy Wiesława, 50-letnia księgowa z Iławy, wybrała ciało Zdzisława zamiast ciała Chrystusa

Wcześniej przez wiele lat Maryjki patrzyły na nią czule i z miłością. Porozsiadały się na półkach, na parapecie i na stoliku w sypialni jej mieszkania w bloku. Ciche, skromne, bez uśmiechu. 11 sztuk. (…) Wszystkie Maryjki czuwały nad jej modlitwą, snem i czystością. Bo ciało Wiesławy, o czym wiedziała od dzieciństwa, było grzeszne i brudne.

Kiedy miała kilkanaście lat, obudziła się w środku nocy w pościeli splamionej krwią. Nikt wcześniej nie rozmawiał z nią o miesiączce, myślała więc, że ma krwotok i umiera. Zaczęła krzyczeć. Przybiegła matka i zatkała Wiesi usta. Kazała jej zwinąć zaplamione prześcieradła, zanim ojciec i brat je zobaczą. W środku nocy, w ciemności, dziewczyna prała pościel w zimnej wodzie, podczas gdy jej matka spała. Nigdy więcej o tym nie rozmawiały.

Pelagia, matka Wiesi, była kobietą małomówną. Surowa i oschła, trzymała córkę krótko. Jej wnuczka, Iga, twierdzi, że babka całe życie miała poczucie winy, że żyje w grzechu. Nie miała ślubu kościelnego z Longinem, ojcem Wiesi. Poznali się przed wojną – ona młodziutka, z ojca policjanta i niewykształconej matki, on przystojny, pewny siebie dziedzic mięsnej fortuny. Miał niemały majątek, piękną żonę i maleńką córeczkę z loczkami, w sukience z falbankami. Mając niespełna rok, dziewczynka, którą wszyscy pieszczotliwe nazywali Calineczką, połknęła igłę gramofonową. Nie udało się jej uratować. Matka dziecka odchodziła od zmysłów, małżeństwo Longina się rozpadło. Kiedy jego żona uciekła do Lwowa, zwrócił uwagę na młodą, niespełna 20-letnią ekspedientkę w sklepie mięsnym jego ojca. Wybuchł skandal, ale Longin i Pelagia byli w sobie zakochani i nic sobie nie robili z tego, że ludzie gadają. Zaraz zresztą wybuchła wojna i nikt nie miał czasu na plotki.

Uciekając przed armią radziecką, znaleźli się w Lublinie i tam w 1941 r. urodziła się Wiesia, a dwa lata później jej brat Jerzy. W czasie wojny rodzina tułała się to tu, to tam. Na zdjęciu zrobionym w 1946 r., gdzieś w Gdańsku, Pelagia, w ciemnym płaszczu i fikuśnym kapelusiku, prowadzi dwójkę dzieci: Jurka w czapce z pomponem i wełnianym szaliku i Wiesię w białym berecie i płaszczyku z obciąganymi guzikami – najwyraźniej złote monety, które Pelagia wywiozła z Lublina zaszyte w kołnierzu z lisa, pozwoliły im żyć na poziomie mimo powszechnej w drugiej połowie lat 40. biedy. Na zdjęciu Wiesia nie patrzy w obiektyw, ciągnie za rękę brata, unosi lewą nogę. Jest poważna jak na swój wiek i elegancka. To jej zostało na zawsze – wyczucie stylu, mody, klasa. Na kolejnych zdjęciach widać, że często szła pod prąd. W połowie lat 60 nosiła się awangardowo jak na dziewczynę po liceum ekonomicznym, z małego miasta: trapezowe, minimalistyczne sukienki, włosy ścięte na krótko, z pazurkami na policzkach. Żadnych słodkich minek, loczków za uszami, wzorów kwiatowych, szerokich spódnic. Ale mogła się podobać. A jednak nie oglądała się za chłopcami. Pelagia pilnowała, żeby jej jedyna córka żyła w czystości.

Cała rodzina Wiesławy, zarówno ta ze strony ojca, jak i matki, wylądowała w tym samym miasteczku na Warmii. Repatrianci z Kresów wprowadzili się do domów z cukiernicą podpisaną szwabachą, z ciężkimi, poniemieckimi dębowymi szafami i kryształowymi lustrami. Razem z nimi zamieszkała ich wiara. Maryjki, krzyże, święte obrazki, a z czasem kalendarze z papieżem i pamiątki z pielgrzymek. Oni sami odnaleźli się przez Polski Czerwony Krzyż. Kobiety z tobołami, w które zawinęły pierzyny i święte obrazy, i wychudzeni mężczyźni, którzy wracali z Syberii i obozów. (…)

Na zdjęciu komunijnym Wiesława stoi z gromnicą, w za długiej sukience, z kokardą wpiętą w jasne loki. Ma poważną minę, nie uśmiecha się, a oczy wznosi ku niebu. Jedną dłoń oparła na stoliku, na którym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9efbbac1e5

stoi fotorealistyczny portret Jezusa w wersji młodego hippisa – z długimi włosami, w luźnej szacie. Według Pelagii to był jedyny mężczyzna poza mężem, któremu jej córka Wiesława mogła oddać serce.

Tyle że Wiesia do zamążpójścia się nie spieszyła. Pracowała jako księgowa w radzie narodowej, a popołudniami dorabiała w domu kultury. Miała koleżanki, zarabiała własne pieniądze, dużo czytała, chodziła do kościoła. Rytm życia wyznaczały jej święta i obrzędy kościelne. Poranne roraty (obowiązkowa para z ust, chybotliwy płomień lampionów), adwent, Boże Narodzenie, wielki post, droga krzyżowa, triduum paschalne, nabożeństwo majowe, czerwcowe, monotonne litanie.

Całą młodość Wiesława spędziła na kolanach, zupełnie jakby miała odkupić nie tylko swoje grzechy, ale także żyjących bez ślubu rodziców i to, że wujowie i kuzyni jak się popili, to wyzywali Wiesię i Jurka od bękartów. Słysząc to, Pelagia tylko ściągała usta i kazała córce leżeć krzyżem i modlić się o dobrego męża. Wiesława modliła się nieskutecznie – miała już dwadzieścia kilka lat, a wciąż była panną. Na początku lat 60. w konserwatywnej, religijnej rodzinie w małym mieście to było źle widziane. Wtedy zdarzył się Zdzisław.

Nikt już nie pamięta, czy to było lato ‘64 czy ‘65 roku, kiedy Wiesława wyjechała z koleżankami na wczasy pracownicze nad morze. Pierwszy raz wyrwała się spod skrzydeł matki i smutnych oczu Jezusa nad tapczanem. Beztroskie dziewczyny piły słodkie wino i chodziły tańczyć. Tak się poznali, na jakimś dansingu. On wysoki, barczysty, zaczesany do tyłu, na gładko. Ładnie wycięte usta, wąski podbródek. Nosił płócienne białe koszule rozpięte na torsie o jeden guzik za daleko. Przystojniak. W dodatku 11 lat od niej starszy, kawaler z własnym mieszkaniem. Miał dużo luzu i ujmującej ogłady, choć pochodził z robotniczej rodziny. Urodził się w Warszawie w 1930 r., wychowywały go matka z babcią. Gdy miał 14 lat, rwał się do powstania, więc wywiozły go do rodziny do Brwinowa i tam wszyscy razem doczekali końca wojny. Jako dorosły chłopak Zdzisław wylądował w Gdańsku, gdzie pracował na stanowisku inspektora nadzoru. Dostał mieszkanie na Oruni, małe i ciemne, ale własne. To tam zapraszał Wiesławę, młodziutką czarnulkę w sukienkach w geometryczne wzory i balerinkach. Oszalała na jego punkcie. Patrzył na nią, niewysoką, z góry, z szelmowskim uśmiechem. Nazywał ją „Skrzatem”. Trzymał mocno za rękę i zabierał na spacery plażą. Opowiadał o jazzie.

Wróciła do domu zakochana. Przez kolejne dwa lata wymieniali listy. On przyjechał do niej do Iławy, ona odwiedziła go w Gdańsku. Pisali o swojej miłości, ale też się spierali. Ona zarzucała mu, że jest cynikiem, że gardzi ludźmi. Wiosną 1965 r. strofowała go: „Nie słyszałam jeszcze od Ciebie ani jednego dobrego słowa na temat spotykanych ludzi. Ty chyba o nikim nie mówisz dobrze. Zastanawiam się, kim ja jestem w Twoich oczach i jaką rolę spełniam w Twoim życiu? Życie jest bardzo szare, ale po co jeszcze tę barwę przyciemniać. Powinno się znaleźć miejsce na odrobinę poezji, fantazji i humoru. Poza tym trzeba w coś wierzyć. Jeśli nie w Boga, to choćby w wartości człowieka”. Jednocześnie zapewniała: „Zdzisiu, Ty jesteś dla mnie nadal niebem i światem”, i prosiła: „Kochaj mnie trochę, nie chciałabym być pustką w Twoim życiu”.

Kochał ją chyba bardziej niż trochę, ale nie dość, żeby się ożenić i założyć rodzinę. Zwodził ją czułościami. Jesienią 1966 r. pisał: „Kochanie! Serdecznie Ci dziękuję za fotografię, ale muszę przyznać, że nie była ona konieczna w sensie przypomnienia sobie Ciebie. Ba! To tylko wariat może wyjaśnić normalnym ludziom. Krótko tylko Ci powiem, że »fotografie« ludzi dla mnie życzliwych i wrogów mam odbite w mózgu do końca życia”.

Ona chciała deklaracji, planów, a on miotał się, że nie może spełnić jej oczekiwań: „Jedno mnie tylko martwi, a mianowicie, że nie potrafimy wymyślić i zrealizować jakiegoś pomysłu, który by pozwolił nam się znaleźć w jakiejś lepszej, szczęśliwej pozycji. (…) Nie wiem, jak przyjmiesz, co Ci piszę, ale myślę całkiem poważnie, że możliwość jest i trzeba wreszcie coś zrobić do jasnej cholery, bo zamęczymy się własnymi myślami, nic absolutnie nie robiąc, co mogłoby dać nam jakąś korzyść”.

Wiesława miała na myśli tylko jedną korzyść, konkretną: ślub. Na to jednak on nie chciał się zdecydować, a rodzina Wiesi, z Pelagią na czele, naciskała. W końcu ona sama także straciła cierpliwość.

W tym czasie ze studiów prawniczych w Warszawie wrócił jej brat, Jerzy, żeby zacząć aplikację w sądzie arbitrażowym w Iławie. Wynajął z kolegą pokój na stancji. Franek skończył geologię i geografię, pracował jako pilot wycieczek orbisowskich. Znał języki, jeździł po demoludach, wydał się Wiesławie światowy. Ona także wpadła mu w oko: oczytana, miała własne zdanie. Po latach wydaje się, że szybki ślub z Frankiem był na złość Zdziśkowi. Jak nie, to nie – Wiesława nie chciała czekać. I już stała przed ołtarzem z niewiele starszym od siebie inżynierem, który, wykształcony i elegancki, podobał się rodzinie. Na zdjęciu ślubnym z 1967 r. żadne z nich się nie uśmiecha. Ona wygląda jednak jak ikona mody, jakby ubierał ją sam Givenchy.

Całą młodość Wiesława spędziła na kolanach, jakby miała odkupić nie tylko swoje grzechy, ale także żyjących bez ślubu rodziców.

Pelagia kazała córce leżeć krzyżem i modlić się o dobrego męża. Wiesława modliła się nieskutecznie.

eprasa.pl 9efbbac1e5

Ma prostą, gładką sukienkę wyciętą pod szyję. Białe długie rękawiczki i skromny geometryczny welon. Jest piękna i smutna. Na kolejnym zdjęciu, w podróży poślubnej do Bułgarii, w pociągu podpiera brodę na dłoni i patrzy przez okno, a on ma rozchełstaną koszulę, poluzowany krawat, zamglone oczy. Już wtedy okazało się, że pije.

Nie przestał przez kolejne lata. Pił wszystko, co się nawinęło pod rękę. Sam i z kolegami, w tygodniu i od święta, wino, wódkę, jarzębiak. Picie było jego życiem. I co z tego, że pięknie deklamował Majakowskiego, co z tego, że znał się na muzyce i puszczał z winyli najlepsze kawałki. Pił, kiedy urodziła się im córka Iga, pił, bo była wiosna, bo deszcz, bo podwyżka, bo imieniny. Doszło do tego, że wyprzedawał rzeczy z domu, aż wreszcie przepił zaliczkę na bilety dla turystów i wyrzucili go z Orbisu. W końcu Wiesława złożyła pozew o rozwód. Pięć lat po ślubie Sąd Powiatowy w Iławie, Wydział IV cywilny – przewodniczący sędzia Jagiełło, ławnicy: O. Wrzosek i D. Lindorf – orzekł rozwód z winy Franciszka. Wiesława dostała 400 zł alimentów. I tyle.

Przez kolejne siedem lat niewiele się zmieniło. Nadal mieszkali w trójkę, jeździli na wakacje nad jezioro, grali komedię przed rodziną Wiesi – spędzali święta u Pelagii i Longina. Wiesława czekała na mieszkanie z przydziału i jak wcześniej jej matka, katowała córkę kościelnymi obrzędami.

– Święto goniło święto. Jak nie Matka Boska Zielna, to Gromniczna, jak nie droga krzyżowa, to rekolekcje. A potem Wniebowstąpienie, Trzech Króli, święto Piotra i Pawła i uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Mieszkaliśmy koło kościoła, więc byłyśmy tam non stop. Nie mogłam tego znieść, ale moja matka, rozwódka, była oblubienicą Chrystusa – wspomina po latach Iga. To dzięki niej poznaję historię Wiesławy. Ateistka, która żyje w nieformalnym związku, co długo musiała przed matką ukrywać. – Ona miała obsesję na punkcie tego, że seks przedmałżeński to grzech. W kółko mi powtarzała, że mam się dobrze prowadzić, chłopakom na nic nie pozwalać, zachować czystość do ślubu. Że seks przed ślubem to hańba. A jak kiedyś znalazła u mnie w szufladzie globulki antykoncepcyjne, to tylko mi je rzuciła na biurko i przez tydzień się do mnie nie odzywała.

Mieszkaliśmy koło kościoła, więc byłyśmy tam non stop. Nie mogłam tego znieść, ale moja matka, rozwódka, była oblubienicą Chrystusa.

Nagość w domu Wiesławy i Franciszka była tematem tabu. Mała Iga tylko raz widziała ojca w szlafroku, bez slipek, coś się mu majtało między nogami. Zapytała, co to, ale nikt nie udzielił jej odpowiedzi. Interesowała się też ciałem matki. Podglądała ją przez szparę w drzwiach łazienki. Pamięta, że pewnego dnia matka otworzyła drzwi i wzięła córkę do siebie, do wanny, a mała zaczęła się drzeć tak głośno, że usłyszeli ją wszyscy sublokatorzy: „O, rany, ale masz tu włosy!”.

O seksie nigdy nie rozmawiały, przynajmniej do czasu, aż dorosła Iga wyprowadziła się z domu. Mieszkały już wtedy tylko we dwie, jeśli nie liczyć Maryjek i Chrystusów na każdej półce, w mieszkaniu z przydziału. Przy pierwszej okazji, w 1990 r., Iga uciekła na studia w odległym mieście.

– Dusiła mnie jej dewocja. I ciągłe połajanki – opowiada. Po wyprowadzce córki Wiesława robiła porządek w papierach. Znalazła stare listy Zdzisława i jego adres. Napisała do niego z głupia frant, kurtuazyjnie, z pozdrowieniami. Odpisał natychmiast, choć asekuracyjnie: „W Iławie masz wielu przyjaciół i znajomych, sympatycznych i niesympatycznych, interesujących lub nudnych. Nie ma sensu przysparzać sobie kłopotu jeszcze jednym nabytkiem. Gdybyś jednak miała ochotę porozmawiać z interesującym jak piątkowy program telewizyjny człowiekiem, to proszę bardzo, jeśli masz telefon w domu, to podaj numer, zatelefonowałbym do Ciebie”.

Podała. Zadzwonił. Szybko zaproponował spotkanie, którego oboje trochę się obawiali. Minęło w końcu 26 lat.

„Tymczasem bardzo się cieszę na spotkanie z Tobą – pisał. – Sądzę, że wystarczy Ci zdrówka (i mi także), żeby przetrzymać pierwsze wrażenie, jakiego doznasz po otwarciu drzwi. A zatem do zobaczenia”.

Z pożółkłych listów wynika, że pisała jednak do niego już wcześniej, zaraz po rozwodzie, w 1973 r.: „Czy zdajesz sobie sprawę, że minęło już osiem lat, jak się widzieliśmy ostatni raz? Pisałam do Ciebie już wcześniej, nie licząc, że odpiszesz, bo dawało mi to spokój jak przy spowiedzi przy konfesjonale. Ale co do mnie, to nie mam w sobie daru zjednywania sobie ludzi, nie mam przyjaciół. Ludzie są w tłumie najbardziej samotni, wiesz. Ja chyba zmarnowałam sobie życie”. List jest pokreślony, przebijają przez niego żal i desperacja, które powracają w kolejnych listach, z tego samego 1973 r.: „Skończyłam 32 lata. Trochę zmądrzałam, choć nie na tyle, żeby przestać pisać do Ciebie. Na pewno się niecierpliwisz tymi moimi listami, zastanawiasz, kiedy ten babsztyl się »odczepi«. Wiem, że je otrzymujesz, bo nie wracają”.

Zdzisław wysupłał ją z tego pasa cnoty, z tych wszystkich lęków i uprzedzeń. Rozkwitła przy nim.

Kiedy nie dostała odpowiedzi, po dwóch tygodniach napisała znowu: „Zdzisiek! Jestem uparta – mogę tak pisać z większymi i mniejszymi przerwami przez lata. Być może moje dziecko ma głupią matkę. Mogę

eprasa.pl 9efbbac1e5

sobie tylko wyobrazić (a wyobraźnię miałam zawsze), że stukasz się znacząco palcem w głowę, albo że pewnego dnia zupełnie niespodziewanie zapukasz do mych drzwi, albo się spotkamy przypadkiem na ulicy lub na obcej planecie, albo że w końcu dostaniesz ten list, ale będziesz wściekły i mrożący lub dobroduszny i lekceważący, i przestanę się w końcu zastanawiać".

Okazało się, że musiała się zastanawiać i czekać na spotkanie przez kolejne 20 lat. Wreszcie stanął w drzwiach w jej mieszkaniu w Iławie – i tak to się zaczęło. Wiesława wiedziała dobrze, że chociaż wzięła cywilny rozwód z Franciszkiem, to wobec Kościoła wciąż jest jego żoną i jako taka nie może pożądać innego mężczyzny. A pragnęła ciała Zdzisława ponad wszystko i pragnęła, żeby i on pragnął jej ciała. Wybierając się po raz pierwszy do niego z wizytą, mając w perspektywie pierwszą wspólną noc, uznała, że musi swoje ciało oblec w coś, co będzie się nadawało na taką okazję. Nie miała jednak pojęcia, jak się do tego zabrać, wstydziła się pójść do sklepu z seksowną bielizną – jej dotychczasowy oblubieniec, patrzący czule z krzyża, takich rzeczy nie wymagał. Pojechała więc do córki i to ona, 23-letnia studentka, zabrała matkę do sklepu marki Triumph, gdzie kupiły figi i halkę z koronką.

– Nigdy jej takiej nie widziałam – wspomina Iga. – Zachowywała się jak zakochana nastolatka. Z moim ojcem nie zaznała ani miłości, ani rozkoszy, a wtedy szykowała się jak do nocy poślubnej.

Życie bywa przewrotne i okrutne – okazało się, że Zdzisław był czuły i troskliwy, ale w sypialni niedomagał. Nie były to jeszcze czasy viagry, ale on jednak był biegły w ars amandi. Oprócz żony Ludwiki, z którą małżeństwo trwało raptem dwa lata, miał przez te wszystkie lata wiele kochanek. Zaproponował Wiesławie seks oralny. Zmartwiała. Jak to? Że tam, na dole? Była przerażona i zawstydzona. Ale on się nie spieszył. Rozbrajał ją powoli.

– Wysupłał ją z tego pasa cnoty, z tych wszystkich lęków i uprzedzeń. Rozkwitła przy nim – opowiada Iga.

•

Mieszkali osobno, on w Gdańsku, ona w Iławie. Nie chcieli stworzyć wspólnego domu, każde wolało zachować swoją prywatność. Zamiast tego mieli więc 25-letni romans. Gdy on przyjeżdżał do niej, ona stawała na głowie, żeby mu dogodzić. Kiedy ona była w Gdańsku, to on się dwoił i troił. Przynosił jej kawę do łóżka, komplementował, rozpieszczał. Doświadczała dzięki niemu przyjemności, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Kiedy Wiesława unosiła się na fali rozkoszy, Maryjki, i te iławskie i te, które skolonizowały z czasem gdańskie mieszkanie Zdziśka, zapewne odwracały oczy.

Na zdjęciach z ich wspólnych wyjazdów w połowie lat 90. ufarbowana na blond Wiesława pozuje na tle Jeziora Genewskiego. W Brnie pokazuje kawałek dekoltu i kolana. W wąwozie w Gletscherschlucht odrzuca włosy, patrząc w obiektyw. Dużo razem podróżowali. On pokazywał jej świat, jakiego wcześniej nie znała. W tym nowe smaki – robił dla niej sałatkę z kuskusem, dziwiła się, ale jadła z apetytem. Na Jarmarku Dominikańskim kupował jej kamienie o niezwykłych właściwościach. Chodził z wahadełkiem, sprawdzał cieki wodne, mieszał dla niej zioła. On interesował się ezoteryką, ona miała swoją wiarę. Kościół jednak zamknął przed nią drzwi, w końcu żyła w grzechu. Chodziła wciąż na nabożeństwa i msze, ale nie do spowiedzi, bo nie dostałaby rozgrzeszenia, i tym samym nie przyjmowała komunii. Cierpiała z tego powodu i wciąż szukała jakiegoś rozwiązania.

Kiedy Zdzisław bardzo zachorował, a ona wprowadziła się do jego mieszkania w Gdańsku i stała się opiekunką obłożnie chorego, starego człowieka, napisała do swojego proboszcza. Wyłuszczyła, że żyją jak białe małżeństwo, że powinnością chrześcijanki jest opiekować się śmiertelnie chorym, i prosiła o dyspensę. Chciała się wyspowiadać i przyjąć ciało Chrystusa w sakramencie. Proboszcz odmówił.

Latem 2010 r. wzięli ślub. Cichy, skromny. Zaprosili tylko córkę z partnerem. Wiesława założyła dopasowaną sukienkę w morskim kolorze, a Zdzisław nowiusieńki garnitur. Na tym drugim w swoim życiu ślubnym zdjęciu panna młoda, Wiesława, lat 71, szeroko się uśmiecha.

– Leżę nad jeziorem, nocą, a obok mnie Zdzisiek.
I wtedy, we śnie, to do mnie przychodzi, jak wielka gorąca fala.
– Ale co przychodzi, mamo?
– Orgazm, córeczko.

On już wtedy chorował na raka. Po pięciu latach, gdy wydawało się, że nowotwór jest w remisji, wdała się infekcja. Wiesława czuwała przy nim dzień w dzień, tygodniami, ale nie było jej obok niego, kiedy umierał.

– Wyrzucała to sobie do końca życia – mówi mi Iga.

Po jego odejściu Wiesława wróciła na łono Kościoła. Myślę, że Maryjki przyjęły ją jak swoją. Często przystępowała do spowiedzi i komunii. Na krótko przed śmiercią opowiedziała córce sen, który przychodził do niej regularnie po śmierci męża. W któreś święta wypiły dwie kadarki w gdańskim mieszkaniu Zdzisława i Wiesławie rozwiązał się język: Śni mi się, że leżę nad jeziorem, nocą, a obok mnie Zdzisiek. Niebo nad nami jest takie gwiaździste i wtedy, we śnie, to do mnie przychodzi, jak wielka gorąca fala.

– Ale co przychodzi, mamo? – chciała wiedzieć Iga.

– Orgazm, córeczko – odpowiedziała cicho, uśmiechając się.

Reportaż z książki Agaty Romaniuk *Krótko i szczęśliwie. Historie późnych miłości*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2022

eprasa.pl 9efbbac1e5

Trzy tysiące par kocich oczu

Populacja tygrysów w Indiach podwoiła się przez ostatnie 50 lat. Nie wszyscy się cieszą

Mateusz Mazzini

Zwierzęta, zwłaszcza prezentujące się na zdjęciach tak efektownie jak tygrysy, od zawsze stanowiły doskonałe tło do uprawiania polityki. Nie inaczej było, gdy w kwietniu Narendra Modi, premier Indii i jeden z wiodących graczy na arenie światowego nacjonalistycznego populizmu, z dumą ogłaszał wyniki tygrysiego spisu powszechnego. To badanie cykliczne, przeprowadzane co dwa lata, ale publikacja ostatniej jego odsłony została opóźniona przez pandemię. Modi, ubrany w typowy dla siebie jasnobrązowy bezrękawnik i kapelusz trekkingowy, odczytaniem danych o tygrysach zakończył 20-kilometrową przejażdżkę otwartym jeepem po jednym z rezerwatów, gdzie tygrysy mogą swobodnie żerować i rozmnażać się. Do fotoreporterów uśmiechał się szeroko, bo miał powody – zdaniem badaczy populacja tygrysów żyjących na terenie Indii wynosi obecnie 3167 osobników. To prawie dwa razy więcej niż w krytycznych z punktu widzenia zoologów pierwszych dekadach po odzyskaniu przez Indie niepodległości w 1947 r. Pomiędzy końcówką lat 40. a początkiem lat 70., według różnych szacunków (badania były wtedy znacznie mniej precyzyjne niż teraz), tygrysów po subkontynencie biegało ok. 1,6-1,8 tys.

Jeśli patrzeć na surowe dane, Indie okazałyby się po prostu przedstawicielem globalnego trendu. Populacja tygrysów powiększa się bowiem systematycznie na całym świecie. Nie na tyle, by przestały być gatunkiem zagrożonym, ale mimo wszystko wzrost jest znaczący. Zgodnie z ubiegłorocznymi danymi World Wildlife Fund (WWF) na całym świecie żyje na wolności ponad 5,7 tys. tygrysów, a rozrost gatunku zaobserwowano we wszystkich kluczowych dla niego krajach. A więc nie tylko w Indiach, ale też w Bhutanie, Nepalu, Chinach i Rosji. W niektórych miejscach drapieżników przybywa w tempie kilkudziesięciu procent na dekadę.

Zły tygrys

Nie ma co jednak otwierać szampanów, bo temat liczebności tygrysów nie kończy się na pozytywnych wieściach z Azji. Dzisiejsze dane wciąż są odległe o rzędy wielkości od szacunków chociażby z początku XX w., kiedy tygrysów w ujęciu globalnym było kilka razy więcej. W samych Indiach liczba ta mogła być nawet pięciocyfrowa, a według serwisu ekologicznego Mongabay na całym kontynencie azjatyckim niewykluczone, że sięgała 100 tys. Pewności nie ma, bo w tamtych czasach nikt nie prowadził precyzyjnej ewidencji, nawet znani z zamiłowania do biurokratycznego porządku, panujący wtedy w Indiach brytyjscy kolonialiści.

W miarę postępu industrializacji, urbanizacji i zwiększania się ludzkiej populacji tygrysom coraz trudniej było żyć na subkontynencie. Pierwszym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9efbbac1e5

powodem była oczywiście broń palna. Dla sportu polowali zwłaszcza Europejczycy, ale miejscowi również wybijali wielkie koty na potęgę, choć przede wszystkim w celach obronnych. Im bardziej kurczyły się bowiem obszary, na których tygrys mógł polować, tym częściej wchodził on w drogę ludziom. Motyw złego tygrysa atakującego ludzkie skupiska został zresztą bardzo szybko unieśmiertelniony w kulturze, dość zajrzeć do „Księgi dżungli" Rudyarda Kiplinga, gdzie głównym szwarcharakterem był właśnie ten kot, potężny i złowrogi z natury Shere Khan.

Kryzys pojawił się wraz z pierwszymi dekadami niepodległości, bo młode i bardzo ubogie państwo nie miało zasobów, nie tylko finansowych, pozwalających na prowadzenie systemowej ochrony tygrysów. Nie powinno to specjalnie dziwić, światowa ekologia w ogóle raczkowała, organizacje pokroju Greenpeace miały dopiero powstać, a o jakiejkolwiek globalnej koordynacji takich wysiłków nikt pewnie nawet nie marzył. Wtedy też układanka została uzupełniona o kolejny element – początek działalności międzynarodowych mafii kłusowniczych. Najpierw więc tygrysy zabijano na trofea na rynek europejski, potem przewagę zyskali kupcy azjatyccy, zafiksowani na podkreślaniu swojego statusu społecznego także za pomocą zdobyczy z polowań (niekoniecznie własnych).

Yadvendradev Jhala, cytowany przez „New York Timesa" były szef Indyjskiego Instytutu Dzikiej Przyrody (ang. Wildlife Institute of India), zauważa, że zaraz po odzyskaniu niepodległości tygrysy były „najpopularniejszym celem" kłusowników. Przełom nastąpił w 1973 r., kiedy rząd w New Delhi zainicjował Project Tiger – ogólnonarodową strategię ochrony życia tygrysów. Polegała ona nie tylko na przekierowaniu większych sił policyjnych do walki z gangami, ale również na stopniowym poszerzaniu obszarów, na których tygrysy są chronione i mogą żyć swobodnie. Przez pół wieku trwania programu, jak wylicza „NYT", ustanowiono 44 nowe parki narodowe i tereny chronione (przed startem Project Tiger było ich raptem dziewięć), które dzisiaj łącznie zajmują ponad 2% terytorium kraju. Wydaje się, że to dużo jak na 3 tys. tygrysów. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę fakt, że jeden osobnik, by prawidłowo funkcjonować w ekosystemie i łańcuchu pokarmowym, potrzebuje ok. 100 km kw. obszaru, na którym dominuje, nagle liczba ta przestaje być tak trudna do wyobrażenia.

Ale rośnie też populacja Indii, i to w znacznie szybszym tempie. W 1947 r. – 340 mln mieszkańców, dzisiaj – prawie równo cztery razy więcej. A w szerszym kontekście najwięcej na świecie. Według szacunków ONZ, cytowanych przez stację CNN, mniej więcej w połowie bieżącego roku Indie przegonią Chiny, stając się najludniejszym państwem globu. Proces ten rodzi wiele pytań, w tym o reakcję całej indyjskiej gospodarki, koszt energetyczny, coraz większe zanieczyszczenie rzek i rozwarstwienie ekonomiczne indyjskiego społeczeństwa. Dla tygrysów to również jest olbrzymim zagrożeniem, nawet jeśli teoretycznie znajdują się pod ochroną.

Według badaczy populacja tygrysów żyjących na terenie Indii wynosi obecnie 3167 osobników.

Koty bez granic

Tygrys to zwierzę wędrowne, sporo czasu spędza w ruchu. Niespecjalnie przejmuje się ludzkimi granicami, więc dawniej swobodnie przez nie przechodził, zwłaszcza pomiędzy Indiami a Nepalem. Teraz to coraz trudniejsze, bo na tym odcinku, długości 1,8 tys. km, powstaje coraz więcej osad, a przede wszystkim dróg i infrastruktury energetycznej. Na niewiele zdają się korytarze pomiędzy poszczególnymi rezerwatami, tygrysy zwyczajnie przestały migrować. Jak tłumaczy Bibek Raj Shrestha, biolog z francuskiego Uniwersytetu w Poitiers, cytowany przez serwis Mongabay, budowa dróg wpływa szkodliwie na zwierzęta takie jak tygrysy nie tylko poprzez bezpośrednie zagrożenie życia. Nawet te dzikie koty potrafią bać się szumu przejeżdżających aut i w pewnym sensie samoograniczać tereny polowań. Traci na tym ogólna pula genetyczna, zauważa Shrestha w opublikowanym w magazynie „Nature" artykule na temat indyjskich tygrysów. Koniec końców zwierząt robi się mniej, a zaawansowana technologia chroniąca przed kłusownikami, od kamer przemysłowych po drony, kamery noktowizyjne i helikoptery, na niewiele się zdaje.

Człowiek próbuje sztucznie regulować życie tygrysa, jednocześnie wchodząc na jego terytorium. Nic dziwnego, że tygrys, w końcu drapieżnik usytuowany na szczycie łańcucha pokarmowego, raz na jakiś czas zdecyduje się odwinąć, najczęściej ze skutkiem śmiertelnym. Hari Kumar wylicza na łamach „New York Timesa", że tylko pomiędzy 2017 a 2021 r. w Indiach zginęło 547 tygrysów, z czego 154 „z powodów nienaturalnych". Czasem ciała były po prostu pozostawiane przez uciekających kłusowników, częściej jednak była to samoobrona.

Działający komercyjnie myśliwi, często wynajmowani przez państwowe służby, potrafią spędzić nawet kilka miesięcy, tropiąc niebezpiecznego tygrysa, bez gwarancji powodzenia. A liczba ofiar tygrysów jest wcale niemała, dla Europejczyków może wręcz szokująca. Według statystyk indyjskiego ministerstwa środowiska, przytaczanych przez dziennik „Times of India", w latach 2019-2021 w Indiach tygrysy zabiły 108 osób. Średnia z poprzednich kilku lat to 40-50 zgonów rocznie. Media na subkontynencie zwracają jednak uwagę, że koszt samoobrony coraz częściej przerzucany jest na obywateli. Władze nie chcą pokazać się światu jako państwo ekologicznego terroru, w którym zagrożone globalnie gatunki nie mogą czuć się bezpiecznie. Dlatego strzelania do tygrysów unikają jak ognia.

A ponieważ Modi, jak przystało na populistycznego strongmana,

eprasa.pl 9efbbac1e5

o wizerunek w oczach Zachodu dba jeszcze bardziej niż inni politycy, bo chce nim przykryć postępujący spadek jakości instytucji demokratycznych w Indiach, staje się jasne, że mieszkańcom najbardziej „tygrysich" stanów, takich jak Madhja Pradeś, nikt nie zamierza pomóc.

Jak zawsze biznes

Wydawać by się mogło, że nie są to wielkie pieniądze – według magazynu „National Geographic" łowca tygrysów zarabia równowartość 800 dol. od głowy. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że średnia pensja w regulowanej, publicznej gospodarce wynosi w Indiach nieco ponad 420 dol. miesięcznie, widać od razu, że dla szybkich i wydajnych tropicieli to całkiem lukratywny biznes. Nie mówiąc o tym, że coraz częściej najmująca łowczego wspólnota niespecjalnie się interesuje tym, co stanie się z tygrysem po śmierci. Jego zabójca może wejść w układ z chińską czy wietnamską mafią i zysk będzie znacznie większy, bo cena skóry tygrysa na czarnym rynku dochodzi do 25 tys. dol. Nie cała kwota trafi do myśliwego, ale jak na indyjski kontekst ekonomiczny to i tak będą ogromne pieniądze.

Sytuacja tygrysów na subkontynencie jest też o tyle ciekawa i warta analizy, że doskonale ilustruje dylematy i koszty związane z ochroną zagrożonych gatunków. Weźmy komercyjną hodowlę tych kotów. To zawód, którym parają się tysiące ludzi na całym świecie, i wbrew pozorom większość z nich nie zalicza się do grona dziwaków w stylu Joego Exotica, zwanego Tiger King, bohatera słynnego, wyemitowanego w czasie pandemii serialu Netfliksa. W Republice Południowej Afryki, jednym z tych krajów, który z kłusownictwem i związaną z nim korupcją radzi sobie najgorzej, w 2022 r. zarejestrowano ponad pół tysiąca prywatnie posiadanych tygrysów. To o tyle niepokojące, że teoretycznie od 1987 r. istnieje ogólnoświatowy zakaz handlu tymi zwierzętami, a 20 lat później zakazano ich hodowli na trofea. W RPA, jak regularnie opisują to tamtejsze media, dochodzi do ucieczek tygrysów z takich komercyjnych farm, najczęściej słabo chronionych. Wywołuje to chaos w miejscowym ekosystemie, bo tygrys w naturze w Afryce Południowej nie występuje, nie jest elementem tutejszego łańcucha pokarmowego i jeśli już, to prędzej go zaburzy, niż się w nim odnajdzie.

Innym problemem jest próba pogodzenia potrzeb zwierząt i rozwoju rolnictwa, co widać wyraźnie chociażby na Sri Lance. W jednym z reportaży o schyłku globalizacji doskonale to opisał wybitny izraelski reporter Eyal Nadav. Tam akurat chodzi o słonie, które w wyniku karczowania lasów i poszerzania terenów uprawnych coraz częściej wchodzą na ziemie rolników. Ci, broniąc się przed dewastowaniem upraw, zakładają ogrodzenia pod wysokim napięciem, które słonie niejednokrotnie próbują mimo wszystko sforsować. Tworzy to błędne koło, bo z jednej strony rząd Sri Lanki deklaruje, że słonie chce chronić, więc sugeruje rolnikom, by nie razili zwierząt prądem. Z drugiej strony Sri Lanka produkcją żywności stoi (poza turystyką), trzeba zatem rolników chronić i dowartościowywać. Przy tak postawionej sprawie tracą wszyscy, tracony jest też czas, który można by spożytkować na znalezienie lepszego systemowego rozwiązania.

Cena skóry tygrysa na czarnym rynku dochodzi do 25 tys. dol.

W zglobalizowanej gospodarce późnego kapitalizmu pokojowe współistnienie dzikich zwierząt i ludzi jest coraz trudniejsze, szczególnie że w wyniku zmian klimatycznych i jednym, i drugim kurczy się drastycznie obszar, na którym mogą swobodnie żyć. Globalne ocieplenie pcha ich ku sobie i takie spotkania coraz częściej kończą się źle, także ofiarami śmiertelnymi. Dlatego każdy sukces obrońców dzikich zwierząt ma mniej przyjemny rewers. Na razie na świecie panuje zgoda, że zwierzęta należy chronić. Podpisują się pod tym nawet przywódcy nieprzywiązani do norm demokratycznych, np. Narendra Modi. Nie jest jednak wcale powiedziane, że ten stan rzeczy się utrzyma. Istnieje więc ryzyko, że każdy z tych 5,7 tys. tygrysów będzie przez człowieka postrzegany jako wróg. I nie zmienią tego nawet najambitniejsze rządowe projekty ochrony dzikich zwierząt.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

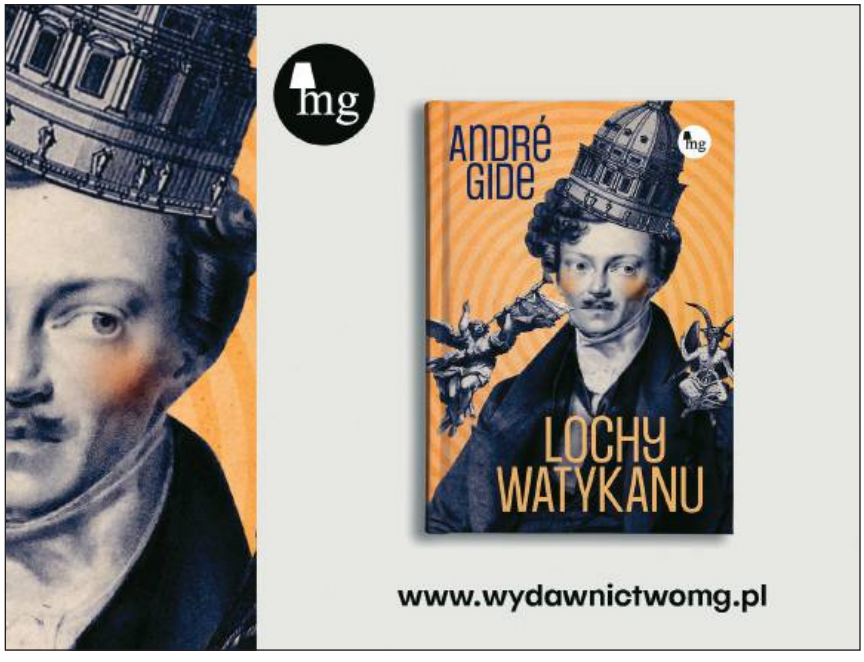

eprasa.pl 9efbbac1e5

Quo vadis, Jasino?

Łukasz Jasina, rzecznik MSZ, ma zostać ambasadorem w Finlandii. Ten przypadek skłania do różnych refleksji, którymi dzieliło się kilku dżentelmenów na ministerialnym korytarzu. Warto było podsłuchać.

Przede wszystkim dlaczego Finlandia? Łukasz Jasina w swoim czterdziestoparoletnim życiu był w tylu miejscach, że długo by wyliczać. Można rzec, że kurczowo łapał się, czego dało się złapać. Był dziennikarzem, potem trafił do PISM, a w MSZ pracuje od 1 września 2021 r. Objął wtedy stanowisko rzecznika i niczym innym w ministerstwie się nie zajmował. Łatwo więc zauważyć, że jego wiedza na temat dyplomacji jest wiedzą obserwatora. Przyglądał się, jak inni działają. I, jak trzeba było, na ten temat mówił. Podobnie rzecz się ma z jego wiedzą na temat polityki zagranicznej – nie wychodzi poza próby publicystyczne. Innymi słowy, mógłby być ambasadorem wszędzie. Bo o każdym regionie i każdym państwie wiedzę ma zbliżoną. Niewielką. Na pewno mniejszą niż o filmach, o których w telewizji opowiada.

Za to ma szczęście, bo Helsinki to na resortowej giełdzie jedna z najwyżej cenionych placówek.

Rozmawiający dżentelmeni próbowali policzyć, ilu to już rzeczników MSZ za wierną służbę nagradzanych było dobrą placówką, ale się pogubili. W każdym razie jest pewien trend: szef MSZ bierze człowieka ze świata mediów, ten mu służy, dając twarz i robiąc szum, a potem w nagrodę obejmuje jakąś placówkę.

Najsłynniejsza taka kariera ostatnich lat to Marek Magierowski, no, ale on był rzecznikiem prezydenta… Stamtąd przeszedł do MSZ na wiceministra, a potem został ambasadorem.

W czasach Radosława Sikorskiego podobną ścieżkę przeszedł Marcin Bosacki, dziennikarz „Gazety Wyborczej". Najpierw, od września 2010 r., był rzecznikiem MSZ, a od września 2013 r. ambasadorem w Kanadzie. Trzy lata służył, zanim został nagrodzony. Jasina miał więcej szczęścia – bo tylko półtora roku.

Ciekawa jest też historia Marcina Wojciechowskiego (także z „Wyborczej"), który zastąpił Bosackiego na stanowisku rzecznika. Otóż dwa lata później, w sierpniu 2015 r., został mianowany ambasadorem w Kijowie, ale stanowiska nie objął, bo nowa władza do Kijowa go nie puściła. I dopiero po jakimś czasie wysłano go na niższe stanowisko do ambasady w Mińsku. PiS wtedy grzmiało, że nie będzie mu odchodząca władza meblować ambasad, i to jeszcze dziennikarzami „Gazety Wyborczej"…

W tym miejscu pytanie nasuwa się samo – i na korytarzu w MSZ padło – czy nominacja Jasiny nie jest takim wyjazdem last minute, z obawy, że władza może się zmienić. Wyślijmy człowieka na ten zarobek, póki jeszcze można… I, szerzej patrząc, czy nie jest to sygnał, że w PiS rosną obawy przed jesienną porażką.

Może i tak, ale jeśli chodzi o Jasinę, inne czynniki raczej tu zadecydowały. Po prostu, niezależnie od wyniku wyborczego, Zbigniew Rau nie będzie w nowej kadencji szefem MSZ. Takie panuje przekonanie. Więc Rau załatwia to, co może załatwić. Dopieszcza Łódź i swoich kolegów z Uniwersytetu Łódzkiego. No i pamięta o swoim rzeczniku, który przecież się starał, na miarę własnych umiejętności. Ludzki pan.

Attaché

Protest rdzennych mieszkańców przed siedzibą Kongresu w Brasílli. Od 2004 r. zjeżdżają się na coroczną manifestację w obronie swoich praw, ziemi i kultury. 24 kwietnia 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9efbbac1e5

JOLKA

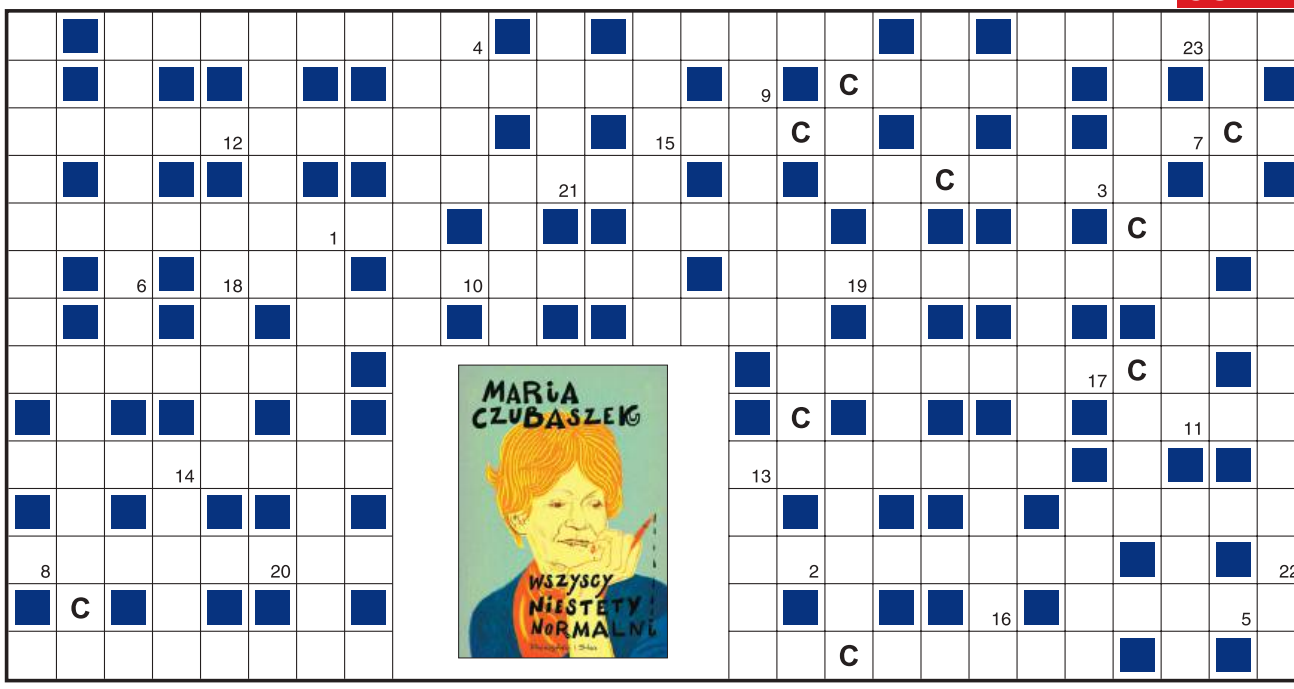

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- przerwa w spektaklu
- szczytowy punkt, maksimum
- ...Przymierza
- król z zamku Camelot
- czarnowłosy mężczyzna
- …piętrząca to zapora lub jaz
- w godle Libanu
- nabierać go – poprawiać się, tyć
- ogólne określenie płynących wód
- odbijający się głos
- baskijska organizacja terrorystyczna
- na telefon, pióro, okulary
- tak nazywano żonę Peróna
- wąskie… to coś, co spowalnia działanie
- imię Ciechowskiego lub Turnaua
- siła rozpędu, rozmach
- uczy kursantów
- imię Kwiatkowskiej lub Karel
- zapis pracy serca
- czterokołowy kryty powóz królewski
- sztywna, płaska czapka z daszkiem
- tysiąc metrów
- Stachowi zaszumiało ich pole na tęsknotę, na niedolę
- stójka lub szydełkowy
- K w KGHM
- Józef Skawiński z noweli Sienkiewicza
- pozorna śmierć, apatia, bezwład
- po wyborach w 2015 r. nie było jej w Sejmie
- …spod ciemnej gwiazdy
- harmonijkowe ścianki kamery, obiektywu
- tysięczna część wolta
- dla narciarza na lato
- efekt długotrwałego stresu
- gafa, zgrzyt
- małe narzędzie ręczne z metalowymi szczękami
- pierwotniaki w skorupkach
- w baku
- „…głupoty” Erazma z Rotterdamu
- namawianie do złego, judzenie
- z jego lotu, czyli z góry
- w niej napój lub paprykarz
- ścierać w niego to unicestwiać
- tekst przysięgi
- narzędzie grawera
- ..cym-cym
- i krzeseł, i dusz
- rodzaj rusznicy
- niejedne w kuligu
- kurs, instruktaż
- mewa lub chichotka
- można zeń zbić
- etap, runda
- …zasadnicza to konstytucja
- wirowy taniec towarzyski
- dobry u psa
- przeciągłe wilcze
- i nabycie, i nabytek
- początek dziejów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1115”. Do rozlosowania książki „Wszyscy niestety normalni” ufundowane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 maja 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1112” z nr. 15: *Próżna rada po szkodzie.*
Nagrody otrzymują: Andrzej Bas z Krakowa, Zofia Grzelak z Karczewa, Elżbieta Zapełty z Opola.

eprasa.pl 9efbbac1e5

KRZYŻÓWKA FLAGOWA BEZ A

W diagramie ujawniono tylko część numerów i zaciemnionych pól. Rozmieszczenie pozostałych trzeba ustalić samodzielnie. W słowach nie występuje samogłoska A.

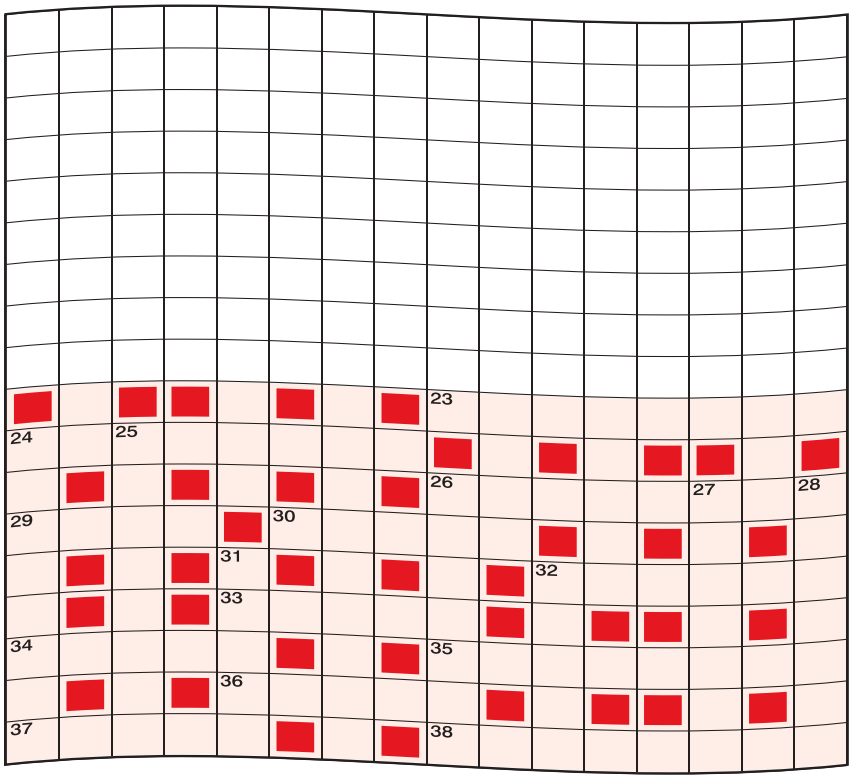

Poziomo:
1) gnuśność, nieróbstwo
6) rasa psa lub ostry koniec
9) miasto w Anglii i doroczna gonitwa koni
10) Philip Marlowe – prywatny…
11) nad Sanem, graniczy ze Stalową Wolą
12) dotrzeć do nich chciał Kolumb
13) zwierciadło
15) psotnik, wisus
16) uwielbiany przez fanów
17) pismo urzędowe, dowód tożsamości
20) Koziorożca lub Raka
22) „…z Bagdadu" z Douglasem Fairbanksem
23) oglądacz z pilotem pod ręką
24) …Hawajów przez Jamesa Cooka
26) podkop nim wydłubany u Chmielewskiej
29) jako nawóz, na opał i w kosmetykach
30) żołnierz owijał nimi stopy
32) przed odliczeniem składek, podatków
33) pokrywa, np. skrzyni
34) na rękę, po potrąceniach
35) wskazówki, dyspozycje
36) ojczyzna Pabla Nerudy
37) dobry ma złote lub gołębie
38) słowa z niego wyrwane – źle zrozumiane

Pionowo:
1) lodowiec kontynentalny
2) malutki zeszycik na zapiski
3) puls
4) otwór na polu naftowym
5) okres przed renesansem
6) Tralalinek dla pana Tralalińskiego
7) grecki bóg z trójzębem
8) złośliwy, psotny duszek
14) z płata wołowiny smażonej lub duszonej z cebulą
15) oczyszczenie z zarzutów przez sąd
18) szaleństwo, obłąkanie
19) latający straszył żeglarzy
21) ptak, co myślał o niedzieli
24) ssak z szopowatych lub rekin
25) pisak do zamalowywania błędów
26) pod sufitem – to pawlacz
27) łobuziak, rzezimieszek
28) jest odmiennego zdania
31) kandyzowane do ciast
32) mur… czyli na pewno

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

	1	6	2	9	3		7	4
8					1			
3	9					6		1
1		3	7				4	
2		5						
	8	9				3		
				1	4	9	2	
	5			6			1	
	2			3		4		5

ŚREDNIE

							6	
1	9			4	7			
7		4	5					1
			6			2	7	
	6		8	3	4	5	1	
	5			7		3		
5			7	2		6		
9	8					7	3	
					9	1		

TRUDNE

		2	5	4		6		3
		7			3		8	
	5		9		6			
		8		5	4		2	
				7		1	6	8
	2	1				7		
	4	5					3	2
	8							
							1	

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać dwa hasła – rozwiązania.

ŁOJESTWNALAKIEMZŁOWEA

CAEŻYCIOJESTBADZODUOZASU

Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl 9efbbac1e5

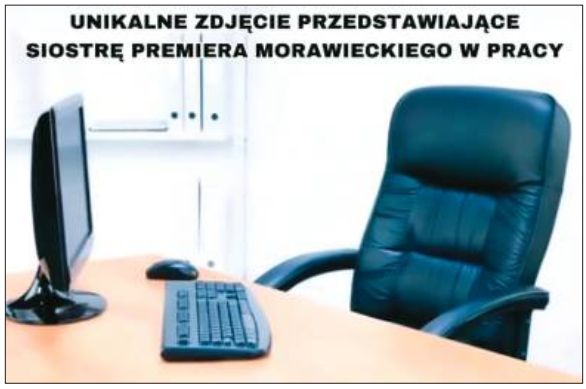

PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

PROF. TOMASZ POLAK,
TEOLOG

Kiedy w Pracowni Pytań Granicznych zastanawiamy się nad perspektywami rozwoju cywilizacyjnego, widzimy, jak wielu ludzi ma poczucie niesprawiedliwości i oczekuje czegoś innego. Niestety, może się okazać, że powtórzy się historia, w której dopiero wojna lub katastrofa zrujnuje pewien system wyobrażeń o życiu publicznym, społecznym czy gospodarczym. Pytanie tylko, czy powtórzy się również historia powojenna, czyli czy znajdzie się grupa ludzi z różnych biegunów politycznych, od Churchilla do Schumana i De Gasperiego, którzy zrozumieją, co trzeba w tej sytuacji zrobić.

VIVA!

KRYSTYNA JANDA,
AKTORKA, REŻYSERKA

Całkowicie odrzuciłam wszelkie pozory, grzeczności niechciane, szczególnie w wystąpieniach publicznych. Niczego nie udaję, nie przejmuję się też cudzymi opiniami. W jakimś sensie stałam się niezależna i suwerenna, ponieważ mam swoje zdanie. Wiem, co umiem, i nie muszę już niczego udowadniać. Nie mam już wielkich potrzeb, co jest bardzo przyjemne. Przestałam się nawet malować. Maluję się tylko za pieniądze na scenę. Nie przesadzam, jeśli chodzi o stroje.

Press

KRZYSZTOF BOCZEK,
PUBLICYSTA

Kumaty dyrektor, który oficjalnie zarabia 25 tys. zł, wyciąga teraz w TVP nawet 70-79 tys. zł miesięcznie. Jak? Wystarczy, że dogada się krzyżowo z kolegą na analogicznym stanowisku i na dodatkowej umowie dostanie od niego nadzór nad programami (do 30 tys. zł). Jeśli do tego pracuje w dużym programie informacyjnym (1,2 tys. za wydanie), przy 20 emisjach w miesiącu dostanie kolejne 24 tys. zł. Dyrektor ważnej jednostki w TVP (35 tys. zł miesięcznie) równocześnie jest szefem jednego z kanałów (kolejne 30 tys. zł), dostaje też 2,5-3 tys. za wydawanie programu. Razem ma nawet do 100 tys. zł miesięcznie. 60-70 tys. zł miesięcznie – tyle ma zarabiać osoba prowadząca program telewizji śniadaniowej w TVP w dobre miesiące, jeśli dorabia sobie wywiadami w innych programach.

zwierciadło

ANNA JANKO,
POETKA, PISARKA

Nie uważam już, że małżeństwo jest źródłem szczęścia, i oto potrafię przeklinać jak robotnik budowlany, któremu belka spadła na stopę. Po pięćdziesiątce odkryłam, jak wielką ulgę daje soczysty wulgaryzm! Co więcej, mój mąż robi to samo. Tłumaczy to stosownym do wieku (a jest znacznie starszy) niedostatkiem sprawczości. „Ludzie starzy klną dosyć często z podobnych powodów co młodzież. Młodzi niewiele jeszcze mogą, a starzy już niewiele mogą. Jako człowiek stary – mówi mąż – czuję, że bywam jawnie lekceważony, a lekceważy mnie również mój własny organizm. Pozwala on sobie niedowidzieć, niedosłyszeć, zapominać ważne daty czy słowa, nazwiska, piny, nipy, kody. Mnóstwo z tym niewygody! No to klnę!”.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (3), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 9efbbac1e5

ROZWIĄZANIA

L	E	N	I	S	T	W	O	■	Ś	■	S	Z	P	I	C
Ą	■	O	■	■	Ę	■	D	E	R	B	Y	■	O	■	H
D	E	T	E	K	T	Y	W	■	E	■	N	I	S	K	O
O	■	E	■	■	N	■	I	N	D	I	E	■	E	■	C
L	U	S	T	R	O	■	E	■	N	■	K	■	J	■	H
Ó	■	I	■	U	■	U	R	W	I	S	■	I	D	O	L
D	O	K	U	M	E	N	T	■	O	■	H	■	O	■	I
■	B	■	■	S	■	I	■	Z	W	R	O	T	N	I	K
Z	Ł	O	D	Z	I	E	J	■	I	■	L	■	■	N	■
■	Ę	■	■	T	■	W	■	T	E	L	E	W	I	D	Z
O	D	K	R	Y	C	I	E	■	C	■	N	■	■	Y	■
S	■	O	■	K	■	N	■	S	Z	Y	D	E	Ł	K	O
T	O	R	F	■	O	N	U	C	E	■	E	■	O	■	P
R	■	E	■	O	■	I	■	H	■	B	R	U	T	T	O
O	■	K	■	W	I	E	K	O	■	E	■	■	R	■	N
N	E	T	T	O	■	N	■	W	Y	T	Y	C	Z	N	E
O	■	O	■	C	H	I	L	E	■	O	■	■	Y	■	N
S	E	R	C	E	■	E	■	K	O	N	T	E	K	S	T

ZŁO JEST WYNALAZKIEM CZŁOWIEKA
CAŁE ŻYCIE TO JEST BARDZO DUŻO CZASU

ŁATWE

5	1	6	2	9	3	8	7	4
8	4	7	6	5	1	2	3	9
3	9	2	4	7	8	6	5	1
1	6	3	7	8	9	5	4	2
2	7	5	3	4	6	1	9	8
4	8	9	1	2	5	3	6	7
7	3	8	5	1	4	9	2	6
9	5	4	8	6	2	7	1	3
6	2	1	9	3	7	4	8	5

ŚREDNIE

8	2	5	9	1	3	4	6	7
1	9	6	2	4	7	8	5	3
7	3	4	5	6	8	9	2	1
3	1	8	6	9	5	2	7	4
2	6	7	8	3	4	5	1	9
4	5	9	1	7	2	3	8	6
5	4	3	7	2	1	6	9	8
9	8	1	4	5	6	7	3	2
6	7	2	3	8	9	1	4	5

TRUDNE

8	1	2	5	4	7	6	9	3
9	6	7	2	1	3	5	8	4
4	5	3	9	8	6	2	7	1
6	7	8	1	5	4	3	2	9
5	9	4	3	7	2	1	6	8
3	2	1	6	9	8	7	4	5
1	4	5	7	6	9	8	3	2
2	8	6	4	3	1	9	5	7
7	3	9	8	2	5	4	1	6

Aby język giętki…

ANNA DYMNA O PREZENCIE DLA CZESŁAWA MIŁOSZA
Wzięłam trzy słoiki brusznicy z gruszką, według kresowego przepisu. Ależ się ucieszył. Na moich oczach wyjadł jeden słoik.

KRZYSZTOF PIASECKI O JEDNOMYŚLNOŚCI POLAKÓW
Jedna połowa myśli, że druga jest durna, a druga połowa myśli, że pierwsza.

STANISŁAW TYM O GOLIŹNIE
Golizna moralna tzw. rządu jest demonstracyjnie bezwstydna.

ARTUR BALAZS O MINISTERSTWIE ROLNICTWA
Jest sześciu zastępców ministra i żaden z nich nie ma kwalifikacji rolniczych.

IGA ŚWIĄTEK O MARZENIACH
To się zmienia, ale teraz na przykład o… domku na Mazurach.

JAN HOLOUBEK O RODZINIE
Rodzina jest dla mnie najważniejsza. Robienia filmów nie traktuję jako misji, tylko jako piękną życiową przygodę.

EULALIA ROLIŃSKA O SWOIM IMIENIU
Miałam mieć na imię Danuta. Przy chrzcie ksiądz, który był w bardzo dobrym nastroju po weselu, popatrzył na dziecko i stwierdził: taka ładna laleczka, to tylko Eulalia.

KATARZYNA GRONIEC O ŚLĄSKU
To miejsce, z którego pochodzę. Kocham gwarę śląską, melodię tego języka.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 9efbbac1e5

Autoportret (fragment), 1956

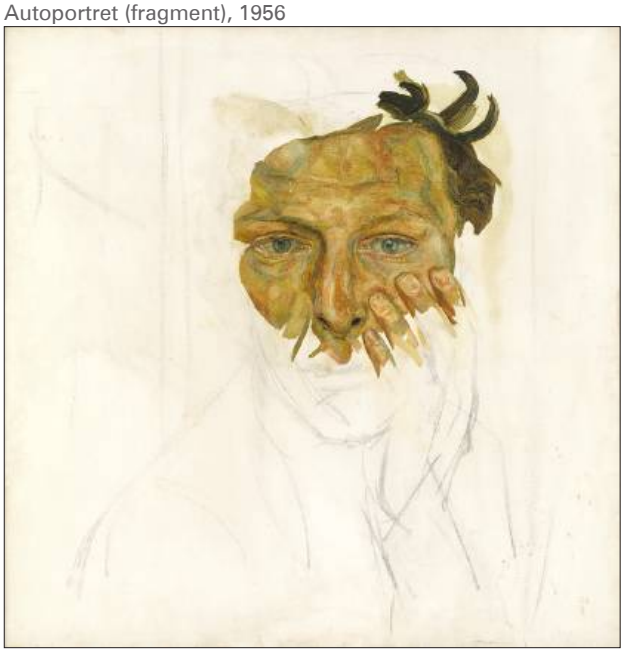

Pokój malarza, 1944

Lucian Freud. Nowe perspektywy

Lucian Freud (1922-2011), uważany za jednego z najwybitniejszych malarzy figuratywnych epoki nowożytnej, urodził się w Berlinie i kiedy do władzy doszli naziści, w 1933 r. wraz z rodziną wyemigrował do Londynu. Środowisko rodzinne zapewniało Lucianowi w młodości bogatą i zróżnicowaną kulturę: ojciec był znanym architektem, matka studiowała historię sztuki, no a dziadek to twórca psychoanalizy Zygmunt Freud. W wieku dorosłym artysta stał się legendą, ze względu na szaleńcze życie osobiste, w którym z równą łatwością poruszał się w kręgach arystokratycznych, jak i w półświatku.

Museo Nacional Thyssen-Bornemisza
Madryt, Paseo del Prado 8
do 18 czerwca

Dziewczyna z różami, 1947-1948

Odbicie z dwojgiem dzieci (autoportret), 1965

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9efbbac1e5

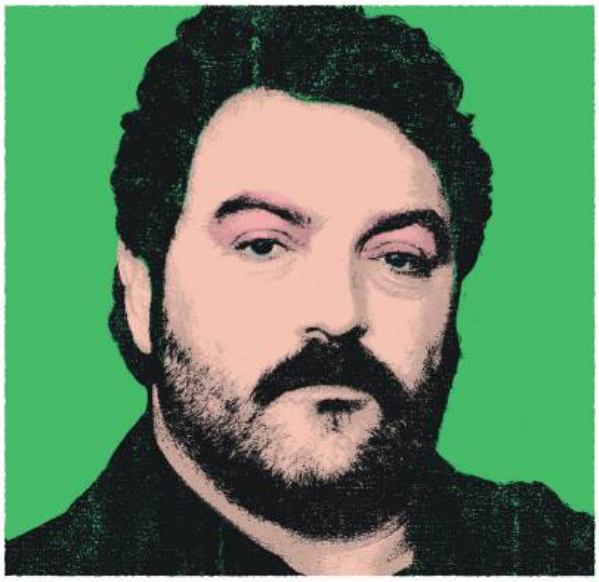

72. Internationale Filmfestspiele Berlin
Konkurs Główny

FILMOUT SAN DIEGO

CÉSAR ACADÉMIE DES ARTS ET TECHNIQUES DU CINÉMA

LUMIERE AWARDS

SSIFF Donostia Zinemaldia Festival de San Sebastián International Film Festival

PETER VON KANT

REŻYSERIA
François OZON

AUTORSKA WERSJA FILMU „GORZKIE ŁZY PETRY VON KANT"
RAINERA WERNERA FASSBINDERA

DENIS MÉNOCHET

ISABELLE ADJANI

KHALIL GHARBIA

HANNA SCHYGULLA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

w kinach od 28 kwietnia

eprasa.pl 9efbbac1e5

FILMWEB
dla Lejdis.pl
wysokieobcasy.pl
GAZETA.PL
Przegląd
eprasa.pl 9efbbac1e5